

Prof. Łukasz Turski
Nieuctwo przyczyną wszystkich
nieszczęść

Tragiczne skutki
mobbingu

Małgorzata Żuber-Zielicz
We wrześniu zabraknie
nauczycieli

Wojciech Raczuk
wygrał z ustawą dezubekizacyjną

Młodzi rozczarowani Kościołem



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



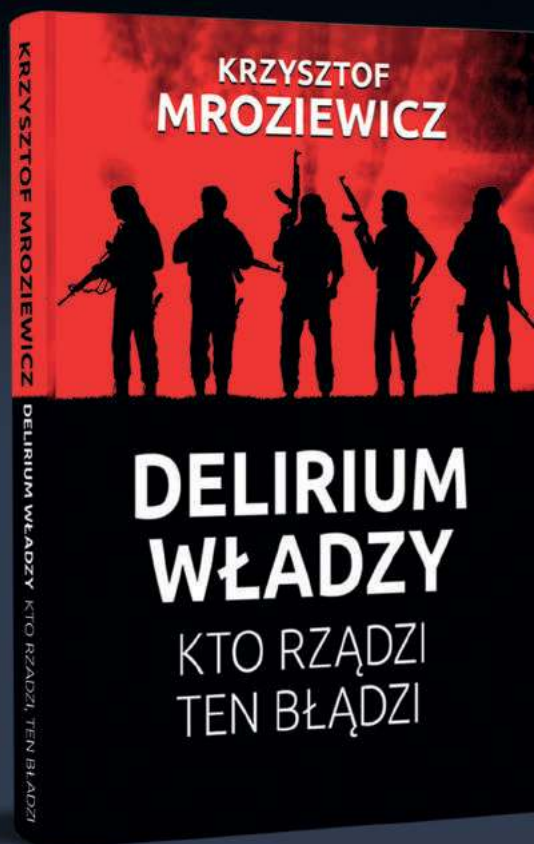
9 771509 311904

3c68b8604



PRZEGLĄD poleca!

KRZYSZTOF MROZIEWICZ



Czy jesteśmy skazani
na rządy psychopatów?
Co musimy zrobić, by wyjść
z zaklętego kręgu dyktatur
i terroru?

47 zł

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. www.sklep.tygodnikprzeklad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość dostawy kurierem InPost – 14,90 zł.

eprasa.pl/58c63b8604

CYTATY

PROF. WIESŁAW

ŁUKASZEWSKI, psycholog
Gdyby rządziej oferowano nam zakazane owoce, znacznie mniej byłoby grzeszników.
„Charaktery”

PROF. ANDRZEJ FRISZKE, historyk

W tych rejonach, które są dziś bastionem PiS, Solidarność miała najtrudniej. Podkarpacie, ściana wschodnia, małe miasta i wsie, gdzie w ogóle nie było Solidarności.
Wiadomo.co

PROF. ANDRZEJ RYCHARD, socjolog, PAN

Jeśli PO wyraźnie przegra jesienne wybory, to w tej partii nastąpią głębokie procesy wewnętrznej destrukcji.
„Polska The Times”

KAROLINA WIGURA, współzałożycielka „Kultury Liberalnej”

Nowe pokolenie polityków trzęsie się nad sobą. Chce się buntować, ale w rozsądnych granicach i zminimalizowanym ryzyku.
„Tygodnik Powszechny”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Suwerenność à la Duda

Gdy słuchałem, jak prezydent Duda w Białym Domu w krótkim przemówieniu kilkanaście razy dziękował Trumpowi, pomyślałem, że jest to dobra ilustracja polityki prawicy. Modelowy przykład wstawania z kolan. I nowego typu suwerenności naszego państwa. Przecież z nawiązką wystarczyłaby jedna trzecia tej gorliwości w przekonywaniu Trumpa, jak wielkim jest politykiem i człowiekiem i jak bardzo Duda życzy mu powtórnego wyboru.

Trump jest sprytnym handlowcem działającym w interesie USA. Sprzedał Polakom dużo i drogo. A zapłacił komplementami, ogólnymi deklaracjami i wywyższeniem Dudy. W dość dwuznaczny sposób. Komplementował go słowami, że polska para prezydencka „to ludzie bardzo przedsiębiorczy”.

Wygląda na to, że Trump ograł Dudę w szkolny sposób. Nawet rotacyjne zwiększenie obecności wojska amerykańskiego obciął o połowę. Ekipa pisowska przed tą wizytą pompowiała media zapowiedziami decyzji o stałych bazach i tysiącach żołnierzy. Efekty tych zabiegów, często na pograniczu żebractwa, już znamy. Znamy także stały punkt polityki zagranicznej tej ekipy: wrogów szukamy jak najbliżej granic, a przyjaciół na drugiej półkuli.

Nie jestem przeciwnikiem budowania dobrych relacji z USA. Takich oczywiście, które dawałyby nam wymierne korzyści. Ale stawianie wyłącznie na Amerykanów, dla których zawsze będziemy państwem co najwyżej drugiego rzutu, jest politycznym amatorstwem. Klinicznym chciejstwem.

A słowa Dudy o tym, że jesteśmy bardziej męscy od Rosjan, są zwykłym szowinizmem. Są też tak samo prawdziwe jak zapowiedź Dudy w czasie inauguracji jego rządów, że będzie prezydentem niezłomnym.

Niezwykle męski prezydent RP ma ten przywilej, że na razie lata do USA bez wizy. Nie tak jak reszta Polaków, którzy jakoś nie mogą sobie zasłużyć na to, co mają już praktycznie wszyscy w Europie.

Wiedza Trumpa o Polsce jest śladowa, a zainteresowanie amerykańskich mediów wizytą Dudy widać było w czasie konferencji prasowej, gdy nieustannie pytali o Kim Dzong Una. Trump nie dołączył do kolejnego, obsesyjnego już, ataku Dudy na Rosję. Za to Duda z pokorą wystuchiwał jego potajaniek pod adresem Unii Europejskiej i Chin.

Mądrość polityki zagranicznej każdej władzy w Polsce mierzę poziomem naszych relacji z Unią, USA, Chinami i Rosją. Tam są nasze interesy. Z każdym możemy je robić. Jest jednak problem. Trzeba to umieć.

BAKOWSKI

SUBSKRYPCJA DOBRA NA LATO!

To, co robisz i gdzie jesteś, już Cię nie ogranicza.
E-wydania PRZEGLĄDU możesz czytać, gdzie chcesz i kiedy chcesz.
A najlepiej w e-prenumeracie :-)

ZAMÓW
sklep.tygodnikprzeglad.pl

E-BOOK W PREZENCIE!



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Młodzi rozczarowani Kościołem**
Polska młodzież laicyzuje się najszybciej na świecie
- 12 Jak się dopasować do nowego świata?**
– rozmowa z prof. Łukaszem Turskim
- 16 Milicjanci gorszego sortu**
Dostał sześć kul i obniżkę renty
- 22 Śmierć bez odszkodowania**
Rolnik w lesie bez przywilejów
- 24 Trucizna w małych dawkach**
Nieodwracalne skutki mobbingu
- 28 Ta ustawa przeraża**
Apel krakowskich prawników

ZAGRANICA

- 30 Koniec politycznego duopolu**
Korespondencja z Berlina
- 52 Pangea – restauracja bez szefa**
Korespondencja z Argentyny

HISTORIA

- 34 Ordynacja, która wypaczyła wyniki**
Wybory 1989

OPINIE

- 38 Małgorzata Żuber-Zielicz**
W przerwie strajku nauczycieli

KULTURA

- 40 Dom to bardzo intymna rzecz**
– rozmowa z Dorotą Brauntsch
- 44 Pisarz zesłańców**
Zbigniew Domino – 1929-2019
- 46 Culturalia**
- 66 Kora**

OBSERWACJE

- 48 Tajemnice pielęgniarek**
Zapiski ze szpitalnych korytarzy

SPORT

- 56 Spokojne wakacje futbolowej kadry**
Drzwi do finałów Euro 2020 otwarte

ZDROWIE

- 58 Kiedy nocą przestajemy oddychać**
Niebezpieczny bezdech senny

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Suwerenność à la Duda
- 20 Bronisław Łagowski**
Myśli urywane
- 27 Jan Widacki**
Ludzie listy piszą...
- 37 Roman Kurkiewicz**
#Rozbrat zostaje!
- 43 Tomasz Jastrun**
Odejścia
- 45 Agnieszka Wolny-Hamkała**
Kilka depresyjnych książek na lato
- 51 Edward Mikołajczyk**
Porażki dziennikarstwa kurskiego typu



40

KULTURA

DOM TO BARDZO INTYMNA RZECZ

– rozmowa
z Dorotą Brauntsch



PANGEA – RESTAURACJA BEZ SZEFA

Korespondencja z Argentyny

52

ZAGRANICA



56

SPORT

SPOKOJNE WAKACJE FUTBOŁOWEJ KADRY

Drzwi do finałów
Euro 2020 otwarte

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. GERARD/REPORTER/EAST NEWS, FOTOLIA



IZRAEL – najdłuższa kampania wyborcza

Pionierzy polskiego internetu

Starzejące się społeczeństwo jako szansa biznesowa

f Bezdziennie z wyboru

Bardzo budujący jest fakt, że coraz więcej osób potrafi samodzielnie, nie ulegając presji bliskich, wybrać to, na czym im w życiu najbardziej zależy. Oby do lamusa odeszły naciski spragnionego wrażeń otoczenia w stylu: Kiedy sobie kogoś znajdziesz? (gdy jest się singlem); Kiedy ślub? (gdy para mieszka bez ślubu); Kiedy dzidzius? (jeśli są bezdzietni); Kiedy drugie dziecko? Synek musi mieć rodzeństwo (gdy mają jedno dziecko); No to teraz w końcu czas na chłopca (gdy ma się dwie córeczki). Tym bardziej że życie jest za krótkie i zbyt nieprzewidywalne, by utknąć w miejscu, które wyznaczy nam ktoś inny.

Katarzyna Kulesza

Po pierwsze – każdy ma wolny wybór. Nie przeraża mnie akurat to, że ktoś nie chce mieć dzieci. Po drugie – można przebiegać w internecie w potencjalnych kandydatach i żadnym nie być w 100% usatysfakcjonowaną. Zawsze można spotkać kogoś lepszego. Jest to swoisty

paradoks wyboru, o którym sporo pisali psychologowie. Po trzecie – znalezienie wiernego partnera jest coraz trudniejsze.

Jestem wdzięczna losowi, że urodziłam się w czasach, w których rodzice mieli dla dzieci więcej czasu. Dziś mnóstwo ludzi ostro zasuwa w korporacjach, aby opłacić czynsz i kredyt. Boją się więc rodzicielstwa, bo w perspektywie widzą jedynie większe opłaty

i harówkę w korpo do końca swoich dni. Gdzieś pryska radość z wychowywania dzieci, kiedy trzeba wstać o 6, siku, kanapka, kawa, dzieciaki do przedszkola, w pracy szef/szefowa idiota/idiotka, powrót. Odebrać dzieciaki, sklep, jedzenie, zadania domowe, zajęcia dodatkowe (bo inne dzieci chodzą)... Cały czas w biegu.

Alicja Królik

Ja się podpisuję pod wolnością wyboru. Ale powiedzcie to tym, którzy uważają, że kobiety po prostu zostały stworzone do macierzyństwa i nie ma dla nich nic fajniejszego pod słońcem niż rodzenie dzieci.

Marcin T. Mądry

f Kto ma wygrać z PiS?

Nie zgadzam się z prof. Jarosławem Flisem, że jesienią każdy wynik jest możliwy. Tu nie ma wiary, tu są: strach przed utratą 500+, niechęć



do pogardy okazywanej niewykształconej części społeczeństwa, wyteśniony socjal, który daje PiS, a SLD przespał taką możliwość, propaganda TVPiS i spacyfikowanego Polsatu, agresywne TKM kleru i beznadziejna niemoc opozycji, która ma skazę dwóch kadencji. PSL miała się, bo PiS ukradło mu elektorat. SLD poszedł ramię w ramię z PO, zazwyczaj mu wroga itd.

Kto ma wygrać z PiS? Schetyna, który tak grzeje elektorat jak zeszłoroczny śnieg? Czy może Czarzasty skonfliktowany z dołami?

Michał Łuksa



„Królowa idzie do Sejmu” – pod takim hasłem maszerowali Rycerze Chrystusa Króla, którzy pomagają się powieszenia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na frontalnej ścianie w sali obrad.



PYTANIE TYGODNIA

Czy Polsce potrzebne są bazy armii USA?

JANUSZ ZEMKE,

były sekretarz stanu w MON

Mają one głównie znaczenie polityczne, a w mniejszym stopniu wojskowe. Rosja nigdy nie użyła siły wobec państwa NATO i nie widzę powodu, by miała to zrobić wobec Polski, z którą nie ma sporów terytorialnych ani o mniejszości narodowe. Jeśli chodzi o przesłanki polityczne, to obecny rząd uważa, że wszystkie kwestie związane z bezpieczeństwem Polski rozwiążemy przez bliską współpracę z Amerykanami. Moim zdaniem to błąd. Należałoby przywiązywać zdecydowanie większą wagę do kontaktów – nie tylko wojskowych – z Unią Europejską, która w znacznie szerszym zakresie stosuje takie instrumenty rozwiązywania konfliktów jak oddziaływania dyplomatyczne, pomoc humanitarna czy sankcje gospodarcze.

WITOLD JURASZ,

Ośrodek Analiz Strategicznych

Polsce zdecydowanie są potrzebne amerykańskie bazy wojskowe. Po pierwsze, dlatego że nie modernizujemy armii, a co najwyżej bardzo nieudolnie staramy się odbudować podstawowe zdolności obronne. Stan polskich sił zbrojnych jest tragiczny, a żadna siła polityczna nie ma

odwagi zwiększyć wydatków na obronność do poziomu, który zapewniłby nam bezpieczeństwo. Po drugie, mamy obok siebie agresywną i w przeciwieństwie do ZSRR nieprzewidywalną Rosję. Nie wierzę w jej atak na Polskę, ale w atak na Ukrainę też nikt nie wierzył. Jednak nawet jeśli on nie nastąpi, to obecność amerykańskich żołnierzy stanowi przypieczętowanie naszej przynależności do Zachodu i zmniejsza prawdopodobieństwo użycia przez Rosję innych niż wojskowe form agresji przeciw Polsce.

DR HAB. FILIP ILKOWSKI,

politolog, UW, działacz antywojenny

Na pewno potrzebne są rządzącym. Umożliwiają realizację modelu polityki zagranicznej, który lubię nazywać imperializmem żebraczym – prężenia muskułów, które ma z nas uczynić lidera regionu oraz forpczę Zachodu w relacjach ze wschodnimi sąsiadami. Natomiast zwykłym mieszkańcom Polski, niemającym nic wspólnego z władzą – wręcz przeciwnie. Sprowadzanie do naszego kraju, na dodatek przynajmniej w jakiejś części za własne pieniądze, kolejnych żołnierzy największej maszyny militarnej dzisiejszego świata oznaczać będzie nie większe, ale

mniejsze bezpieczeństwo. Wzmacnianie sojuszu z USA oznacza większe ryzyko uczestnictwa w wojnach, które ten kraj prowadzi poza swoimi granicami, a także zagrożenia wynikające z poczucia siły rządzących. Jego efektem mogą być działania w regionie, które będą prowadzić do większej liczby konfliktów.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

ZOFIA BZOWSKA



Absolutnie nie. Ich obecność ma zaspokajać naszą narodową skłonność do poddaństwa, bo wbrew hasłom o umiłowaniu wolności zawsze lubiliśmy mieć Wielkiego Brata. Za te kosmiczne pieniądze można by rozwiązać wiele problemów społecznych. Jeśli to ma być ochrona przed Rosją, to zielone ludziki zdmuchnęłyby nas w dwa dni, dogadując się wcześniej z USA.

MICHAŁ SIEMIŃSKI

Polska nie potrzebuje żadnych obcych armii. Powinniśmy wrócić do naszych tradycji działań na rzecz pokoju i rozbrojenia – potrzebny jest nam plan Rapackiego 2.0. Ale to nie przy tej ekipie rządowej, której służalczość wobec USA samych Amerykanów wprawia w osłupienie.

Not. Michał Sobczyk

Młodzi rozczarowani Kościołem

Polska młodzież laicyzuje się najszybciej na świecie

Jakub Dymek

Pustoszące kościoły i wierni uciekający od sakramentów. Szkoły, w których nie ma ani jednego chętnego do uczęszczania na lekcje religii. Puste seminaria duchowne. Masy ochrzczonych katolików, którzy się nie modlą.

To nie kolejna powieść Michela Houellebecqa ani pocztówka z 2050 r. Nie jest to również lista złorzeczeń pod adresem Kościoła ze strony organizacji ateistycznych. To stan rzeczy, jaki widzą sami wierni, duchowni i katolickie media. Przynajmniej ilekroć spojrzą na badania religijności Polaków. Od kilku lat biją na alarm szczególnie głośno, bo gwałtownie zmienia się stosunek do wiary młodego pokolenia. I to, co widać w liczbach, pozwala zrozumieć ten alarmistyczny ton. Polska młodzież laicyzuje się najszybciej na świecie.

Młody Kowalski? Nieobecny

Ostatnia diagnoza CBOS „Młodzież 2018”, opublikowana w maju tego roku, daje obraz tej sytuacji. W ankietach – autorem badania był Antoni Głowacki – zapytano m.in. o wiarę i stosunek do niej, praktyki religijne, uczestnic-

two w lekcjach religii i opinie o tych zajęciach. Wystarczy przejrzeć wyniki, by zauważyć, że mamy do czynienia z jednoznacznym spadkiem religijności młodych Polek i Polaków. We wszystkich chyba kategoriach wskaźniki religijności są najniższe od ponad 20 lat. Z kolei badania amerykańskiego Pew Research Center z 2018 r. pokazały, że ten pokoleniowy trend właśnie w Polsce, ze wszystkich przebadanych krajów globu, jest największy.

Za osobę głęboko wierzącą albo wierzącą uznaje siebie łącznie 63% badanych. W 1996 r. było to 80%. Odsetek deklarujących niewiarę niemal podwoił się w ciągu ostatnich pięciu lat – dziś, w zależności od pytania, wynosi 17-21%. Kolejne 21% to niezdecydowani – ich też przybyło. Ktoś, kto spojrzy na te dane, orzeknie być może, że 21% niewierzących to wciąż niewiele w XXI w. i w kraju członkowskim UE. Święta prawda, ale deklaracje to jedno, a praktyki – drugie.

Wszystkie wskaźniki uczestnictwa w praktykach religijnych są niższe niż wskaźniki deklaracji religijności, jeszcze niższe są pomiary faktycznego udziału w niedzielnych mszach prowadzone przez Kościół, a konsekwentnie od lat grupą najrzadziej uczestniczącą

w praktykach religijnych jest młodzież. Według badań CBOS regularnie w mszach bierze udział mniej niż połowa młodych. Ta liczba i tak może być zawyżona poprzez uwzględnienie tych, którzy chodzą do kościoła „od święta” – z okazji ślubu czy uroczystości w gronie rodzinnym. Sam Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego liczył, że komunie przyjmuje na niedzielnych mszach zaledwie 17% parafian. Za to 35% młodych mówi: „W ogóle nie uczestniczę w praktykach religijnych”. To przeszło trzykrotnie więcej, niż wynosi odsetek nieuczestniczących w praktykach religijnych w społeczeństwie ogółem (11%).

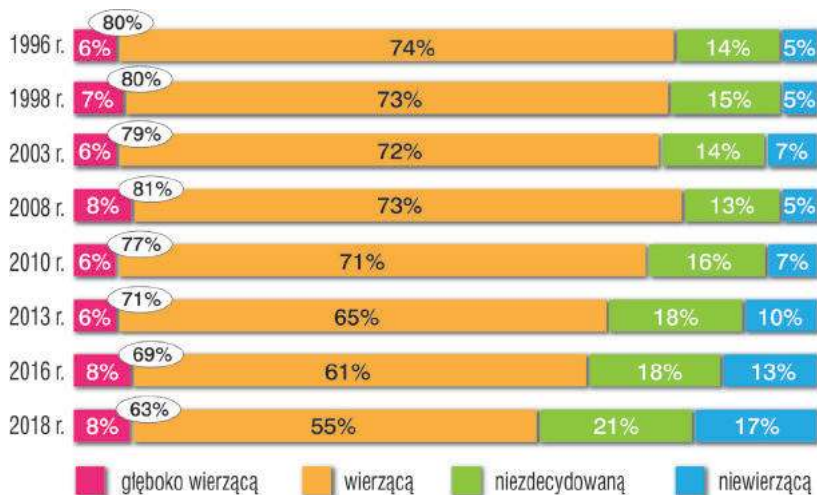
Maleje zainteresowanie szkolną religią. Dziś uczęszcza na nią 70% uczniów, ale w największych miastach już mniej niż połowa (44%). Nawet wśród wierzących i głęboko wierzących przeważa opinia – uważa tak 58% z nich – że te zajęcia powinny być nieobowiązkowe: czy to w szkolnej sali, czy w parafii.

To, że dzieje się coś istotnego, za uważają również badacze kościelni. Dyrektor Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego ks. dr Wojciech Sadłoń potwierdza, że w Polsce młodzi obywatele są mniej religijni niż starsi. W „Przewodniku Katolickim” mówił: „Oczywiście, że to zauważyliśmy. Przeprowadziliśmy własne badania, które bardzo jasno pokazują, że coś złego faktycznie zaczyna się dziać. (...) Coraz więcej młodych ludzi przestaje się modlić i chodzić do kościoła czy na lekcje religii. I jest to proces, który zauważalnie przyspiesza”. Co się dzieje?

Erozja

Znaczący spadek liczby uczniów uczęszczających na religię zaczął się w 2013 r. W Polsce pierwsze w tej dekadzie kampanie uliczne na rzecz świeckiego państwa – głośne billboardy „Nie zabijam, nie kradnę, nie wierzę” Fundacji Wolność od Religii – pojawiły się pod koniec 2012 r. W roku 2015 w Sejmie złożono projekt inicjatywy ustawodawczej „Świecka

NIEZALEŻNIE OD UDZIAŁU W PRAKTYKACH RELIGIJNYCH, CZY UWAŻASZ SIĘ ZA OSOBĘ:





Rozczarowanie katechezą wydaje się powszechne.

szkoła". Propozycja ustawy przewidywała prosty i jednoznaczny w swoim brzmieniu zakaz finansowania lekcji religii ze środków publicznych. Nie chodziło o zakaz lekcji religii w ogóle. Zebrano ponad 100 tys. podpisów, a inicjatywę poparli ludzie nauki – prof. Jerzy Vetulani, Magdalena Środa czy Monika Płatek, celebryci, np. Dariusz „Tiger” Michalczewski, oraz politycy i polityczki lewicy.

Czy kampanie i inicjatywy społeczne zmieniły stosunek młodych Polaków do wiary i praktyk religijnych? – To zupełnie nie tak – stwierdza stanowczo Bożena Przyłuska, wiceprezesa stowarzyszenia Kongres Świeckości, która dziś współprowadzi akcję „Świeckie państwo”, a wcześniej była zaangażowana w „Świecką szkołę”. – Nie chodzi o to, że my prowadzimy antyklerykalne kampanie, a potem ludzie rezygnują z wiary. Jest dokładnie na odwrót: najpierw pojawia się niezadowolone i rozczarowanie Kościołem oraz religią w szkołach, potem z niego wyrastają kampanie, ludzie zaczynają głośno mówić, dzielić się swoim doświadczeniem i podejmować decyzje. To sprzężenie zwrotne.

Podobne spostrzeżenia mają także inne osoby, które zbierały podpisy pod inicjatywą ustawodawczą „Świecka szkoła”. Proces laicyzacji Polski postępuje – wśród młodzieży szybciej niż w całej populacji – ale to nie skutek jednej czy drugiej akcji społecznej. Są oczywiście zewnętrzne bodźce, jak film „Kler” Wojciecha Smarzowskiego czy głośna książka „Sodoma” Frédérica Martela o homoseksualizmie i życiu erotycznym księży, wydana w czasie

gdy instytucja Kościoła mierzyła się ze skutkami skandali pedofilskich.

Wciąż jednak mówimy o procesie, a nie o jednorazowym zryw. Brak wpływu afer czy skandali na ten trend wskazywał jeszcze w 2015 r. w rozmowie z portalem Wirtualna Polska prof. Janusz Czapinśki: „Jeżeli prześledzimy statystyki praktyk religijnych od początku lat 90., to zobaczymy, że afery w żaden sposób nie zmieniły tempa spadku religijności Polaków”. Od zarania transformacji obserwujemy tendencję spadkową, niezależnie od tego, czy Kościół w danej chwili ma kłopoty wizerunkowe, czy nie.

– Kościół na ten stan sam ciężko pracował – tłumaczy Bożena Przyłu-

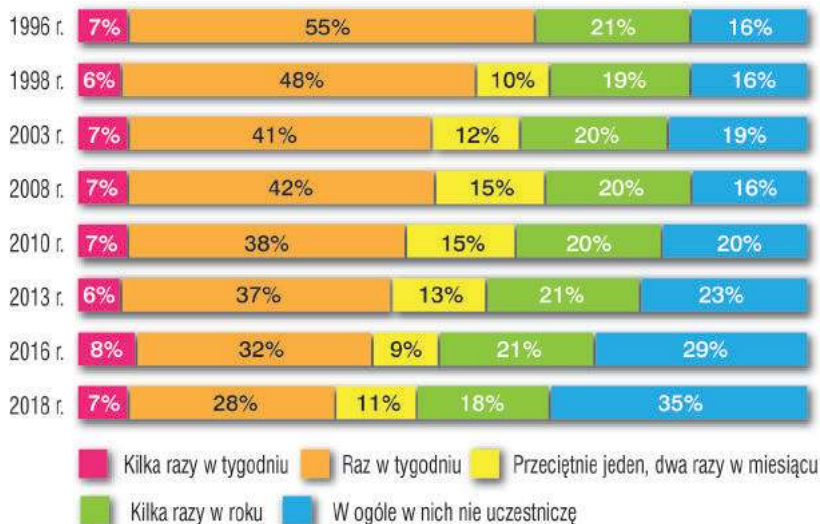
ska – związkami z politykami, sianiem nienawiści, kupowaniem wpływów, handlowaniem wolnością i prawami kobiet.

Spóźnieni o pokolenie

Z tym, że proces odchodzenia młodzieży od Kościoła postępuje niejako naturalnie, zgadza się Marcin Dzierżanowski, prezes Fundacji Wiara i Tęcza i publicysta „Wprost”: – W Polsce katolicyzm był po II wojnie zamrożony. Silny związek życia społecznego z Kościołem podtrzymywały najpierw PRL, gdy Kościół odgrywał tradycyjną rolę w niezmienny sposób, potem wizerunek Kościoła jako siły prodemokratycznej po 1989 r., a w końcu osoba papieża Jana Pawła II, która czyniła z polskiego katolicyzmu nie tylko religię dla wierzących, ale i wspólną tożsamość wszystkich Polaków.

Zdaniem Dzierżanowskiego w Polsce od przełomu 1989 r. (a najsilniej w ostatnich latach) zarysowują się trendy wcześniej zauważalne na Zachodzie. A i śmierć Karola Wojtyły miała skutki niejednorodne i odłożone w czasie. – Zwróć uwagę, że decyzję o wypisaniu się z lekcji religii podejmują wspólnie uczeń i jego rodzice. To oznacza, że aby zobaczyć różnicę w statystykach, trzeba istotniejszej laicyzacji w obu pokoleniach – zauważa. Niewykluczone, że ktoś, kto w 2005 r. płakał po śmierci papieża Polaka i później miał współtworzyć

CZY BIERZESZ UDZIAŁ W PRAKTYKACH RELIGIJNYCH, TAKICH JAK MSZA, NABOŻEŃSTWA LUB SPOTKANIA RELIGIJNE?



► pokolenie JP2, w kolejnych latach rozluźnił swój związek z Kościołem, a dziś jego dzieci na religię już nie chodzą.

W kręgach zaangażowanych i reformatorsko nastawionych katolików mówi się już raczej o pokoleniu, które gasi światło – ostatnich wyznawców tradycyjnego i masowego katolicyzmu. Dzierżanowski: – Różnica jest taka, że na Zachodzie to pokolenie to dzisiejsi 30-, 40-latkowie. W Polsce zaś będzie nim dopiero kolejna generacja.

O cenzurze roku 2005 mówił też ks. dr Wojciech Sadłoń. Wtedy spadła liczba powołań kapłańskich i zakonnych.

W ostatnim roku pontyfikatu Jana Pawła II do seminariów zgłosiło się ponad 1,1 tys. chętnych – rok później o setkę mniej i liczba ta malała z każdym rokiem. Powody zniechęcenia ówczesnych i dzisiejszych 18-latków, które podają wszyscy moi rozmówcy i większość badaczy, zazwyczaj się powtarzają: słabnący autorytet instytucji Kościoła, odkrywanie wspólnotowości w innych organizacjach, zmniejszająca się, szczególnie w miastach, społeczna i kulturalna rola kościołów i katolicyzmu w ogóle, archaiczny język, media oraz program edukacyjny proponowany w ramach lekcji religii i poza nimi. Papież Benedykt XVI spuentował wszystkie te tendencje bon motem: „Ludzie mają w uszach tak wiele różnych częstotliwości, że mogą nie usłyszeć Boga”.

Męki katechezy

Agata Didusko-Zyglewska jest radną m.st. Warszawy, publicystką i działaczką społeczną – współtworzyła „Mapę kościelnej pedofilii”. Właśnie ukazała się jej książka „Krucjata polska”, zbiór artykułów i wywiadów poświęcony jej świeckiej „krucjacie” przeciwko nadużyciom Kościoła. – To logiczne – tłumaczy – że gdy religia w szkole staje się nudnym przedmiotem do zaliczenia, doświadczenie duchowe i indywidualne przeżywanie duchowości ginie. Religia, tak jak podawana jest młodym ludziom w szkołach, mniej ma wspólnego z naukami Starego i Nowego Testamentu, a więcej z narodowo-konserwatywnym glajchszaltowaniem umysłów.

Drodzy Rodzice

W związku z zakończeniem działu dotyczącego Mszy Świętej będę sprawdzać umiejętności w zakresie:

- Poprawne klęknięcie (ze złożonymi rękami)
- Wykonanie znaku Krzyża Świętego wraz ze słowami *W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.*
- Bicie się w piersi wraz ze słowami *Moja wino, moja wino, moja bardzo wielka wino*
- Wykonanie krzyżyków na czole, ustach i sercu

Każda umiejętność będzie osobno oceniana.

Będę sprawdzać zeszyty. Ocenie podlega praca ucznia w zeszycie (kompletne notatki, dokładne kolorowanie, estetyka pracy).

Dodatkowej ocenie podlega karta pracy *Tabernakulum, Ołtarz i Ornat* oraz *Słowo Boże*

Data: 26.05.2015r.

Ten sam problem, lecz w odmiennych słowach, komentowała na portalu Deon.pl wierząca i praktykująca – jak podkreśla – psycholożka i autorka bloga Angelika Szelągowska-Mironiuk. Choć „prawie wszyscy uczniowie chodzą na lekcje religii” – pisze – obserwujemy „słabość katechizacji”, która skutkuje tym, że „młodzi nie rozumieją swojej wiary”. Do tego „kazania dla młodzieży zbyt często dotyczą spraw seksu, a nawet polityki, zamiast rozwoju duchowości i poszukiwania Boga w codziennym życiu”.

Wreszcie same najwyższe władze Kościoła, jak się wydaje, wiedzą o tym i dzielą przynajmniej część surowych diagnoz. Przed synodem w 2018 r. poświęconym młodzieży biskupi mogli się zapoznać z dokumentem roboczym, który zawierał spostrzeżenia i syntetyczne obserwacje na temat stosunku młodych wierzących i niewierzących do Kościoła katolickiego. Dokument przypominał, że wielu

młodych wierzących odrzuca nauki Kościoła o seksualności, a także „kontrowersyjnych tematach” antykoncepcji i aborcji. Inny jego fragment zwraca uwagę na autorytaryzm księży w sytuacjach, w których należałoby pozwolić młodym katolikom przejąć inicjatywę. Rozczarowanie katechezą wydaje się powszechne.

Może zatem ciekawsze niż dlaczego jest pytanie, jak nie wierzą młodzi. Agata Didusko-Zyglewska: – Najmłodszy wyborcy od lat głosują przeciwko systemowi i odrzucają konwencjonalną politykę. Akurat w ostatniej dekadzie coraz powszechniejsze stawało się

zaś przekonanie, że Kościół jest „systemowy”, rozpolitykowany, a do tego mówi głosem jednej partii.

Czyli – nie wdając się w szczegóły – nastolatki i najmłodszy dorośli nie lubią Kościoła, tak jak nie lubią polityki. To zaś potwierdzałoby tezę, że chodzi nie o pojedyncze afery, ale o całokształt instytucji i jej działanie. – U dzisiejszych nastolatków widać niechęć do wielkich, ociężałych, skomplikowanych struktur – nawet jeśli obiecują one wspólnotę. To łączy partie i Kościół w oczach młodych. Działalność tych instytucji wydaje się też obszarem gier o władzę, intryg, interesów.

Nie musi to jeszcze oznaczać, że nagle całe pokolenie stanie się radykalnie antykościelne czy gremialnie zapisze się do organizacji promujących świeckość państwa. Ale może dużo szybciej zwrócić się w kierunku obojętności lub drwiny. Organizatorzy „Świeckiej szkoły” mówią, że dużo częściej niż z otwartą niechęcią do Kościoła spo-

CZY UCZĘSZCZASZ NA LEKCJE RELIGII W SZKOLE?





Maj 2017 r. Billboardy w Krakowie.

tykali się u młodzieży właśnie z kpina, tym jadowitszą, im głośniejsze było o skandalach seksualnych w Kościele. Nie można też zapominać, że w Polsce tradycja wyśmiewania instytucjonalnych molochów – czy będzie to rządząca partia, czy Polski Związek Piłki Nożnej – jest niezwykle silna.

A w kościołach, cokolwiek by się wydarzyło, młodzieży będzie mniej.

Nie ilość, ale jakość?

Jest jednak i druga strona medalu. Próbuje nasztyścić czytelników widmem śmierci katolicyzmu i ateistycznej rewolucji nagłówki z „Frondy”, „Gościa Niedzielnego” czy mediów braci Karnowskich bywają mocno przesadzone. Bo – jakkolwiek duży jest spadek w statystykach religijności – na tle Europy Polska jest nie pustynią, lecz raczej oazą wiary. Najlichnieszą grupę młodych katolików w Europie stanowią Polacy i Polki, to z Polski wywodzi się co czwarty ksiądz kato-

licki na kontynencie i to między Odrą a Bugiem regularną modlitwę i uczestnictwo w praktykach religijnych deklaruje większy odsetek nastolatków niż na Zachodzie. W zaangażowaniu religijnym młodzieży wciąż, jak mówił ks. dr Sadłoń, wyprzedzamy Europę.

Blizsze sedna sprawy jest takie ujęcie problemu: chodzi nie o to, czy Kościół „wygra” lub „przegra”, ale jaki wyjdzie z tej przemiany. Tłumaczy to Marcin Dzierżanowski: – W Polsce jesteście opóźnieni wobec Zachodu

na obrzędowość i bierne członkostwo w Kościele, nie przystaje do XXI w. Tej zmianie podlegają reszta i inne instytucje, nie tylko Kościół – partie polityczne, kluby sportowe, stowarzyszenia. Istnieje zapotrzebowanie na aktywne członkostwo, spłaszczone relacje władzy czy wewnętrzną demokrację nawet tam, gdzie wcześniej było to nie do pomyślenia. – Mniej liczni wierni często tworzą żywsze, trwalsze i mocniej związane z Kościołem wspólnoty – dodaje Dzierżanowski.

Przez dziesięciolecia budowaliśmy kościoły, ale nie budowaliśmy wspólnoty – teraz trzeba się z tym zmierzyć.

o przynajmniej jedno pokolenie także pod względem modelu, jaki Kościół oferuje swoim wiernym. Najkrócej mówiąc, np. we Francji katolicyzm nie jest ilościowy, lecz jakościowy.

Model masowego uczestnictwa w praktykach religijnych, z naciskiem

Agata Diduszko-Zyglewska twierdzi, że Kościół zderza się boleśnie z tą presją i traci najmłodszych. – Kościół polega na retoryce wspólnoty i rodziny, ale we współczesnych społeczeństwach inaczej już rozumiemy te pojęcia. Jeśli wspólnota, to aktywna i dobrowolna; jeśli rodzina, to równościowa itd.

Czy w Polsce może nastąpić przejście od katolicyzmu ilościowego do jakościowego? Diduszko-Zyglewska wątpi: – Jeśli po drodze Kościół miałby stracić przywileje polityczne i zerwać z klientelizmem, to hierarchia nie jest na to ani gotowa, ani chętna.

Nie wszyscy są tak sceptyczni, choć nikt nie udaje, że wyzwanie nie jest poważne. – W Polsce przez dziesięciolecia budowaliśmy kościoły, ale nie budowaliśmy wspólnoty – teraz trzeba się z tym zmierzyć – kończy Dzierżanowski.

Jakub Dymek

JEŚLI UCZĘSZCZASZ NA LEKCJE RELIGII W SZKOLE, JAK JE OCENIASZ?



JAKA FORMA NAUCZANIA RELIGII BYŁABY NAJLEPSZA?



Rozmawia Robert Walenciak

Panie profesorze, chciałbym porozmawiać o polskiej edukacji.

– O! Na to pytanie najlepszą odpowiedzią jest anegdota, jak w stanie wojennym telewizja przyjechała do górą, żeby przeprowadzić z nim wywiad, żeby powiedział coś dobrego. A on się wzbraniał, że nic nie powie. W końcu dziennikarz mówi do niego: „Ależ baco, jak wy tu powiecie, to cały świat będzie was widział!”. Na co on pyta: „Cały świat? W Ameryce też?”. „Oczywiście, że w Ameryce też!”. „No to dobrze, to dawajcie”. Włączyli więc kamery, światła, dziennikarz mówi do bacy: „To gadajcie!”. A on: „Ratunku!”.

Jaki model edukacji powinniśmy więc budować?

– To wymaga trochę historycznego wstępu. Po II wojnie światowej Europa, Stany Zjednoczone, Kanada i spora część świata w szalony sposób się wzbogaciły. Nastąpiło to poprzez rozwój technologiczny, ale to był taki XIX-wieczny rozwój technologiczny. Najpierw wszystko było elektryczne, potem pojawiła się elektronika, ale to ciągle było związane z XIX-wiecznym stylem życia. I nagle, zupełnie niepostrzeżenie, wydarzyło się „coś”. Bez istotnych nowych osiągnięć nauki, bo nic takiego wielkiego, przełomowego w fizyce pod koniec XX w. się nie wydarzyło, zaczęła się nowa rewolucja technologiczna, która jest zupełnie inna, niż była na początku XX w. Charakteryzuje się ona niesamowitą głębią i szybkością przemian. W dodatku zmieniła podstawowe pojęcia społeczne, zwłaszcza kontaktów międzyludzkich.

Na czym to polega?

– Rzędzian mógł być na Dzikich Polach, ale sądził się ze swoimi sąsiadami gdzieś spod Poznania o gruszki spadające na miedzę. W tej chwili sąsiad to ktoś, kto jest na moim portalu społecznościowym i on geometrycznie może być gdziekolwiek. Geometria kontaktów międzyludzkich z geometrii kuli ziemskiej zmieniła się na geometrię sieci informacyjnych. Myśmy prawie wszystko, poza produkcją, przenieśli do sieci. To spowodowało, że w życiu społecznym nastąpiła wielka przemiana. Nasza struktura społeczna, ta sprzed 2001 r., przestała istnieć.

Jak się dopasować do nowego świata?

Nieuctwo jest przyczyną nieszczęść, które nas spotykają. Widzę, jak wielu polityków jest kompletnymi nieukami, jeszcze źle wychowanymi



PROF. ŁUKASZ TURSKI

– fizyk, profesor w Centrum Fizyki Teoretycznej PAN
i przewodniczący Rady Programowej Centrum Nauki Kopernik

Rewolucja jak Gutenberg

Tak dokładnie pan to wyznacza?

– Mogę podać nawet dzień. Ona przestała istnieć w dniu, w którym Steve Jobs pokazał pierwsze prawdziwie mobilne urządzenie działające w sieci, czyli iPoda. Od tego zaczyna się zmiana. I młodzi żyją już w całkowicie innej cywilizacji. Natomiast nasze pokolenia, te, które ciągle zarządzają tym interesem, próbują to wszystko wtłoczyć w XX-wieczny schemat patrzenia na rzeczywistość. A to się nie daje! To wywołuje konflikt. Młodzi ludzie inaczej patrzą na świat, mają inne potrzeby.

Patrzą ciągle w te telefony.

– Niech patrzą! Komu to przeszkadza? Byłe tylko uważali na

przejściach dla pieszych. To więc się zmieniło i my tego nie rozumiemy. Obecna rewolucja jest takim „Gutenbergiem”, który przebiega kilkaset razy szybciej i idzie znacznie głębiej w społeczeństwo niż rewolucja druku. Tylko trzeba pamiętać, że rewolucja Gutenberga skończyła się reformacją i trwającą setki lat rzezią w Europie. To groźne memento!

Ale z drugiej strony wojny napędzają rozwój technologii.

– To prawda, większość poprzednich wielkich przemian, może minus ten Gutenberg, to były przemiany wywoływane przez technologie, które – powiedzmy sobie szczerze – w dużym stopniu służyły wojnie. Nawet początek rozwoju ery elektryczności był „skalany” zastosowaniem

krzesła elektrycznego przed, powiedzmy, klimatyzatorem. II wojna światowa jest tego przykładem. Przez cały XX w. kanibalizowaliśmy osiągnięcia nauki z czasów II wojny światowej. Eksplozja nauki w XX w. była spowodowana wojną.

I co się zmieniło?

– Rewolucja XXI w. została zainspirowana przez kulturę! Jobs i przeniesienie rzeczy do internetu to nie był żaden pomysł wojenny. Wprawdzie internet wziął się z technologii wojskowych, ale później to było coś, gdzie miała być muzyka. A potem książki, handel – taki katalog Searsa na kliknięcie myszką. Owszem, to zostało na samym początku skażone zamachami z 11 września. W tej chwili więc znowu mamy gigantyczny postęp, bo kolejne badania finansuje też armia. Ale ciągle dominująca

korzysta z tego, ale tak naprawdę jest wykluczony.

Cyfrowo wykluczony.

– On nie jest cyfrowo wykluczony! On klika palcami po ekranie 45 razy szybciej, niż ja potrafię, i się nie myli, a ja się mylę. Ale on jest wykluczony społecznie. Bo dla niego nie ma miejsca, on nie pasuje. Rewolucja technologiczna spowodowała, że coś, co było kiedyś demiurgiem – wielkoprzemysłowa klasa robotnicza – przestało istnieć.

To tendencja ogólnoświatowa.

– Ameryka – wyobrażam sobie, że tam odczuto jeszcze większy szok. Jeżeli się pracowało w fabryce, powiedzmy Forda, to do lat 80. była to porządna robota. Ojciec zarabiał tyle, że rodzina miała domek, telewizor, samochód, mama nie pracowała, dzieci chodziły do szkoły,

podpadniętym obywatelem, nie można kupić biletu na samolot, na pociąg.

– Cywilizacja popełnia różne błędy. Ale może w Europie moglibyśmy tego uniknąć? Proszę zwrócić uwagę, że ta Europa to takie ciupeńkie coś. A w tym środku jest Polska – Mexico City razy półtora. Żeby czymś być w tym nowym świecie, który się przemienił w związku ze zmianą geometrii, ta Europa musi funkcjonować tylko jako całość. I ona miała coś unikatowego, to znaczy systemy rozwoju nauki i kultury.

Używa pan czasu przeszłego...

– Bo cokolwiek pan kupuje, zostało zrobione w Chinach, w Bangladeszu, natomiast tam zawsze jest małymi literami: *Designed in California*. Jak mało rzeczy jest z napisem: w Europie! Zatraciliśmy chęć tworzenia! Przez to, że się źle uczymy. Przestaliśmy rozumieć, na czym polega rozwój kształcenia, po co są szkoły, po co są uniwersytety. Myśmy o tym zapomnieli, próbujemy tworzyć jakieś zawiłe struktury prawne, które by wygrały ten światowy wyścig w rozsądnym rozwoju, ale to nie struktury wygrywają! Nie wygramy w produkcji skarpetek, nie wygramy w produkcji dysków komputerowych, musimy wygrać w wymyślaniu. Na przykład Europa na pewno jest jednym z dominantów na rynku medycyny. To zajmijmy się tym! A my nie chcemy produkować lekarstw, bo się boimy ryzyka związanego z produkcją nowych. Produujemy w tej chwili mniej lekarstw nowych, niż produkowaliśmy lata temu. Bośmy zakneblowali rozwój tej technologii.

Dlaczego tak się dzieje?

– Dlatego, że ludzie, którzy zajmują się organizacją szkolnictwa, także politycy, nie są w stanie zrozumieć, od czego trzeba zacząć dopasowywanie się społeczeństwa do nowego świata. Trzeba oczywiście zacząć od młodych ludzi, w jakiś sposób ich przygotować. Tylko że w XXI w. przygotowanie do przyszłego życia musi wyglądać zupełnie inaczej niż w wieku XX. Ponieważ nie musimy uczyć dzieci w XXI w., jak wyglądał krokodyl. Bardzo dużo dzieci już widziało krokodyla. O tym krokodylu można znaleźć wszystko.

A nawet więcej.

– Bo w morzu internetowej informacji jest też program, że na wyspie

Niewidzialna ręka rynku nie jest ręką ślepcą. Kieruje nią nauka.

jest technologia cywilna, ciągle większa część rozwoju jest napędzana przez rynek. Tylko że ta niewidzialna ręka rynku nie jest ręką ślepcą. Kieruje nią nauka. I to jest ta zupełnie inna struktura cywilizacyjna. W związku z tym całą naszą działalność społeczną trzeba dopasować do tej nowej cywilizacji. Ponieważ geometria świata się zmieniła, dotychczasowe podziały na narody, państwa, granice itd. związane z geometrią kuli ziemskiej tracą aktualność.

Szok wielkiej zmiany

A ten zwykły człowiek nie potrafi się odnaleźć w nowej rzeczywistości, więc ucieka do starych, znanych sobie form.

– A one już nie działają! I to wywołuje w nim frustrację. W dodatku wiemy z historii, że podobne sytuacje już były. Luddyci byli. Ale wiemy też, że ich obawy były przedwczesne. Rozwój cywilizacyjny wcale nie spowoduje, że ci ludzie muszą być bezrobotni.

Bo rodzą się nowe zawody.

– Tylko one będą zupełnie inne. Przeniesienie wszystkiego do sieci spowodowało dramatyczną rewolucję w czymś, co kiedyś nazywało się realiem. I jak ktoś się nie nauczy odpowiednio z nowej technologii korzystać, znajdzie się na marginesie. Niby

wszystko było OK. Gdy syn dorastał, miał gotowy wzorzec. Jeśli słabo się uczył, aplikował do Forda na taśmę, jeśli lepiej – do grupy techników, może inżynierów. Kiedy ojciec przechodził na emeryturę, mógł się przenieść gdzieś pod Tampe na Florydę. Wszystko działało. Ale przestało istnieć, bo ta praca zginęła. I ci młodzi ludzie znaleźli się w dramatycznej sytuacji. Nikt z nimi nie rozmawiał, tak samo jak my dziś nie rozmawiamy z młodymi ludźmi. Tracimy czas na idiotyczne dyskusje. Mieliśmy wybory do Parlamentu Europejskiego i przez całe tygodnie kampanii nikt nic o Europie nie mówił.

To prawda, o Europie była cisza.

– Bo co kogo to obchodzi? Poza tym proszę zwrócić uwagę na ubóstwo języka. Idę do parlamentu, żeby walczyć! No dobra, ale powiedz, o co.

O Polskę.

– A co to znaczy? A jeśli za chwilę się okaże, że problemy Polski nie są tak istotnie różne od problemów Niemiec czy Francji? Klimat w Europie Środkowo-Wschodniej jest wszędzie dość podobny.

Jak się dostosować?

Rewolucja cyfrowa ma wiele złych stron. Umożliwia totalną inwigilację obywatela. W Chinach wprowadzono system punktów. Jeżeli się jest

► Michichichi żyją jednorożce. Tym więc, czego musimy młodego człowieka w szkole nauczyć, jest rozpoznawanie kłamstw, fałszu. To się teraz nazywa postprawda albo fakty alternatywne. Ale ja jestem dostatecznie stary, żeby używać tradycyjnych słów: kłamstwa i oszustwa. Dziś zatem szkoła nie tyle ma przekazywać wiedzę, ile nauczyć odróżniania kłamstwa i fałszu od prawdy. Oraz posługiwania się wiedzą w zdobywaniu nowych kwalifikacji. A one niekoniecznie są takie same jak te stare. Bo np. coraz większą rolę odgrywają tzw. miękkie kwalifikacje. Trzeba zdawać sobie sprawę, że rozwój technologii się nie zatrzyma. Jeżeli futuryści mają choć ślad racji, że zbliża się nowa faza automatyzacji produkcji, człowiekowi pozostanie zupełnie inne pole do wykonywania pracy.

przychodzi, ale tylko żeby wypełnić półki. A klient bierze towar, wkłada do koszyka i wychodzi. Wszystko jest zeskanowane, policzone i automatycznie odliczone z karty. To się tak skończy, że pań na kasie już nie będzie! To jeden z przykładów, że ludzie muszą być przygotowani do tego, że w życiu będą musieli robić różne rzeczy.

Zamiast słuchać, lepiej szukać (samemu)

Jak do takiej rzeczywistości przygotować młodzież?

– Licea, szkoły zawodowe... Wszystkie te słowa mają inne znaczenie w XXI w. I na pewno nie ma sensu kazać dzieciom, by wkuwały te tysiące niepotrzebnych rzeczy. Programy nauczania są zupełnie archaiczne. Matury – żadne zadanie na maturze

różne złożone czynności. Musiały znać matematykę. Ale zadania były praktyczne! Dlatego w szkole też powinny być zadania praktyczne. Ona powinna być bardziej osadzona w rzeczywistości. I przede wszystkim dzieci muszą same się uczyć.

Jak zmusić dzieciaka, żeby sam się uczył?

– Ależ nie trzeba zmuszać! Dzieci wolą same robić, niż być zmuszane. Wystarczy zobaczyć, jakie tłumy walały do Centrum Nauki Kopernik! Szkoła musi przestać być szkołą wykładową. Musi być szkołą interaktywną. Żeby uczniowie sami się czegoś nauczyli, sami szukali, a nie żeby o wszystkim usłyszeli.

Jak?

– Chce pan przykład? Otwórzmy w internecie katalog samochodu Tesla. Elektrycznego. Tam pan Musk napisał, ile ta Tesla zużywa energii



POMOŻECIE?

POLSKA RZECZYWIŚCIE LUDOWA

NOWA SERIA KSIĄŻEK „PRZEGLĄDU”

Jakie?

– To będzie praca wymagająca miękkich kwalifikacji. Na przykład opiekowanie się ludźmi, młodymi i starymi. Moja żona jest lekarzem i mówi, że nie bardzo będziemy chcieli na starość, żeby maszyną, metalową, zimną ręką, zmieniała nam pieluchy.

Usługi będą się rozwijać.

– Ale nie takie jak teraz. Bo nie będzie sklepów. To już się zaczyna. W supermarkecie Auchan, obok którego mieszkam, pojawiły się samoobsługowe kasy. Na początku stały przy nich panie, które pokazywały, jak trzeba wyłożyć zakupy. A teraz siedzi tylko jedna, czyta książkę, bo wszyscy już się nauczyli posługiwać tym automatem. Ale, prawdę powiedziawszy, ten automat nie jest potrzebny. Amazon otworzył w Nowym Jorku supermarket, w którym nie ma obsługi. Owszem, ona tam

z matematyki i fizyki nie dotyczyło czegośkolwiek, co miałoby związek z otaczającą nas rzeczywistością.

Ćwiczyły umysł.

– Niczego nie ćwiczyły! Ten program nauczania powoduje u dzieci głęboką frustrację, ponieważ to, co im każą wkuwać, jest przerażająco nudne. Niedawno ktoś opublikował maturę z matematyki Wyspiańskiego. Zadania są dokładnie takie jak teraz. Ale to był XIX w.! Jestem w posiadaniu testu z matematyki dla dziewcząt i pań starających się o niższe stopnie pracy na poczcie brytyjskiej pod koniec XIX w. Większość polskich maturzystów by go oblała!

Nie wierzę.

– Tak, absolutnie! Ten test polega na rozwiązaniu prostych matematycznie zadań, które wymagają pewnej zdolności kojarzenia faktów. Bo te dziewczyny na poczcie musiały wtedy dużo liczyć, wykonywać

na 100 km. Czytelnikom polecam jako zadanie, żeby zobaczyli, ile energii na te 100 km trzeba zużyć. Potem pomnożmy to przez liczbę samochodów. W Polsce jest zarejestrowanych 19 mln samochodów, tyle przyjmijmy. Niech każdy przejeżdża 15 tys. km rocznie. Teraz obliczmy, ile energii elektrycznej trzeba będzie zużyć na takie samochody jeżdżące po naszym kraju. To z grubsza 40% energii elektrycznej wytwarzanej w Polsce. No fajnie. Trzeba więc ją wyprodukować. A z czego? My rocznie zwiększamy, jeśli jest dobry rok, wytwarzanie energii elektrycznej o niecały 1%. Ale jeżeli będziemy musieli przesiąść się do samochodów elektrycznych, to będziemy musieli w ciągu kilku lat wyprodukować dodatkowo te 40%. To niewyobrażalna inwestycja.

Ale konieczna.

– Ponieważ te samochody trzeba naładować. Powiedzą: pan sobie

naładuje wieczorem w domu. Chałupa się spali, jeśli wszyscy naraz będą chcieli ładować! Kolejne zadanie: obliczyć moc potrzebną do zasilenia, powiedzmy, stu szybkich ładowarek w domu na osiedlu Za Żelazną Bramą. I jestem głęboko przekonany, że dzieci w szkole na lekcji fizyki chętniej będą rozwiązywać takie zadania niż jakieś wymaginowane typu: są trzy oporniki połączone szeregowo... Mamy w Polsce 6,5 tys. stacji benzynowych. Ile musiałoby być na nich ładowarek, żeby te samochody dało się w jakimś skończonym czasie naładować? Z grubsza wyliczyłem, że gdybyśmy je wszystkie wyposażyli w ładowarki Tesli, to co siedem tygodni będzie można pojechać i ładować. A mówi się, że elektromobilność jest przyszłością. Żeby ta przyszłość nastąpiła, trzeba wszystko zbudować, przeprowadzić

szkoła nie będzie podzielona na klasy, nie będzie różnicy. A do szkoły powinny już iść trzylatki. Oczywiście nie powinny siedzieć w ławkach. W szkole Handkego była przyroda, tośmy ją znieśli.

Podzielili na fizykę, chemię, biologię.

– Bez sensu, bo te przedmioty na siebie nachodzą. I jak uczyć dwięcioletnie dzieci? Ja czasami pokazuję dzieciom doświadczenie, jak włożyć jajko do butelki. Jak to się dzieje? I czy to jest lekcja fizyki, chemii, przyrody? Wszystkiego trzeba uczyć razem. Trzy miesiące można dzieci uczyć z jajkiem jako pomocą szkolną. Ubija pan pianę widelcem: dlaczego najpierw jest żółta, a potem biała? A dlaczego potem jest sztywna? Dlaczego ubija się widelcem, a nie łyżką? Niech ktoś mnie przekona, że to jest gorsza nauka, niż kiedy

tej swojej roboty jeżdżę! I staram się jak mogę nadażyć za młodymi ludźmi, którzy tu pracują. Ta praca jest dla mnie frajdą.

Szczęściarz z pana!

– Dla mnie szkoła rozpoczyna się niemal od początku życia, kiedy dziecko zaczyna coś rozumieć, i kończy się, kiedy odłączają respirator. My ciągle będziemy czegoś się uczyć, ciągle coś zmieniamy. Ja w moim zawodzie z sześć razy zmieniłem zainteresowania, to, czym się zajmowałem. Nauczyciele też muszą się zmieniać, muszą się przekwalifikować. Nie ma drugiego zawodu, który tak dramatycznie by się zmieniał! A nasza władza pokazała im gest Kozakiewicza.

Pokazała tym samym, na którym miejscu w hierarchii ważności jest dla niej edukacja.

– Nieuctwo jest w tej chwili przyczyną tych wszystkich nieszczęść,

Odpowiadając na apele Czytelników i sympatyków naszej linii programowej, rozpoczynamy ambitny plan wydania wielotomowej serii książek o Polsce Ludowej. Chcemy zaprezentować, piórem wybitnych uczonych, ludzi kultury i gospodarki, obiektywny i wyważony obraz 45-lecia Polski Ludowej. My wiemy, że nie była to żadna „czarna dziura” i że nie wolno PRL wykreślać z historii Polski. Jesteśmy to winni młodym Polakom, którym zamiast prawdy serwuje się kłamstwa. Wszystkich, którzy są zainteresowani powstaniem tej serii, prosimy o wsparcie. Każda wpłata na poniższe konto ma znaczenie.

Fundacja Oratio Recta ul. Inżynierska 3 lok.7, 03-410 Warszawa Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

wielką przemianę! Jak zacznie się liczyć, to widać, że nic nie wychodzi, poza elektrowniami jądrowymi. Ale takich rzeczy się nie uczy. Za to uczy się dzieci i młodzież jakichś strasznych rzeczy, które im do niczego nie służą. I to dotyczy wszystkich przedmiotów!

Fizykę i matematykę bym połączył

Żeby mieć pewną wiedzę, żeby ją rozwijać, trzeba mieć podstawy.

– Ale trzeba uczyć tych podstaw inaczej. Nic na siłę! Ucz się tego, co ci jest potrzebne. Żebyś rozwiązał postawiony przed tobą problem. A rolą nauczyciela jest kierowanie ucznia po wyznaczonej ścieżce. My musimy tę szkołę zmienić. Na pewno trzeba uczyć dzieci nie przedmiotów, ale opierać naukę na talentach uczniów, to pewnie spowoduje, że

siedzą sztywno w ławce i rozwiązują zadania!

I walczą o stopnie.

– Większość przedmiotów w szkole jest niepotrzebna. A fizykę i matematykę bym połączył. Fizyka powinna być nauką doświadczalną. Dzieci powinny siedzieć wyłącznie w pracowni. Trzeba się przyzwyczaić do tego, że Jaś sobie spali spodnie, a jak go nawet 12 woltów kopnie, to jeszcze nic złego się nie stanie. Natomiast całą część teoretyczną fizyki przeniósłbym do matematyki. Dzięki temu matematyki uczyłbym na przykładach z życia. Szkoła powinna uczyć dziecko, a nie przedmiotu. Nie ma żadnych przeszkód, by zorganizować życie dziecka według jego talentu. Człowiek ma talent, więc niech go rozwija! Nauka, a także życie, nie może być katogą. Musi być przyjemne. Ja mam 76 lat i codziennie rano cholernie się cieszę, że do

które nas spotykają. Patrę na polityków i przecież widzę, jak wielu jest nieukami, takimi kompletnymi nieukami, jeszcze źle wychowanymi. Kupiłem kiedyś u bukinisty podręcznik socjologii napisany przez Bolesława Limanowskiego, przed I wojną światową. To jest gigantyczny poemat na cześć nauki, rozwoju, przyszłości itd. Wielkie marzenie. I to jest różnica między twórcami tamtej Polski a obecnymi politykami. Wydawało się, że jak jest stulecie niepodległości, to takie rzeczy powinno się pokazywać ludziom – jak jeszcze przed I wojną światową polska inteligencja myślała o wolnej Polsce, jak ją projektowała, jaki to był gigantyczny wysiłek.

A tu ciemnota.

– A teraz, im ktoś mniej wie, tym głośniejsze krzyczy na nauczycieli, po co strajkują.

Robert Walenciak

Milicjanci gorszego sortu

Wojciech Raczuk stracił zdrowie, łapiąc bandytę. „Dobra zmiana” obniżyła mu rentę. A sąd mu ją teraz przywrócił

Ewa Smolińska-Borecka

Morderca strzelał z pepeszy. Wystrzelił 18 kul – stwierdzili śledczy, którzy pozbierali i policzyli łuski. Sześć kul trafiło milicjanta Wojciecha Raczuka. Cudem uniknął śmierci. Został inwalidą II grupy, dostał rentę. W ramach „dobrej zmiany”, a konkretnie na podstawie ustawy dezubekizacyjnej, były milicjant stracił 70% renty. Przez ponad półtora roku sądził się w tej sprawie. W maju br. sąd przyznał mu rację i Raczuk ma otrzymywać świadczenie w poprzedniej wysokości.

I wtedy premier, który do tej pory ignorował prośby w sprawie Raczuka wysyłane do niego przez organizacje emerytów, w trybie ekspresowym przyznał mu na rok rentę specjalną w wysokości 2500 zł brutto. Złośliwi mówią, że ta szybka ścieżka rentowa ma związek z jesiennymi wyborami. Podobnie jak skomasowane trzymiesięczne świadczenia 500+ na pierwsze dziecko i „piórnikowe”, które mają być wypłacone we wrześniu.

Prosiłem o 15 minut życia

Kiedys Osiedle Młodych. Ale dziś nikt w Białej Podlaskiej tak o nim nie mówi, bo osiedle ma ponad 40 lat, a młodzi się postarzel. Teraz dzieci tamtych młodych nazywały osiedle Orzechówek i wymyśliły nawet jego herb. W ostatni weekend został uroczystie odsłonięty mural z herbem namalowany na garażach, tuż obok muralu z Rejtanem rozrywającym koszulę i innych patriotycznych dzieł. Miejscowi są dumni z tych murali, a w szczególności z Rejtana. Można usłyszeć, że ktoś taki by się teraz przydał, bo coraz bardziej przerażające jest to, że rządzący za nic mają zdanie tych obywateli, którzy się z nimi nie zgadzają. Oni tu, w Białej Podlaskiej, zrobili, co mogli – w ostatnich wyborach samorządowych na prezydenta miasta wybrali Michała Litwiniuka, kandydata Koalicji Obywatelskiej, po-

pieranego przez PSL, SLD oraz Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów Policyjnych. A Koalicja Obywatelska zdobyła dziewięć z 23 mandatów w radzie miasta.

Orzechówek ma dużo uroku, jest czysty i bardzo zielony. Wojciech Raczuk mieszka w jednym z wielu czteropiętrowych budynków. Przygotował się na spotkanie. Na stole leży stary portfel z brązowej skóry, nadszarpięty przez kulę, i kabura pistoletu na gumowych szelkach, którymi przymocowuje się broń pod pachą. To pamiątki z nocy, kiedy został inwalidą. Portfel odegrał wtedy ważną rolę – Raczuk miał go w wewnętrznej kieszeni na piersi. To on zmienił tor lotu jednej z kul z pepeszy i dlatego trafiła pod żebra, a nie w serce. Raczuk na dowód rozpina koszulę i pokazuje wgłębienie pod żebrami z lewej strony, gdzie kula się wbiła. Druga kula trafiła na nerwy i mięśnie prowadzące do ręki i było podejrzenie, że nigdy tą ręką nie będzie ruszał.

Pochodzi ze wsi pod Międzyrzeczem Podlaskim. Ojciec w czasie wojny był żołnierzem Armii Krajowej, potem w dywizji gen. Maczka. Wojciech Raczuk odbył zasadniczą służbę wojskową, ale do zostania w wojsku

że kompletuje czteroosobową grupę, która ma ująć Józefa Koryckiego. Raczuk zgodził się do niej dołączyć, choć wiedział, że to niebezpieczna misja. Przypiął pod pachą gumowymi szelkami kaburę z niedużym pistoletem P-64. Nie założył kamizelki kuloodpornej, choć ją miał. – Ona bardzo utrudniała ruchy, bo ważyła 8-9 kg – twierdzi. – Mówi pani, że mimo to wołałaby ją mieć na sobie. Teraz ja też bym wołał.

Józef Korycki był postacią znaną w regionie. Nazywano go Janosikiem Podlaskim. Jego specjalnością były kradzieże. Miał swoją grupę, zwaną przez niego związkiem zbrojnym, i twierdził, że wymierza sprawiedliwość. Grupa kradła głównie mienie państwowe i spółdzielcze, ale też zabierała podatki zebrane od rolników przez softysów czy okradała pociągi na stacji towarowej w Łukowie. W październiku 1980 r., w czasie napadu na pociąg na tej właśnie stacji, Korycki zastrzelił z pepeszy 20-letniego mężczyznę, który pilnował ładunku. To z powodu wielu kradzieży i tego zabójstwa był poszukiwany przez milicję.

W nocy 8 lutego czteroosobowa grupa funkcjonariuszy miała go zatrzymać. O godz. 22.30 podjechali pod jakąś stodołę, weszli do środka,

Premier, który przez wiele miesięcy ignorował prośby w sprawie Raczuka, w maju przyznał mu na rok rentę specjalną.

jako zawodowy jakoś się nie kwapił. W wieku 22 lat zatrudnił się w milicji, w wioskowym komisariacie. Trzy lata później Biała Podlaska została stolicą województwa i tworzono tam komendę wojewódzką MO. Raczukowi zaproponowano przejście do Białej Podlaskiej, do sekcji zabójstw. Ta sekcja to sól milicji, a teraz policji. Ale też jedno z najmniejbezpieczniejszych miejsc pracy.

Był 8 lutego 1982 r. Raczuk, wówczas porucznik i starszy inspektor sekcji zabójstw, został po pracy, żeby nadgonić papierkową robotę. Przed godz. 22 przyszedł szef. Powiedział,

zobaczyli niedojedzoną konserwę, rozbabraną pościel. Przejechali do innego gospodarstwa, przeszukali zabudowania. Ostatnim budynkiem była letnia kuchnia. Właściciel gospodarstwa otworzył zamek, zapalił światło i natychmiast się wycofał. Raczuk z drugim milicjantem stanęli w drzwiach. – Zobaczyłem, że przy stole siedzi mężczyzna, trzyma pepeszę – wspomina Raczuk. – Widziałem tylko górną część tułowia. Miałem prawo użycia broni. Technicznie zabić człowieka to sprawa prosta, ale psychicznie wcale tak łatwo nie jest. To żywy człowiek, nie zwierzę. Korycki



Na mocy ustawy dezubekizacyjnej Wojciechowi Raczkowski zmniejszono rentę z 2866,88 zł do 854,00 zł netto.

Portfel zmienił tor wystrzelonego pocisku, dzięki czemu ominął on serce.



Pierwsza operacja w lubelskim szpitalu trwała siedem godzin. Potem była następna. W dokumencie z 1983 r. napisano, że Raczuk doznał ciężkich ran postrzałowych brzucha, ramienia, „okolicy kąta ust po stronie prawej ze złamaniem wyrostka poprzecznego V kręgu szyjnego, złamaniem dolnej prawej gałęzi żuchwy oraz złamaniem ściany bocznej gardła”. Pocisk zmasakrował mu też jeden płat wątroby, który trzeba było usunąć. – Pamiętam swoją rękę – opowiada Raczuk. – Była nieruchoma jak kłoda, czarna, gruba. Bałem się, że nigdy nie będę mógł się nią posługiwać. Po dwóch tygodniach coś zaczęło

strzelić do nas. Kolega dostał w plecy, krzyczał. Ja w ogóle nie czułem bólu. Złapałem się za brzuch i zobaczyłem, że mam krew na ręce. Przełożony pytał: „Wojtek, żyjesz?”. A ja prosiłem Boga, opatrność czy też los o jeszcze 10-15 minut życia. Nie wiem, dlaczego mi na tych 15 minutach tak zależało. Może dlatego, że byłem i jestem fanatykiem życia.

Wątroba w strzępach

Korycki uciekł przez okno. Nikt go nie gonił, bo ranni byli ważniejsi. Przewieziono ich do najbliższego szpitala, w Międzyrzeczu Podlaskim. Wojciech Raczuk natychmiast dostał krew, bo bardzo dużo jej stracił. Wtedy zaczął odczuwać ból. Lekarze po wstępnej diagnozie uznali, że powinien zostać przewieziony do szpitala MSW w Lublinie. Zgodził się. W czasie przewozu zaczął się dusić, bo jedna z kul przeszła przez szyję, która zaczęła puchnąć. Trzeba było zrobić tracheotomię.

w niej pulsować. Nie wiedziałem, czy to dobry znak, czy przeciwnie. Okazało się, że powoli wracała sprawność ręki. Ale nadal z powodu operowanej wątroby i zadrutowanej szczęki nie mogłem normalnie jeść.

Po dwóch miesiącach wyszedł ze szpitala. Teraz, choć tyle czasu minęło, jeszcze raz chciałby podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do jego wyzdrowienia. Zwłaszcza lekarzom z Lublina. Ale także przyjaciołom, kolegom z komendy oraz – a może przede wszystkim – ówczesnej dziewczynie, a dziś żonie. – Wanda odwiedzała mnie najczęściej, jak to było możliwe – mówi Raczuk. – To było dla mnie bardzo ważne. Oprócz różnych fizycznych dolegliwości miałem też psychiczne, które zdiagnozowano jako stres pola walki. Poza tym uświadamiałem sobie, że już nie wrócę do pracy, że będę inwalidą. To bardzo dołująca sytuacja dla osoby, która ma 32 lata. Wanda mimo to mnie nie zostawiła.

Pobrali się wkrótce, kiedy jeszcze był na zwolnieniu lekarskim. Dwa miesiące wcześniej dostał służbowe mieszkanie na Osiedlu Młodych. W tym przydziale jego rany odegrały niebagatelną rolę. Przełożeni zapewne domyślali się, że nie wróci do służby i trzeba mu pomóc w tym, w czym można. Stąd pomysł, że przeniosą go na lepiej płatne stanowisko – zastępcy kierownika komisariatu do spraw polityczno-wychowawczych. Dzięki temu w razie przyznania mu renty miałby wyższy wymiar. A przy okazji komenda wojewódzka MO odzyskała jeden etat w wydziale kryminalnym.

Awans został podpisany 1 lutego 1983 r., prawie rok po postrzale. Ale pracy na etacie zastępcy kierownika komisariatu Raczuk nigdy nie podjął, ponieważ nadal był na zwolnieniu. Wystąpił o rentę. W orzeczeniu o inwalidztwie napisano m.in.: „1. Pooperacyjny brak lewego płata wątroby w wyniku rozrywania postrzałowego z upośledzeniem czynności wątroby. 2. Postrzałowe uszkodzenie splotu barkowego ramienia lewego z niedowładem i zanikami mięśni ramienia (ok. 2 cm), ubytkami czucia powierzchniowego zewnętrznej powierzchni przedramienia oraz upośledzenie siły i chwytu ręki lewej. 3. Zaburzenia w funkcji stawów żuchwowo skroniowych po obu stronach w wyniku postrzałowego zniekształcenia żuchwy”. W orzeczeniu znalazła się decyzja, że od 8 lutego 1982 r., czyli od dnia postrzału sześcioma kulami, zalicza się Raczuka do II grupy inwalidów w związku ze służbą. I że jest niezdolny do wykonywania jakiegokolwiek zatrudnienia. Z powodu przejścia na rentę 15 lipca 1983 r. Raczuk został zwolniony ze służby.

Formalnie na etacie jako zastępca komendanta komisariatu do spraw polityczno-wychowawczych Raczuk był przez pięć i pół miesiąca. Z powodu zwolnienia lekarskiego ani minuty na tym stanowisku nie pracował. Jego przełożeni nie mogli przewidzieć, jak te pięć i pół miesiąca zaważy na życiu Raczuka 34 lata później.

Zadziałała ustawa

Renta inwalidzka Raczuka na początku 2017 r. wynosiła 2866,88 zł netto. 1 stycznia tego roku weszła jednak w życie ustawa z 16 grudnia 2016 r. dotycząca emerytur i rent dla służb mundurowych: policji, ABW, Agencji ▶

► Wywiadu, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Służby Wywiadu Wojskowego, CBA, Straży Granicznej, Biura Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej, Służby Więziennej, i ich rodzin. Na mocy tej kuriozalnej ustawy, przyjętej bez uczestnictwa opozycji, w czasie posiedzenia odbytego nie w Sali Plenarnej Sejmu, ale w Sali Kolumnowej, zostały obniżone emerytury i renty ponad 40 tys. funkcjonariuszy. Ta grudniowa nowelizacja ustawy uchwalonej za rządów PO i PSL przewidywała, że funkcjonariusze poniosą konsekwencje finansowe za służbę na rzecz totalitarnego państwa. Ustawa, zwana dezubekizacyjną, tak naprawdę dotknęła dziesiątki tysięcy osób, które nie miały żadnego związku ze służbą bezpieczeństwa, a nawet jeśli miały, nie popełniły udowodnionego przez sąd przestępstwa.

Zakład Emerytalno-Rentowy MSWiA przystąpił do korygowania emerytur i rent, posiłkując się informacjami z Instytutu Pamięi Narodowej. Lubelski oddział instytutu stwierdził, że Wojciech Raczuk od 1 lutego do 15 lipca 1983 r., a więc w tym czasie, kiedy przebywał na zwolnieniu lekarskim, pracował na rzecz totalitarnego państwa. Rezultatem było zmniejszenie renty z 2866,88 zł netto do wysokości najniższego świadczenia, 854,00 zł netto.

– Jakby tego było mało, zmniejszono również emeryturę mojej żony –

informuje Raczuk. – Ona przez ileś lat pracowała w komendzie wojewódzkiej MO, gdzie się poznailiśmy, w wydziale łączności na etacie telefonistki. Czyli po prostu łączyła rozmowy telefoniczne. Kiedy się dowiedziała, że emeryturę będzie miała zmniejszoną z 1800 zł do 1000 zł netto, zamknęła się w łazience i płakała. Nie wiem, na czym to jej działanie na rzecz totalitarnego państwa miałoby polegać. Żartuję, że pewnie słuchawką biła po głowach przeciwników ustroju.

Rozpędziłem się i jakoś żyję

Żarty żartami, ale Raczukom tak naprawdę nie jest do śmiechu. Od momentu obniżenia jej emerytury i jego renty dostają wspólnie ponad 1800 zł. Leki, które Wojciech Raczuk nadal musi przyjmować w związku z postrzałem sprzed 37 lat, kosztują miesięcznie ok. 400 zł, a czynsz z opłatą za wodę i centralne ogrzewanie – 540 zł, więc na energię elektryczną, telewizję, rozmowy telefoniczne, jedzenie, środki higieniczne, kulturę itp. zostaje im 900 zł.

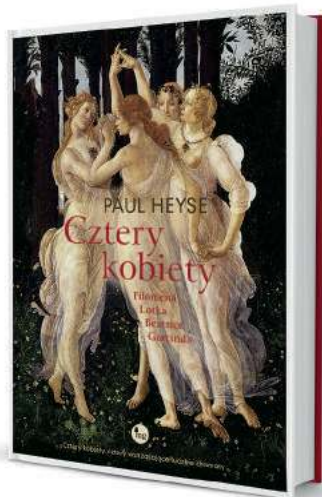
– Cieniutko, przez dwa lata nie starczało nam na życie – komentuje Raczuk. – Gdyby nie ten wypadek, pracowałbym w wydziale kryminalnym, a po 15 latach może poszedłbym na emeryturę i żyłbym teraz spokojnie. A tak bieda jest. Chodziłem na basen i do sauny, żeby kondycję utrzymać,

ale po obniżce renty mnie na to nie stać. Dobrze, że do siłowni w komendzie miejskiej policji mogę chodzić za darmo. Samochód musiałem oddać na złom, bo kupiłem go, jak miał 12 lat, i kolejnych 12 lat nim jeździłem. A na nowy mnie nie stać. Jak żyjemy za te 900 zł na dwie osoby? Kiedyś spytano człowieka, który też miał tak mizerne dochody, jak sobie daje radę. Odpowiedział: „Rozpędziłem się i jakoś żyję”. Czasem nie stać mnie na batonik dla wnuka. A wstyd się przyznać, więc mówię: „Jutro ci dziadek kupi”. Da się żyć, jeśli w domu jest zgoda, przyjaźń, miłość. Ale ci ludzie, którym – jak nam – obniżono renty i emerytury, mają jeszcze drugi, ważniejszy powód do zmartwienia – odebrano im godność i honor.

Jak bardzo wielu innych funkcjonariuszy policji, którym obniżono emeryturę lub rentę, Wojciech Raczuk wystąpił do sądu. Odwołanie od decyzji Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA złożył do Sądu Okręgowego w Warszawie w lipcu 2017 r. Organ emerytalny w listopadzie 2017 r. wniósł o oddalenie odwołania. Ze względu na zapytanie skierowane przez jeden z sądów do Trybunału Konstytucyjnego sądy nie rozpatrują tych spraw, czekając na orzeczenie Trybunału. A ten jest bezczynny. W przypadku Raczuka sytuacja jest inna, bo zaliczono mu pracę, której faktycznie nie wykonywał.

W listopadzie 2018 r. Zarząd Główny Stowarzyszenia Emerytów i Rentistów Policyjnych, które wspiera Raczuka, napisał do premiera Mateusza Morawieckiego prośbę o przyznanie renty specjalnej. Żadna odpowiedź z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów nie nadeszła. 13 maja 2019 r. stowarzyszenie złożyło ponaglenie. Poparły je dwie kolejne organizacje: Stowarzyszenie Generałów Policji Rzeczypospolitej Polskiej i Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Policjantów.

I już następnego dnia minister Michał Dworczyk przesłał do szefa MSWiA Joachima Brudzińskiego pismo, w którym prosił o spowodowanie, by dyrektor Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA w możliwie najkrótszym terminie ponownie rozpatrzył sprawę Raczuka. Tymczasem 15 maja, po przeszło półtorarocznej batalii sądowej, Sąd Okręgowy w Lublinie przywrócił Raczukowi



www.wydawnictwomg.pl



Mieszkańcy Orzechówka są dumni z osiedlowych murali.

poprzednią rentę. Ale to nie koniec majowych niespodzianek. 23 maja premier Morawiecki przyznał byłemu milicjantowi rentę specjalną w wysokości 2500 zł brutto, która będzie wypłacana przez rok.

Wyrok sądu nie jest prawomocny. Dlatego na razie Raczuk nie dostał ani złotówki wyrównania. I nie wiadomo, kiedy dostanie. Nie wiadomo też, kiedy wypłynie renta specjalna. Ale po wdrożeniu do radości już jest.

Organizacje, które wspierały Raczuka i groziły premierowi skierowaniem sprawy do sądu administracyjnego, cieszą się. Ale również krytykują przeszło półroczną bezczynność premiera. Na stronie internetowej Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych można przeczytać taką ocenę: „W tym przypadku nie było żadnej empatii, tylko wyrachowany interes partii, trochę podobnie jak w przypadku słynnego stada krów w Lubuskiem. Doskonale wiemy, że mieliśmy do czynienia z wyważoną zimną kalkulacją, wyborem tego, co się bardziej opłaca w aspekcie wyborów. Takie doraźne gaszenie pożaru”.

Starszy syn Raczuka poszedł w ślady ojca, jest policjantem. Czy zastanawia się, że kiedyś, po zmianie rządów, będą rozliczani obecni policjanci? Ojciec i syn nigdy o tym nie rozmawiali. – Muszę go spytać, czy bierze pod uwagę depiszację – mówi Raczuk.

Żółte kamizelki

Za Wojciechem Raczukiem murem stali koledzy z koła Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych z Białej Podlaskiej a także

z powiatowego komitetu protestacyjnego powołanego w Białej Podlaskiej przez policyjnych emerytów i rencistów. Zadaniem komitetów (ten w Białej Podlaskiej powstał już w kwietniu 2017 r. i był jednym z dwóch pierwszych w kraju) jest – jak piszą organizatorzy – „podjęcie wspólnych działań w kierunku usunięcia z systemu prawa Rzeczypospolitej Polskiej skrajnie represyjnej i niegodziwej ustawy z 16 grudnia 2016 r., pozbawiającej nas honoru, godności oraz należnych świadczeń emerytalnych i rentowych”.

Wojciech Raczuk jest drugą w kraju osobą, która wygrała z ustawą dezubekizacyjną.

Emeryci i renciści policyjni z Białej Podlaskiej zbierają się w każdą środę. Dyskutują, wspierają się. Do pracy włączają się także ci, którzy nie cierpieli z powodu ustawy, ale starają się dawać siłę poszkodowanym koleżankom i kolegom. Organizują miesięcznice w każdą środę, która wypada koło 16. dnia miesiąca, jako przypomnienie głosowania w Sejmie, które odbyło się 16 grudnia. Wtedy zakładają żółte kamizelki odblaskowe z napisem: „Prawo, godność, honor” i rysunkiem zaciśniętej pięści w geście ilustrującym hasło Dolores Ibárruri: *No pasarán!* Podążają na plac Wolności i na deptak na ulicy Brzeskiej. Rozdają przechodniom ulotki o ustawie dezubekizacyjnej i o tym, kogo faktycznie ona dotknęła. I cieszą się, kiedy ludzie się zatrzymują, zadają pytania i stwierdzają, że nie mieli pojęcia, jak wiele jest osób bezpod-

stawnie skrzywdzonych, i że tak być nie powinno.

Na osiedlu Orzechówek mieszka dużo byłych funkcjonariuszy policji. Są domy, w których kiedyś było ich nawet dwóch czy trzech, ale wielu już odeszło. Kiedy się spaceruje po osiedlu z Janiną Salą, była policjantką, co chwila ktoś ją pozdrawia, m.in. byli policjanci lub ich rodziny. – Ta pani ma obniżoną rentę po mężu – informuje Sala. A po chwili dodaje. – Tamta pani też ma obniżoną rentę po mężu. Moja znajoma, której rentę rodzinną obniżono do 854 zł, musi pracować w sklepie, choć ma 68 lat i jest schorowana. Słyszałam o 92-letniej kobiecie, której także znacznie obniżono rentę po mężu, ale nikomu się nie przyznała, bo się wstydziła. Syn dowiedział się, dopiero kiedy przeglądał dokumenty po jej śmierci. Był zdruzgotany, że matka żyła w nędzy, sprzedawała dobytek, żeby jakoś się utrzymać.

Janina Sala również ma przeszło 90-letnią matkę, która jest wdową po milicjancie i obniżono jej rentę po mężu. Sama pani Janina z powodu ustawy dezubekizacyjnej ma zaledwie 900 zł emerytury. W sądzie walczy i o rentę mamy, i o swoją emeryturę. Ma dwupokojowe mieszkanie. Dostała je jako policjantka, potem wykupiła. Jeden pokój zajmuje dorosły syn i Ja-

nina Sala cieszy się z tego, bo chłopak dokłada się do czynszu. Inaczej byłoby bardzo trudno. Pani

Janina uczestniczy w zebraniach Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych. W miesięcznice w żółtej kamizelce, razem z sześcioma albo dziewięcioma innymi osobami, wychodzi na ulicę Brzeską. – Ludzie się dziwią, że zabrano nam pieniądze za nic – mówi. – Jeżeli ktoś popełnił przestępstwo, niech się nim zajmie prokuratura lub sąd. Napisałam odwołanie z powodu obniżenia emerytury do sądu.

Wojciecha Raczuka poznała na początku lat 80. Przyszła do wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej MO. A potem, gdy wróciła z urlopu wychowawczego koleżanka, którą zastępowała, przeszła do hali maszyn, czyli przepisywała pisma. Na koniec trafiła do wydziału szyfrów. To ten wydział został uznany za miejsce, gdzie działano na rzecz totalitarnego państwa. – Rządzący nazywają nas

► zbrodniarzami – stwierdza smutno. – A przecież nikt z nas nie ma wyroku sądu. Myślałam, że nic takiego nie może się zdarzyć w cywilizowanym świecie. Czekam na sprawiedliwość. Zaparłam się i będę żyła, żeby jej doczekać.

Zdzisław Kozłowski też mieszka na osiedlu Orzechówek. I też jest policyjnym emerytem. A poza tym prezesem powiatowego komitetu protestacyjnego, prezesem honorowym Klubu Motocyklowego „Grom”, kierownikiem Grupy Rekonstrukcyjnej „Biała Drogówka”. Pełni także wiele innych funkcji społecznych. Za te funkcje, ale również za pracę zawodową, dostał wiele odznaczeń i dyplomów.

On też ma obniżoną emeryturę. Pierwsza ustawa emerytalna, przyjęta jeszcze za rządów PO-PSL, obniżyła ją o ok. 170 zł. – Ta pierwsza ustawa objęła kilka tysięcy osób, druga, z 2016 r., ponad 40 tys. funkcjonariuszy. Były to osoby pracujące w organach bezpieczeństwa państwa, a nie tylko w SB, m.in. w Departamencie PESEL czy w Inspektoracie Operacyjnej Ochrony Elektrowni Jądrowej w Żarnowcu – przypomina Kozłowski. – Ja przez 10 lat pracowałem w wydziale śledczym i zajmowałem się sprawami istotnymi dla gospodarczego i politycznego istnienia państwa.

– Dostaję 1716 zł na rękę – mówi Kozłowski. – Moja żona nie pracowała, żyjemy tylko z mojej emerytury. Zrobiłem wyliczenie: czynsz 400 zł, garaż 160 zł, kablówka i internet 101 zł, prąd 65 zł, gaz 50 zł, abonament RTV 22 zł. Razem 798 zł. Zostaje 918 zł, na jedną osobę dziennie wypada 15,30 zł. Można przeżyć, ja się nie żalę. Ale będę nadal walczył o ponowne wyznacze-

nie emerytury. Sąd spytał mnie, czy zgadzam się na zawieszenie sprawy, bo czekają na wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Nie zgodziłem się.

Niedawno spotkał na ulicy Henia, którego poznał wiele lat temu, kiedy był dzielnicowym na obecnym Orzechówku. – On często wchodził w konflikt z prawem – wspomina Kozłowski. – Poznał mnie, powiedział: „Dzień dobry, panie dzielnicowy”. Pytam go: „Heniu, ile wyroków już miałeś?”. On: „15, panie dzielnicowy. I myślę sobie, że w tej dzisiejszej sytuacji to nie ja jestem frajerem, ale pan, bo pan za część lat przepracowanych w milicji ma zero złotych, a ja za każdy rok odsiadki mam emeryturę”. No i co miałem mu odpowiedzieć? Ma rację.

Zadaje pytanie retoryczne: kto odpowie za przedwczesną śmierć tych ludzi, którym obniżono emeryturę do minimum albo którzy odebrali sobie życie? Można powiedzieć: a kto im kazał? Mogli żyć dalej. To był ich wybór, na tym polega demokracja. – Poczekamy do jesiennych wyborów – mówi Kozłowski. – Jeśli nie zmieni się sytuacja, to z zamrażarki zostanie wyjęty projekt ustawy dotyczącej żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. Leży w tej zamrażarce także nasz projekt, który dotyczy przywrócenia nam honoru i godności oraz zabranych świadczeń. Ale czy zostanie z niej wycofany? Nie wiadomo. Może historia kiedyś się o nas upomni? Na swojej stronie w internecie napisałem tak: „A wy, którzy byliście naukowcami, listonoszami, kolejarzami, lekarzami, żołnierzami, jakiemu państwu służyliście? Skoro my totalitarne, to wy w innym państwie żyliście?”.

Ewa Smolińska-Borecka

Gdzieś trzeba będzie szukać pieniędzy na te wszystkie piątki z plusem Kaczyńskiego. Ale gdzie? W budżecie wojskowym nie, polskie wojsko musi być kosztownie uzbrojone, ponieważ jego zadaniem jest ochrona amerykańskich baz w Polsce.

Polak myśli, że będzie miał u siebie amerykańskich żołnierzy w roli zakładników: gdyby wróg ośmielił się zaatakować Polskę chroniącą Amerykanów, to USA już nie mogłyby się wykręcić od udziału w wojnie może nawet atomowej. Gdyby Amerykanie tego nie zrobili, utraciliby twarz. I na tym strachu Ameryki przed utratą twarzy opiera się bezpieczeństwo Polski. Cośkolwiek wiemy o tym, jak Ameryka ceni sobie zachowanie twarzy.

•
Cudzoziemcy już dawno zauważyli, że Polacy przesadnie reagują na bodźce – dobre i złe. Byle czym można ich uradować, byle czym rozgniewać i byle czym zasmucić. Europejska tradycja umiaru nigdy tu nie zagościła.

•
Z Rosji przyszedł marksizm – światopogląd materialistyczny (nie przyszedł, lecz został przywieziony). Z Ameryki przyszedł freudyzm – światopogląd seksualistyczny. Też został narzucony, ale miękką siłą.

•
W komunizmie-sowieetyzmie panował fałsz i maksymalnie był utrudniony dostęp do prawdy. W demokracji dostęp do prawdy jest wolny, a mimo to panuje fałsz. I trudniejszy do zwalczenia niż tamten.

•
Każdy ustrój ma odpowiednie dla siebie służby (nie)bezpieczeństwa. W Polsce liberalno-demokratycznej taką służbą jest dziennikarstwo śledczo-podsłuchowe. Według światopoglądu dziennikarskiego nie ma społeczeństwa obywatelskiego tam, gdzie nie ma dziennikarstwa śledczego z całą otoczką donosicieli.

•
Liberalna demokracja panuje, gdy rząd jest proamerykański. Państwo, z którym Ameryka pozostaje we

11 czerwca nad ranem odszedł

Zbigniew Domino

Sybirak,
nasz wypróbowany przyjaciel, dobry pisarz,
autor „Syberiady polskiej” – dzieła nie do zapomnienia.
Pozostaniesz w naszej pamięci i swoich książkach.

Rodzinie wyrazy serdecznego współczucia składają

głęboko poruszeni Klara i Jacek wraz z zespołem Wydawnictwa Studio EMKA

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Myśli urywane

wrogich stosunkach, jest z definicji autorytarne, tyrańskie, a jego prezydent jest bandytą. Przeciw takiemu państwu wytacza się samoloty bombowe i inne uzbrojenie, a niekiedy nawet prawa człowieka. Nasi pobratymcy Serbowie co do jednego podpiszą się pod taką definicją.

•
Ciągłe się mówi populizm i populizm. Co to jest populizm? Na pewnej niedużej konferencji politycznej Stefan Kisielewski – było to ponad 30 lat temu – wyrwał mnie do odpowiedzi, co to jest populizm. Mówiło się wtedy o populiście Ronaldzie Reaganie. Powiedziałem, co przeczytałem w gazetach, czyli prawie nic. Doskonale trafiającą w sedno definicję dał socjolog polityczny Jakub Karpiński: populizm to demokracja bez instytucji. Jakich to instytucji brakuje żółtym kamizelkom czy wyborcom Salviniego i innym takim?

Demokracja, żeby dobrze funkcjonować, musi być zmieszana z oligarchią, już Arystoteles tak twierdził, praktyka potwierdziła jego słowa. Rzecz w tym, aby mieszanina miała dobre proporcje. Tradycyjna oligarchia bogaczy nie jest tak wroga ludziom jak przejmująca władzę na całym Zachodzie oligarchia medialna. Pegida, żółte kamizelki najwięcej zlorzeczą ekipom telewizyjnym, bo draństwa popełniane przez finansistów są niewidoczne, a kłamstwa telewizyjne każdy widzi.

•
Używają byle jakiego terminu „populizm”, bo nie chcą się przyjrzeć, czym są ruchy sprzeciwu w demo-

kracji tzw. (niestuszenie) liberalnej. Od populizmu tylko pół kroku do faszyzmu, a mając faszyzm w kieszeni, rozcinamy wszystkie węzły gordyjskie. Kto pierwszy wyciągnie faszyzm, ten wygrywa.

•
Nawet gdyby chodziło nie o bilion, lecz o sto dolarów, to ktoś musi rozstrzygnąć, kto komu płaci.

To nie Żydzi postanowili, że Polacy mają zapłacić organizacjom żydowskim 300 mld dol. za mienie utracone w Polsce podczas Holocaustu. (Szafuję sobie liczbami, bo nie jestem wprowadzony w sprawę).

Polskie wojsko musi być kosztownie uzbrojone, ponieważ jego zadaniem jest ochrona amerykańskich baz w Polsce.

Nie urządzać protestów przeciw Żydom, bo oni tylko chcą, a Polska też chce bilion od Niemców. Przeciw Amerykanom protestujcie, jak macie nadzieję. Gdyby sprawa była z Żydami, to Polacy mogliby dyskutować, negocjować, w końcu zawrzeć kompromis. Ale sprawę w swoje ręce wzięli Amerykanie, ustawę 447 uchwalili Kongres, a nie Kneset. Z prawem amerykańskim się nie negocjuje, ono prędzej czy później musi być wyegzekwowane. Prawo amerykańskie jest eksterytorialne, stosuje się także do Polski.

W Warszawie przez tydzień, a może dwa miesiące myślano – dajmy na to, że to było myślenie – że nie ma sprawy, ponieważ rząd polski zawarł umowę z rządem Stanów Zjednoczonych w sprawie odszkodowań i nawet wypłacił od-

szkodowania, ale według premiera Morawieckiego umowa i wypłata były nieważne, ponieważ państwa polskiego wtedy nie było. I oto parę dni temu premier Morawiecki – a mówiąc premier, myślimy prezes – usłyszał echo swoich słów w Ameryce, gdzie oznajmiono, że tak, i owszem, w Polsce nie było państwa, lecz panował bezprawny komunizm.

Jerzy Giedroyc mówił, że nie należy robić żadnej reprivatyzacji, tabliczki z nazwiskami poprzednich właścicieli wystarczą. Przeciw reprivatyzacji występowali inni mądrzy i przewidujący ludzie, jak

Krzysztof Teodor Toeplitz, sam wielomilionowy spadkobierca (gdyby chciał) kamienic i terenów, Karol Modzelewski, Andrzej Walicki i inni, ale tych innych nie było wielu, co prawda, bo konformizm polityczny działał despotycznie. Wszystkie rządy prawicowe i lewicowe podniosły tamę dla reprivatyzacji, zaczynając od spłacania Zabuzan, gdzie nadużycia były aż śmieszne. Pewien prawnik ze Lwowa otrzymał od rządu polskiego odszkodowanie za kamienicę, którą jego prababka miała we Lwowie za Franciszka Józefa. Prawda, że wyrok wydał jakiś trybunał europejski. Szczególnie głupio i haniebnie zachowali się liderzy SLD, nie broniąc kolektywnej własności narodowej, które to pojęcie uznał amerykański Senat w swojej ustawie 447.

Śmierć bez odszkodowania

Robotnik leśny zginął podczas wycinki, ale wdowa po nim nie dostała odszkodowania, bo był ubezpieczony w KRUS

Marek Książek

Był mroźny lutowy poranek 2017 r. Edward Nadolny jak zwykle wyszedł z domu, wsiadł na ciągnik i pojechał w stronę kompleksu leśnego Charubin-Serafin, by wycinać spalinową piłą łańcuchową wyznaczone przez leśnictwo drzewa. Na miejscu spotkał drugiego pilarza, Stanisława K., z którym tworzyli zgraną parę robotników leśnych zatrudnionych przez firmę zajmującą się wyrębem. Pozostało im niewiele do wycinki, gdy przed godz. godz. 15 przyjechał podleśniczy. Z partnerem Nadolnego uzgadniał zadania na kolejną dniówkę – wtedy usłyszeli krzyk zrywkarza, ściągającego ścięte drzewa na składowisko przy drodze. Odwrócili się i zobaczyli przygniecionego ciężkim pnem Nadolnego. Nie dawał oznak życia. Jego zmiażdżona głowa była wbita w ziemię. Obok leżał kask.

– Mąż zadzwonił do mnie przed 15 i zapowiedział, że wróci do domu na obiad. Ale długo się nie pojawiał. Dopiero za jakiś czas przyjechała koleżanka i przekazała nam tragiczną wiadomość – wspomina Lucyna Nadolna, wdowa po pilarzu.

Rolnik w lesie

Z protokołu inspektora pracy i notatki Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku wynika, że wypadek wydarzył się na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Teren zrębu był bagnisty, a ścinana sucha olcha okazała się zawieszona w koronie (widłach) sąsiedniego drzewa w taki sposób, że po uwolnieniu jej od spodu rozpadła się na trzy części. Jedna z nich spadła na głowę pilarza. Gdyby pień drzewa padał w jednym kawałku, pewnie Nadolny, jako doświadczony robotnik leśny, zdążyłby uskoczyć.

Śmiertelny wypadek 56-letniego pilarza wywołał duże poruszenie w jego rodzinnej wsi Kuzie (powiat łomżyński) i miejscowym leśnictwie, ale przede wszystkim u pracodawcy, w Zakładzie Usług Leśnych Beata Skłodowska Dariusz Kaczyński

Wycinane drzewo zabiło pilarza, ale zdaniem prokuratury nie był to wypadek przy pracy.

Spółka jawna w Szczytnie. To jeden z wielu zakładów usług leśnych, których w trakcie transformacji ustrojowej pozbyły się Lasy Państwowe. Zazwyczaj przejmowali je dotychczasowi pracownicy, tworząc spółki i zatrudniając w nich byłych robotników leśnych. Przeważnie na etat, choć – jak w wypadku ZUL ze Szczytna – także na umowę cywilnoprawną na usługi z zakresu robót leśnych. Jednym z takich robotników był Edward Nadolny, który w sierpniu 2016 r. zarejestrował samodzielną działalność gospodarczą i wynajmował się do wycinki drzew. W założeniu była to dogodna forma zatrudnienia, skoro prowadził jeszcze nieduże, ośmio-

hektarowe gospodarstwo rolne. Hodowali z żoną kilka świń, krowę, trochę drobiu... Wystarczyło dla nich i trzech synów, bo córka zdążyła wyjść za mąż. Co prawda, najmłodszy syn skończył 18 lat, więc wszyscy trzej byli już dorośli, lecz jako niepełnosprawni umysłowo wymagały opieki.

Wcześniej Nadolny pracował w szczytnowskim ZUL na pełny etat i miał tam dobre notowania. Ale – jak mówi Dariusz Kaczyński – jego sytuacja życiowa nie pozwoliła mu na pełne oddanie się pracy. Nie mógł ciąć drzew po osiem godzin, bo nie dość, że opiekował się nie-

pełnosprawnymi synami, to jeszcze miał pod opieką matkę po udarze. Dlatego pracodawca postanowił go zwolnić, dając mu jednak możliwość samozatrudnienia. Pan Edward uspokajał żonę, że w jego pracy nic w zasadzie się nie zmieni, jednak zmieniła się forma jego ubezpieczenia. Jako etatowy pracownik był ubezpieczony w ZUS, ale jako rolnik (choć równolegle właściciel jednoosobowej firmy) mógł płacić o wiele niższe składki w Kasie Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Miał ubezpieczenie wypadkowe, chorobowe i macierzyńskie (taka struktura) oraz emerytalno-rentowe. Co wcale nie było jego wynalazkiem, ponieważ KRUS jest wygodnym rozwiązaniem dla zatrudnionych w różnych branżach, a jednocześnie posiadaczy chociażby skrawka ziemi.

Drzewo zabiło człowieka

Według słów Lucyny Nadolnej jej mąż sądził, że składki w KRUS nie tylko zapewniają mu przyszłą emeryturę, ale także zabezpieczają przed szkodą z tytułu wypadku. Okazało się, że owszem, ale tylko w razie wy-

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIE AUTORSKIE

z Krzysztofem Mroziewiczem

28 czerwca (piątek), godz. 17.00

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Wąbrzeźnie
ul. Matejki 11B
Wstęp wolny



padku w gospodarstwie rolnym, a nie w lesie. Być może Nadolny o tym wiedział, bo wyrobił sobie skromną polisę (na 10 tys. zł) w SKOK Rafineria, lecz po wypadku pilarza kasa, przejęta już przez inny bank, stwierdziła, że był ubezpieczony od wypadku śmiertelnego, ale nie podczas wykonywania pracy zarobkowej.

W szczytnowskim ZUL na etatach zatrudnionych jest ok. 60 osób, a samozatrudnionych – co najmniej kilkanaście. Dariusz Kaczyński mówi, że radził im, aby ubezpieczyli się indywidualnie, bo jego firma ubezpiecza ich jedynie od odpowiedzialności cywilnej (OC). Czyli jeśli np. grzybiarz zapędzi się na teren zrębu i gałęzie ścinanego drzewa spadną mu na głowę, odszkodowanie zapłaci towarzystwo ubezpieczeniowe. Właściciele ZUL byli pewnie świadomi, że Nadolny sam może paść ofiarą wypadku. Ale czy wiedzieli również, na jakich warunkach był ubezpieczony w KRUS?

– To skandal, że tacy jak on płacą podwójne składki KRUS, a nie są ubezpieczeni od wypadku przy pracy – grzmi Kaczyński. Wtórzuje mu Be-



Edward Nadolny zginął, wycinając drzewa w kompleksie leśnym Charubin-Serafin.

ata Skłodowska, dodając, że takich krusowców jest w Polsce 65 tys. Liczbę tę podał Lech Obara, radca prawny, podczas programu TVP „Sprawa dla reportera”, w którym prezentowano przypadek Nadolnego. U Elżbiety Jaworowicz po raz pierwszy mecenas Obara podważył punkt widzenia, jaki przyjęto w tej sprawie. Przede wszystkim stwierdził, że Nadolnego należy traktować jak pełnoprawnego pracownika, który powinien być przeszkolony i ubezpieczony tak samo jak etatowiec, a więc w razie wypadku najmujący go ZUL powinien ponosić odpowiedzialność za doznane szkody (od czego może się ubezpieczyć w firmie asekuracyjnej). Przy tego rodzaju pracy wobec pilarza powinny być stosowane szczególne warunki, a zatem i odpowiedni artykuł Kodeksu karnego: że kto naraża człowieka na utratę życia lub zdrowia, odpowiada karnie. Tymczasem wszystkie instytucje po kolei umywają ręce, nawet ostrołęcka prokuratura rejonowa, która umorzyła postępowanie,

uznając zdarzenie z 10 lutego 2017 r. „za nieszczęśliwy wypadek, do którego nikt się nie przyczynił, a który był wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności”. Jednym słowem – drzewo spadło na człowieka i go zabiło. Według prokuratury w tej sprawie w ogóle nie mamy do czynienia z wypadkiem przy pracy, bo pilarz jako firma pod nazwą Usługi Leśne Edward Nadolny nie był pracownikiem zatrudnionym na umowę o pracę, na podstawie powołania lub mianowania. Może nim być tylko osoba fizyczna, a nie „jednoosobowy zespół roboczy” wynajęty przez ZUL, co określa prawo cywilne.

ZUL umywa ręce

Lech Obara zajął się tą sprawą *pro bono*, wychodząc z założenia, że nie jest to jednostkowy przypadek. Osób w podobnej sytuacji, które płacą składki do KRUS, mamy w Polsce co najmniej kilkadziesiąt tysięcy. Nie tylko robotników leśnych, dorabiających poza żniwami na zrębach. Jest to zatem problem społeczny, który trzeba rozwiązać. Poprzez jedną z parlamentarzystek mecenas stara się przekonać ministra Zbigniewa Ziobrę, by polecił ostrołęckiej prokuraturze wznowić dochodzenie i baczniej przyjrzeć się sprawie. Bo ZUL zaniedbał swoje obowiązki, co zresztą – na zlecenie kancelarii Obary – wykazał biegły z zakresu BHP, wykrywając różne usterki w wyposażeniu Nadolnego do tak ryzykownej pracy. Na przykład błędy związane ze szkoleniem, które biegły uznał za zbyt ogólne. Inne warunki panują bowiem w lesie na suchym terenie, a inne na bagnistym, kryjącym różne pułapki. Jeśli więc wina pracodawcy zostanie stwierdzona i dojdzie do zmiany paragrafu, ZUL zapłaci odszkodowanie.

Beata Skłodowska i Dariusz Kaczyński nie czują się winni. Okazali miłosierdzie wdowie i przekazali jej 10 tys. zł. Na pomnik – jak to określiła Lucyna Nadolna. Co do dalszego ciągu sprawy, właściciele ZUL czekają na prawomocne rozstrzygnięcia sądowe, nie biorąc odpowiedzialności za formę ubezpieczenia samozatrudnionych w KRUS. Wdowy po pilarzu to już raczej nie interesuje. W oborze i chlewie zwierząt nie trzyma, ziemię oddała sąsiadowi w dzierżawę. ■

Mobbing trucizna w małych dawkach

Nękanie zwykle chowa się za dobrze brzmiącymi sloganami, niedopowiedzeniami. Za to jego skutki bywają nieodwracalne

Katarzyna Wierzbicka

Marta wchodzi do lokalu wolno, rozglądając się nerwowo na boki. Przygarbiona, siada w końcu naprzeciwko. Uśmiecha się blado na powitanie. To jeden z nielicznych momentów, kiedy patrzymy sobie w oczy – przez większość rozmowy albo jej wzrok będzie utkwiony w stole, albo będzie się rozglądała po wnętrzu kawiarni. – Trochę się boję, że zaraz spotkam kogoś z pracy – zaczyna. – Wiem, że jak skończy mi się zwolnienie, muszę tam wrócić, choćby po to, żeby złożyć wypowiedzenie. Ale jak tylko o tym myślę, ogarnia mnie lęk.

Historia zaczyna się we wrześniu 2018 r. Pracując w biurze rachunkowym Marta postanowiła zmienić pracę. W poprzedniej spędziła ponad 15 lat, chciała więc sprawdzić się gdzie indziej, rozwinąć się. „Posypała się”, jak mówi, po kilku miesiącach: ataki paniki, migreny, apatia, lęk. – Szłam do pracy, bojąc się, co zrobi tym razem. Jaki błąd znajdzie, jak mnie nazwie, co powie. Na początku starałam się po prostu nadążyć, tłumaczyłam sobie, że widocznie poprzeczka jest wyżej. Potem straciłam już wiarę w to, że cokolwiek zrobię dobrze – wyznaje. – Bardzo się starałam, a i tak w ostatniej chwili okazywało się, że wszystko jest złe. Szef nie wysyłał mi niezbędnych dokumentów, twierdząc, że to robi. Głupiałam.



Do psychiatry zgłosiła się, gdy pojawiły się myśli samobójcze. Dostała antydepresanty i półroczne zwolnienie. – Kiedy szef dowiedział się o mojej nieobecności, wpadł w szał. Dzwonił o każdej porze, wrzeszczał, że mi pokaże. Przestałam odbierać telefony, ciągle się boję, że go gdzieś spotkam.

Jak wynika z badania CBOS z 2014 r., mobbing – tj. nękanie w miejscu pracy – jest w Polsce poważnym problemem społecznym. Aż 17% ankietowanych pracowników (2 mln osób) deklarowało, że doświadczyło w pracy szykanowania, a 5% twierdziło, że nękanio ich systematycznie. „Blisko połowa badanych wskazywała na bezzasadną krytykę,

badaniami. 40,4% badanych przez dr Miedzik pracowników było zatrudnionych na podstawie umów na czas nieokreślony. „Mobbingu częściej doświadczali pracownicy sektora publicznego (63%) niż osoby pracujące w sektorze prywatnym (...). Znacznie częściej kobiety (59,6%) niż mężczyźni (40,4%). Około 44% mobbowanych stanowili pracownicy do 30. roku życia. (...) Blisko połowa mobbowanych legitymowała się wyższym wykształceniem (49,4%), podczas gdy osoby z wykształceniem średnim zawodowym lub policealnym stanowiły odpowiednio 20,7% i 11,7%”.

Mimo to w statystykach Państwowej Inspekcji Pracy problem mobbingu jest w zasadzie nieuchwytny. Według informacji PIP w roku 2017 otrzymała ona zaledwie 1642 skargi, w kolejnym

– 1825, a do końca maja tego roku było ich 685. Z kolei liczba postępowań w sądach sięgnęła w 2017 r. 2,5 tys. Wciąż jednak nie wiadomo, jaki procent spraw wychodzi kiedykolwiek na jaw. Wiadomo za to, że kondycja psychiczna polskich pracowników nie jest dobra – według danych ZUS tylko w pierwszej połowie 2016 r. Polacy wzięli aż 9,5 mln dni wolnych od pracy z powodu zaburzeń psychicznych.

Jednak polskie orzecznictwo w sprawach o mobbing raczej zniechęca do szukania pomocy: – Część zgłaszających się do mnie klientów

Krzyczał tylko wtedy, kiedy miał pewność, że nikt poza Martą nie słyszy.

upokarzanie, podważanie autorytetu, obrażanie określeniami pejoratywnymi lub wulgarnymi, głośne obgadywanie, psychiczne znęcanie się”, zwraca uwagę socjolog i były szef Rady Mazowieckiej OPZZ Piotr Szumlewicz w artykule dla „Magazynu Gazy Prawnej”. Z kolei według badań wykonanych przez dr Monikę Miedzik, psycholożkę analizującą zjawisko mobbingu w Polsce, nękania ze strony pracodawcy może doświadczać aż 18,7% zatrudnionych. Jak podkreśla w artykule na stronie Niebieskiej Linii, podobny wynik pokrywa się z innymi

przychodzi już po próbach samobójczych. W najcięższych przypadkach ofiary są wręcz stale niezdolne do powrotu do jakiejkolwiek pracy czy nawiązywania kontaktów społecznych – mówi mec. Grzegorz Ilnicki, prawnik specjalizujący się w sprawach o mobbing i dyskryminację w miejscu pracy. – Tylko ok. 7% tych, którzy decydują się założyć sprawę w sądzie, wygrywa. W 93% sprawcy pozostają bezkarni.

Dla doświadczających mobbingu oznacza to jedno – ze skutkami przemocy mają radzić sobie sami. Zaszczuci, upokorzeni i osamotnieni, często cierpią w milczeniu.

Pętająca przemoc

Marta nie potrafi powiedzieć, od czego właściwie się zaczęło. Choć antypatię, jak mówi, czuła się od początku: nieodpowiadanie na dzień dobry, pogardliwe gesty, złośliwe komentarze. – Myślałam: „on tak ma” i starałam się tak wykonywać swoją pracę, żeby uniknąć nieprzyjemności. Efekt był odwrotny do zamierzonego – im więcej robiłam, tym bardziej obrywałam. Przed każdym wyjściem do pracy zaczęłam brać środki uspokajające. Standardem stało się dokładanie mi obowiązków w ostatniej chwili przed weekendem albo o takiej godzinie, żebym nie wyszła z pracy o czasie. Jak nie zdążyłam, była awantura. Mówił, że „szkodzę firmie”. Kiedy dostałam telefon ze szkoły w sprawie syna, zostałam zgnojona przy wszystkich za „prywatę w miejscu pracy”. Każdy wysyłany przeze mnie mejl musiałam wysłać najpierw jemu, żeby mógł go „sprawdzić”. Za każdym razem miał uwagi, ale nigdy na temat mejli, tylko o mnie. A przecież wysyłałam mejle od 15 lat, wiem, jak to robić. Czułam się jak kompletne nic.

– Mobbing zazwyczaj zaczyna się dyskretnie, od subtelnych przekroczenia obowiązujących norm społecznych. Dlatego tak trudno zareagować od razu – wyjaśnia psycholożka i psychoterapeutka z Uniwersytetu SWPS, dr Małgorzata Mościcka-Teske. – To proces, który, jak każda przemoc, rozwija się w czasie. Na początku ofiary nie zdają sobie sprawy z tego, że są nękanie. Potem często racjonalizują postępowanie szefa, zachowując się tak jak wobec zwykłego konfliktu. Tyle

że mobbing nie jest konfliktem, więc szybko okazuje się to nieskuteczne.

„Mobbing zazwyczaj nie ma charakteru otwartej, jawnej agresji, atak na ofiarę przeprowadzany jest środkami manipulacji psychicznej, przy zachowaniu pozorów poprawności relacji, często bez przekraczania formalnych zasad funkcjonowania społecznego w firmie. (...) W każdej postaci polega na manipulacji uczuciami ofiary w celu jej emocjonalnego wyniszczenia. Prześladowca dąży do tego, aby u człowieka mobbowanego wywołać i podtrzymywać lęk, poczucie winy lub uczucie poniżenia, upokorzenia”, pisze Romuald Korach, psycholog, wykładowca SWPS i autor książki „Nagroda i kara. Profesjonalna ocena pracownika”. Z kolei według dr Moniki Miedzik mobbing może polegać m.in. na „nieetycznym komunikowaniu się, nękanu, zastraszaniu, obrażaniu, poniżaniu, izolowaniu społecznym i zawodowym osoby lub osób będących jego obiektem. Zachowania takie mogą odnosić się zarówno do sfery zawodowej, jak

Na początku ofiary nie zdają sobie sprawy z tego, że są nękanie.

też prywatnej, osobistej i seksualnej osoby lub osób, wobec których są one skierowane. Działania mobbingowe mogą przyjmować formę bezpośrednią lub pośrednią, zaczynając od subtelnych form pośrednich, które mogą ewaluować do poważnych bezpośrednich ataków”.

Motyw nieuchwytności powtarza się właściwie za każdym razem. – Dobrze wiedziałam, że coś jest nie tak, ale dyrektorka na wszystko miała uzasadnienie – opowiada Magda, polonistka w liceum. – Regularnie wchodziła na moje lekcje, uciążając mi przy uczniach albo krytykując wystawiane przeze mnie oceny. Ostentacyjnie sprawdzała prace, które już sprawdziłam, po to, żeby podważyć moje decyzje. Na zebraniach z rodzicami sugerowała, że źle traktuję ich dzieci. Wymiotowałałam przed każdym zebraniem czy radą pedagogiczną. Część kolegów odwróciła się ode mnie – dowiedziałam się później, że był to skutek rozpowszechnianych na mój temat plotek. Na końcu, bez konsultacji ze mną, odebrała mi lekcje polskiego, przydzielając mi godziny

w świetlicy, choć polskiego uczę od 20 lat. Kiedy odchodziłam, tylko jedna koleżanka pożegnała się ze mną. Czułam się złamana, chciałam ze sobą skończyć. Nie dość, że zniszczyła mi życie, to byłam z tym zupełnie sama.

Grzegorz Ilnicki: – Trzeba pamiętać, że mobber zawsze działa w środowisku. Jeśli np. pracodawca byłby zwolennikiem partii A, a wszyscy jego podwładni – partii B, to dokuczanie pracownikowi na tle jego sympatii do partii B nie spotkałoby się ze szczerą akceptacją otoczenia. Dlatego mobberzy działają w taki sposób, aby nie utożsamiano się z ofiarą. Przedmiotem ataków jest więc często rzekoma niekompetencja pracownika albo zafałszowywanie efektów jego pracy.

Dla dobra firmy

Marta opowiada o swoim szefie jak o kocie, który zręcznie prześlizguje się między gestami a słowami. Krzyczał tylko wtedy, kiedy miał pewność, że nikt poza Martą nie słyszy. Kiedy poniżał – zawsze pod pretekstem, powołując się na wyższe dobro. – Kiedy już nie starczało uzasadnień mojej niekompetencji, uderzał w „zaangażowanie”. „Oczekuję większego zaangażowania” – to był klucz otwierający wszystkie drzwi.

– Nikt nie chce o sobie myśleć jako o przemocowcu – komentuje dr Mościcka-Teske. – Każda przemoc ma swój język. „Twoja praca ma być twoją pasją”, „identyfikacja z firmą”, „dobro firmy”, „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” – to klisze, które mogą być bardzo niebezpieczne. Oczywiście nie znaczy to, że każda identyfikacja z firmą jest szkodliwa albo że praca nie może być pasją. Wszystko zależy od kontekstu, w jakim używa się danych sformułowań.

– Mobbingowi sprzyja każda sytuacja, która daje pracodawcy dowolność w interpretacji praw i obowiązków pracownika. Tam, gdzie nie ma transparentnych zasad, łatwo o uznaniowość. Nie bez wpływu na kulturę zarządzania pozostaje chociażby liberalizacja prawa pracy w Polsce, np. powszechność umów krótkoterminowych czy łatwość zwolnienia pracownika z umową na czas nieokreślony. Częstą formą demonstrowania władzy sprawcy jest urlop. Jeden z moich klientów do ostatniej chwili nie wiedział, czy szefowa pozwoli mu ▶

► wziąć wolne. Żona z dziećmi dosłownie czekały na walizkach, nie wiedząc do końca, czy ojciec będzie mógł pojechać na wcześniej wykupione wakacje – tłumaczy mec. Ilnicki. – Częstość mobbingu jest również narzucanie przez sprawcę własnych priorytetów życiowych albo oczekiwanie od pracowników, że swoją sytuację prywatną będą w całości podporządkowywać interesom firmy.

Zdaniem Grzegorza Ilnickiego na atmosferę sprzyjającą mobbingowi wpływa również zestaw wyznawanych w firmie wartości: – Tam, gdzie priorytetem firmy jest skuteczność i wynik, łatwiej usprawiedliwić presję na pracowników, wyraźnie widać to w firmach oferujących produkty finansowe, np. pożyczki lub ubezpieczenia.

Jest jednak jeszcze coś – rodzaje i sposoby racjonalizowania mobbingu jak w soczewce skupiają kulturę pracy panującą w danej organizacji. – Mobbing jest jednym z dotkliwszych rodzajów naruszenia czyichś granic. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że warunkiem decydującym o wystąpieniu tego zjawiska jest nie osobowość sprawcy, ale właśnie kultura organizacji. Nawet najbardziej psychopatyczny szef nie będzie miał wielu możliwości w środowisku, które nie daje mu przyzwolenia na nadużywanie władzy, np. w takim, w którym standardem jest nieużywanie wulgaryzmów albo zachowywanie form grzecznościowych czy dystansu. To dość przewrotne, bo swoboda wyrażania się często kojarzy się pozytywnie, przyjacielsko. Gorzej, jeśli staje się uzasadnieniem np. dla werbalnej przemocy – wyjaśnia psychologka dr Mościcka-Teske. – Największe znaczenie mają jednak klarowne zasady pracy: transparentność terminów, jasne zasady przyznawania awansu i urlopów, ścisły zakres kompetencji. Im więcej niedopowiedzeń, tym gorzej.

Zaszczucie

Choć mobbing jest często sączony powoli i w małych dawkach, jego konsekwencje są takie same jak każdego innego rodzaju długotrwale doświadczanej przemocy. – Pierwsze są objawy psychosomatyczne: problemy z układem pokarmowym i snem, bóle. Osoba doświadczająca przemocy nawet nie utożsamia tych sympto-

mów ze swoimi doświadczeniami – twierdzi dr Mościcka-Teske. – Człowiek ma znacznie obniżoną motywację, jest mniej efektywny. Z czasem do złego samopoczucia fizycznego dochodzą lęki, apatia, depresja, aż do myśli samobójczych. Kiedy sytuacja utrzymuje się zbyt długo, może nawet dojść do zaburzeń funkcjonowania społecznego.

Marta siedzi przygarbiona, skubiąc rękawy bluzki. W miarę jak wyjawia kolejne szczegóły swojej historii, można nabrać wrażenia, że jest się w potrzasku razem z nią. – Zaczęłam budzić się w nocy zlane potem, z dusznościami. Jakby ktoś siedział mi na klatce piersiowej. Brałam leki uspokajające i szłam do biura.

Choć wydaje się, że psychiczne skutki doświadczania mobbingu najbardziej stanowią o jego specyfice, polski system prawny niespecjalnie się na nich skupia. Ponadto kryteria

Częścią mobbingu jest izolowanie pracownika od reszty zespołu.

mobbingu stosowane w polskim prawie są znacznie węższe niż te zawarte w definicjach psychologów. Problem zaczyna się właściwie od pierwszego z nich. „Mobbing dotyczy tylko pracowników, osoby wykonujące pracę na innej podstawie niż umowa o pracę nie mogą korzystać ze wskazanej regulacji”, dowiadujemy się chociażby z portalu prawniczego mobbing-dyskryminacja.pl. Oznacza to, że według polskiego prawa osoba zatrudniona np. na umowę-zlecenie nie ma prawa założyć swojemu pracodawcy sprawy o mobbing, mimo że – jak wynika np. z badań dr Moniki Miedzik – niestabilne warunki zatrudnienia sprzyjają takim praktykom. Innym z pięciu wymienionych kryteriów jest „uporczywość i długotrwałość” działań mobbingowych.

Mec. Grzegorz Ilnicki: – Te kryteria są oderwane od rzeczywistości. Bo co to jest długotrwałość? Jak ją liczyć? Od kiedy? W jednym z orzeczeń Sąd Najwyższy przyznał, że nie da się długotrwałości precyzyjnie określić, ale wcześniej ten sam sąd uznał, że nękanie musi trwać co najmniej sześć miesięcy, aby było mobbingiem. Na szczęście ostatecznie sądy od tego odeszły. Wiadomo przecież, że początki mobbingu są niepozorne, że

to proces. Wiadomo też, że z każdą kolejną fazą skutki zdrowotne odczuwane przez pracownika są coraz poważniejsze i trwalsze. Często dopiero wówczas pracownik dokonuje właściwej diagnozy swojej sytuacji.

Zdaniem Grzegorza Ilnickiego właśnie sztywność i nieadekwatność stosowanych w Polsce kryteriów mobbingu sprawia, że pracownicy przegrywają ok. 93% spraw. – Oczywiście część tych przegranych można tłumaczyć trudnością w udowodnieniu mobbingu albo zwyczajnie fałszywością zarzutów. Jednak wiele powodów upada, bo gdy sąd uzna, że nie wszystkie kryteria mobbingowe zostały spełnione, odda sprawę, zamiast przyznać zadośćuczynienie np. na podstawie przepisów o ochronie dóbr osobistych lub o molestowaniu. Pokrzywdzony często nie zna prawa, ale nie może to wykluczać zapewnienia mu ochrony prawnej. Kodeks postępowania cywilnego wymaga od powoda wykazania faktów. Sąd ma natomiast dokonać ich oceny poprzez właściwe normy prawne. W sprawach związanych z nękaniami bardzo często niestety tak nie jest.

Przykładem może być wyrok gdańskiego sądu apelacyjnego z 23 stycznia 2013 r. Pracownik, po dłuższym nękanii przez szefa, zdecydował się na nagrywanie rozmów z przełożonym. Nagrania te zostały załączone jako dowód w sprawie: obelgi, wulgaryzmy, walenie w stół, poniżanie. Sąd pierwszej instancji orzekł na korzyść poszkodowanego. Sąd apelacyjny jednak tę decyzję cofnął. „Działania o charakterze mobbingu muszą odpowiadać określonym cechom, a mianowicie: być bezprawne, systematyczne i podejmowane bez powodu lub z oczywiście błędnego powodu, (...) muszą być długotrwałe (...). Nawet niesprawiedliwa, lecz incydentalna krytyka pracownika przez pracodawcę nie może być kwalifikowana jako mobbing”, czytamy w uzasadnieniu wyroku.

– Pani żartuje – odpowiada krótko Magda na pytanie, czy zamierza gdzieś zgłosić swoją sprawę.

– I co miałabym powiedzieć? Kto by się za mną wstawił? – Marta przeżywa, chowając twarz w dłoniach. – Żeby walczyć z wiatrakami, trzeba mieć najpierw siłę wyjść z domu.

Katarzyna Wierzbicka

Z Galicji



Jan Widacki

Ludzie listy piszą...

Marek Falenta, importer rosyjskiego węgla, skazany w aferze taśmowej na dwa i pół roku więzienia, uprawia teraz z za krąg intensywną działalność epistolarną. W liście do prezydenta domaga się ułaskawienia, strasząc, że w przeciwnym razie ujawni fakty potwierdzające, że przestępczych nagrań polityków Platformy Obywatelskiej (a przy okazji kilku innych, w tym zaprzyjaźnionego jeszcze wówczas z PO niejakiego Mateusza Morawieckiego) dokonywał na zlecenie prominentnych działaczy PiS, we współpracy z funkcjonariuszami CBA.

W liście do prezesa Kaczyńskiego domaga się wdzięczności, poniekąd słusznie wypominając, że jego nagrania przyczyniły się do zwycięstwa PiS w wyborach.

Politycy PiS, a także sam minister sprawiedliwości-prokurator generalny Zbigniew Ziobro, z racji swojej pozycji druga osoba w państwie, próbują te listy, upublicznione w mediach, lekceważyć. Wicemarszałek Ryszard Terlecki był łaskaw powiedzieć, że „każdy może napisać list do każdego”, i popadł w zadumę: „Czy z tego coś wynika?”.

Każda myśl marszałka Terleckiego jest wielka, jak on sam. Złota nawet, z samej definicji. Ale tu marszałek nieco w dobroci i tolerancji przesadził.

Twierdzenie, że nie należy brać serio wynurzeń człowieka, który siedzi w kryminale, to pewna nowość. Dotychczas pisowska prokuratura brała takie wynurzenia kryminalistów (skądinąd na ogół konfidentów służb) bardzo serio, ochoczo wszczynając na tej podstawie postępowania karne. O przykłady nietrudno. W razie potrzeby służę własnym. Rzecz w tym, że poprzednio chodziło o ludzi z przeciwnego obozu politycznego.

Problem z Falentą jest jednak taki, że przestępstwo zostało popełnione. Jeśli Falenta mówi prawdę, popełnili je jacyś działacze PiS (Falenta na razie nie ujawnia zbyt wielu szczegółów) i jacyś funkcjonariusze tajnych służb. Przestępstwo podżegania i pomocnictwa, a może nawet „sprawstwa kierowniczego”, w przestępstwach, za które Falenta siedzi w kryminale.

Jeśli zaś kłamie, to on, Falenta, popełnia przestępstwo, a ściślej – co najmniej dwa, a może nawet trzy. Przestępstwo pomówienia (już pomówił kilka osób), które – jeśli złoży zeznania – rozwinie się w przestępstwo fałszywego zawiadomienia o przestępstwie i fałszywego oskarżenia. Z listem do prezydenta i żądaniem ułaskawienia jeszcze gorzej. To przestępstwo szantażu, przestępstwo znieważenia prezydenta, przestępstwo próby wywierania groźbą bezprawną wpływu na czynności urzędowe prezydenta! Kodek-

sowy obowiązek wszczęcia postępowania jest wówczas, gdy istnieje uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa. Tu jest więcej niż uzasadnione podejrzenie. Tu nie ulega wątpliwości, że ktoś przestępstwo popełnił. Albo Falenta, albo ci, których on oskarża.

Nie ma wyjścia. Prokuratura musi wszcząć postępowanie i wyjaśnić, kto kłamie – w konsekwencji kto popełnił przestępstwo. Jeśli tego nie zrobi, prokurator popełni przestępstwo niedopełnienia obowiązku! Kiedyś za to odpowie. A tu Sejm właśnie zaostrza prawo karne.

Z uwagą trzeba teraz śledzić bieg wypadków. Przewiduję taki scenariusz: jeśli media i opozycja nie odpuszczą, sprawa zacznie szkodzić PiS wizerunkowo, śledztwo zostanie wszczęte. Będzie z wolna toczyć się „w sprawie”. Będzie okazja do tego, by przesłuchać wielu ludzi, podsłuchać jeszcze więcej. I by wyperswadować Falencie,

Twierdzenie, że nie należy brać serio wynurzeń człowieka, który siedzi w kryminale, to pewna nowość.

że wprawdzie, jak mówi marszałek Terlecki, „pisać każdy może”, ale bez przesady. I on, Falenta, jednak bardzo przesadził. W czasie tego postępowania Falenta będzie miał szansę nauczyć się prawa, dowiedzieć się, że warunkowo można przedterminowo wyjść na wolność już po odbyciu połowy kary. Można, ale niekoniecznie się musi. Głos decydujący ma tu w gruncie rzeczy opinia zakładu karnego, a służba więzienna podlega ministrowi sprawiedliwości, który jest też prokuratorem generalnym.

Będzie okazja zabezpieczyć dowody, które Falenta będzie musiał wydać, oczywiście o ile je ma. Gdyby miał, od momentu wydania już ich mieć nie będzie, to zrozumiałe. Śledztwo toczyć się będzie nieśpiesznie. Na pewno nie skończy się przed wyborami. Przed nami wakacje. A później? A później to się zobaczy.

SŁUCHAJ NAS W AUDIODELIC

PRZEGLĄD co tydzień
w wersji audio.
Pobierz aplikację
i słuchaj naszych tekstów
czytanych przez
profesjonalnych lektorów!





Audiodelic

ZA MIESIĄC 19,99

Ta ustawa przeraża

Apel krakowskiego środowiska prawniczego do prezydenta Dudy w sprawie weta do nowelizacji Kodeksu karnego

Szanowny Panie Prezydencie,

Zwracamy się do Pana z apelem jako do Prezydenta Rzeczypospolitej, a zarazem prawnika należącego do niedawna do tego samego krakowskiego środowiska prawniczego, aby zawetował Pan ustawę o zmianie ustawy Kodeks karny oraz niektórych innych ustaw.

Treść tej przyjętej ostatnio przez parlament ustawy, pod każdym względem fatalnej, trudna jest do pogodzenia z celami, którym rzekomo nowelizacja ma służyć. Nie tylko treść ustawy przerażać musi prawnika. Przeraża także urągający wszelkim standardom prawodawczym tryb jej uchwalenia. Zmiana dotyczy ponad 200 artykułów kodeksu, co stanowi ponad połowę jego objętości. Tak rozległa zmiana prawa karnego, a więc tej gałęzi prawa, która z natury rzeczy najgłębiej ingeruje w prawa i wolności obywatelskie, podjęta została nie tylko bez konsultacji ze środowiskiem prawniczym, nie mówiąc już o społeczeństwie, ale nawet bez rzeczowej dyskusji w samym parlamencie, na którą przy przyjęciu tempie uchwalania nie było czasu. Co więcej, twórcy ustawy, poza kilkoma demagogicznymi, na ogół nieprawdziwymi, hasłami nie potrafili rzeczowo podać celu, jakiemu ta nowelizacja ma służyć, ani co zmusza do jej wprowadzenia w tak wielkim pośpiechu.

Przestępczość w Polsce od roku 2003 systematycznie maleje. Współczynnik przestępstw liczony na 100 tys. mieszkańców jest w Polsce poniżej europejskiej średniej, natomiast współczynnik prizonizacji (liczba osadzonych w aresztach i zakładach karnych na 100 tys. mieszkańców) najwyższy w Europie, nie licząc niektórych państw byłego ZSRR.

Samo porównanie tych współczynników przekonuje dobitnie, że prawo karne do tej pory obowiązujące w Polsce jest surowe, podobnie jak surowa jest polityka kryminalna.

Jaki był zatem powód nowelizacji, polegającej głównie na zaostrzaniu kar, w dodatku nowelizacji dokonywanej w takim pośpiechu? Film Sekielskich? Jaki jest związek tej nowelizacji z problemem przestępstw seksualnych dokonywanych przez osoby duchowne? W jaki sposób im zapobiega?

Jako prawnicy zdajemy sobie sprawę z wadliwości i społecznej szkodliwości wprowadzanych tą ustawą regulowań, z kłamliwości jej publicznych uzasadnień, jak i z tego, że ustawa uchwalana była w niedopuszczalnym trybie, bez żadnej rzeczowej konsultacji, bez wysłuchania ekspertów, w warunkach paniki moralnej i silnych społecznych emocji. Taki sposób zmiany prawa gwałci zasady poprawnej legislacji koniecznej w państwie prawa.

Każda ustawa karna wyraża określoną filozofię. Uwzględnia określoną koncepcję osoby ludzkiej, przyjmuje określony nadrzędny cel kary, przyjmuje określone

założenia podstaw odpowiedzialności karnej. Wszystkie te elementy bazować powinny na dorobku nauki prawa karnego, kryminologii, innych nauk społecznych i nauk o człowieku. W XXI w. nie można nowelizować prawa karnego z jawnym ich lekceważeniem.

Przyjęta nowelizacja kodeksu cofa nas o co najmniej wiek, z całą pewnością do czasów poprzedzających wydanie pierwszego polskiego kodeksu karnego z 1932 r., tzw. Kodeksu Makarewicza. Lekceważy znane od czasów oświecenia twierdzenie, że to nie surowość kary powstrzymuje przed popełnieniem przestępstwa, ale jej nieuchronność.

Lekceważy dorobek nauk o człowieku, takich jak psychologia czy psychiatria, nauk społecznych, dorobek myśli prawno-karnej i kryminologicznej, w tym polskiej, z której byliśmy dumni. Lekceważy także naukę Kościoła w zakresie dotyczącym niezbywalnej godności osoby ludzkiej.

Ustawa zaostrza do granic barbarzyńskich i tak surowe, dotąd przewidziane w kodeksie kary, podważa sens resocjalizacji. Mamy tu na myśli zarówno kary pozbawienia wolności do lat 30, jak i kary dożywotniego pozbawienia wolności z możliwością apriorycznego wyeliminowania warunkowego przedterminowego zwolnienia. Za szczególnie niebezpieczną, zmieniającą sens karania i radykalnie zmieniającą dyrektywy sądowego wymiaru kary, uznajemy nowelizację art. 53 kk. Przepis ten w dotychczasowym brzmieniu nakazywał, aby sąd wyrokiem „kształtował świadomość prawną – społeczeństwa”. Po nowelizacji sąd przy wydaniu wyroku ma uwzględnić „społeczne oddziaływanie prawa”. To istotna różnica. Wynika z tego, że to nie sąd wyrokiem ma wpływać na społeczne poczucie sprawiedliwości, ale odwrotnie – społeczne poczucie sprawiedliwości ma być determinantą wymiaru jednostkowej kary! Co więcej, przepis ten eliminuje spośród dyrektyw wymiaru kary „wychowawcze cele, które ma ona osiągnąć wobec skazanego”. W konsekwencji kara stanie się prymitywnym odwetem, praktykowanym w zamierzonych czasach, po wielokroć zdyskwalifikowanym jako nieefektywny i nieskuteczny.

Przyjęte w nowelizacji rozwiązania pozostają w sprzeczności z przepisami Konstytucji RP i międzynarodowymi zobowiązaniami Polski, w szczególności z Europejską Konwencją o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Zrywają z tysiącletnim dorobkiem europejskiej kultury prawnej, zbliżając nas do obcych kulturowo systemów i filozofii karania praktykowanych w niektórych państwach azjatyckich.

Panie Prezydencie, przecież równie dobrze jak my wie Pan, że zaistniała sytuacja (tu: zagrożenie dzieci przestępstwami seksualnymi) nie wyniknęła ze zbytniej łagodności przewidzianych za

te przestępstwa kar, ale z tego, że dotychczasowe prawo nie było należycie wykorzystywane. Ze względów społecznych i obyczajowych tak wielka była „ciemna liczba” przestępstw seksualnych, w tym przestępstw seksualnych, których ofiarami były dzieci. Przez nieskuteczność bądź nieudolność aparatu ścigania tak wielu przestępcom seksualnym nie potrafiono udowodnić winy. To trzeba zmienić! Samo zaostrzanie kar nie uczyni jednak naszych dzieci bardziej bezpiecznymi.

Panie Prezydencie,

nie miejsce tu i nie czas na szczegółowe omówienie wielowiekowych doświadczeń filozofii karania czy prezentowanie analizy skutków przyjęcia określonych dyrektyw oddziaływania kary zarówno w wymiarze społecznym, jak i jednostkowym czy skutków ekonomicznych związanych z wydłużeniem *en bloc*, i dla samej zasady, okresu prizonizacji, oczywistych zarówno w wymiarze bezpośrednim, związanym z pokrywaniem kosztów pobytu osadzonych w zakładach karnych, jak też w wymiarze pośrednim, będącym konsekwencją izolowania od społeczeństwa większej grupy jednostek i na dłuższy czas. Wszystkie te kwestie pozostają zaś niebagatelne z punktu widzenia perspektyw społeczeństwa i państwa. Jesteśmy gotowi, gdy zajdzie taka potrzeba, przygotować stosowne analizy, tak aby ustawodawca mógł podejmować decyzję wyposażony w odpowiednią wiedzę i w pełni świadom relacji pomiędzy abstrakcyjnym przepisem w ustawie karnej a jego skutkami w życiu społecznym.

W sytuacji, gdy ta zła ustawa została w sposób tak skandaliczny, bezrefleksyjny, pod silną presją populizmu przyjęta przez parlament, tylko Pana weto może powstrzymać wejście jej w życie i wyrządzenie trudnych do przewidzenia nieodwracalnych szkód społecznych, nieodwracalnych szkód poniesionych przez poszczególnych ludzi, szkód dla Polski.

Jako prawnicy widzimy wszystkie błędy, a w konsekwencji niebezpieczeństwa tej ustawy.

Dlatego jako obywatele nie możemy milczeć. Naszym obowiązkiem jest zaprotestować. Nie mamy żadnej mocy sprawczej, zatem nie możemy zrobić nic ponad to, by zaapelować do Pana o zawetowanie tej ustawy.

Prof. zw. dr hab. Jan Widacki, przewodniczący Komisji Nauk Prawnych Krakowskiego Oddziału PAN; wiceprzewodniczący Komisji Prawniczej PAU

Prof. zw. dr hab. Andrzej Mączyński, wiceprezes PAU, członek czynny PAU

Prof. zw. dr hab. Stanisław Waltoś, członek rzeczywisty PAN, członek czynny PAU

Prof. zw. dr hab. Andrzej Zoll, członek rzeczywisty PAN, członek czynny PAU

Prof. zw. dr hab. Piotr Kardas, członek Komisji Prawniczej PAU, członek Komisji Nauk Prawnych Krakowskiego Oddziału PAN, wiceprezes Naczelnej Rady Adwokackiej

Dr hab. Dobrośława Szumiło-Kulczycka, prof. UJ, wiceprzewodnicząca Komisji Nauk Prawnych Krakowskiego Oddziału PAN

Dr hab. Piotr Mikuli, prof. UJ, wiceprzewodniczący Komisji Nauk Prawnych Krakowskiego Oddziału PAN

Dr hab. Janina Czapska, prof. UJ, była przewodnicząca Komisji Nauk Prawnych Krakowskiego Oddziału PAN

Dr hab. Piotr Dobosz, prof. UJ, sekretarz Komisji Nauk Prawnych Krakowskiego Oddziału PAN

Szkolenia WordPress

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl



 **SzkoleniaMi.pl**
Profesjonalne szkolenia informatyczne

Koniec politycznego duopolu

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Dyskusja we frakcji i sygnały od kolegów w partii pokazały, że nie ma już poparcia koniecznego do sprawowania urzędów – tym uzasadniła swoją decyzję szefowa SPD i klubu parlamentarnego Andrea Nahles, która 2 czerwca niespodziewanie zrezygnowała ze wszystkich zajmowanych stanowisk. Po 20 miesiącach na czele frakcji Bundestagu i zaledwie 13 miesiącach na stanowisku przewodniczącej partii zrezygnowała nawet z mandatu poselskiego i pożegnała się z polityką. Ta sama Nahles, która wbrew całym cysternom pomyj wylewanych na nią przez media i kolegów partyjnych zdawała się niezapadająca. Jeszcze przed wyborami do Parlamentu Europejskiego była pełna werwy. – Każde nowe wyzwanie przyjmuję z otwartą przyłbicą – utrzymywała pod koniec maja. Nawet dzień po eurowyborach, w których SPD pobiła kolejny negatywny rekord (zaledwie 15,5% poparcia), jeszcze nie zamierzała składać broni, tylko planowała na przyspieszonym zjeździe poddać się werdyktowi członków swojej partii. Ale dzień później widocznie już do niej dotarło, że walka dobiegła końca.

Pasmo klęsk

Porażki w eurowyborach i Bremie były zwieńczeniem pasma klęsk, które spotykały SPD pod przewodnictwem Andrei Nahles. W wyborach do bawarskiego landtagu jesienią 2018 r. ugrupowanie dostało niecałe 10% głosów, podobną klępkę zaliczyło w Hesji. A przecież po przegranych wyborach do Bundestagu w 2017 r., których wynik był najgorszy w powojennej historii SPD, Nahles miała być twarzą odnowy i odzyskać utraczonych wyborców. Nowa szefowa nie rozumiała wtedy, że wyborcy odwrócili się również od niej, gdyż – podobnie jak odsuniętych później przez nią Sigmara Gabriela i Martina Schulza – za bardzo kojarzyli ją z Wielką Koali-

Niemieccy socjaldemokraci walczą z głębokim kryzysem swojej tożsamości

cją. Może myślała, że jako kobieta będzie nietykalna, tak jak Angela Merkel w CDU, którą partyjni koledzy ośmielają się krytykować tylko za plecami. Na początku wydawało się, że ta misja może się udać. Nahles była pierwszą kobietą w historii socjaldemokratów, która stanęła na czele partii. Nawet niepokorny szef młodzieżówki Kevin Kühnert, który od lat buduje narrację służącą delegitymizowaniu koalicji z chadekami, zaakceptował jej kandydaturę.

I być może odnowa SPD pod jej sterami by się powiodła, gdyby Nahles rzeczywiście wsłuchała się w nastroje elektoratu i w porę odkleiła wizerunkowo od CDU. Było to jednak niełatwe. Jako minister pracy w rządzie Merkel już od 2013 r. nadawała ton działaniom Wielkiej Koalicji,

Jako minister pracy Nahles odniosła wiele sukcesów, np. wprowadzenie płacy minimalnej i obniżenie wieku emerytalnego do 63 lat.

odniósłszy także wiele sukcesów, np. wprowadzenie płacy minimalnej czy obniżenie wieku emerytalnego do 63 lat. W SPD, z którą była związana niemal przez całe życie, darzono ją szacunkiem, choć nie zawsze sympatią. Dla wielu była zbyt prostolinijna i za często rzucała mięsem. Jak wtedy, gdy w grudniu 2017 r. po przegranych wyborach parlamentarnych zapowiadała żartobliwie pod adresem CDU: – SPD wysłano na ławki opozycji, a od jutra zaczniecie dostawać w mordę.

Ten styl sprawdzał się na wiecach, gdzie obowiązuje odmienna dynamika i trzeba naszkicować negatywny portret przeciwnika, ale w roli szefowej Nahles musiała wtlaczać swoje wypowiedzi w pewne ramy, a na jej twarzy coraz częściej rysowała się bezradność. Już przy jej wyborze na szefową SPD nie obyło się bez zakłóceń. Zaledwie dwie trzecie delegatów widziało ją w tej roli, może dlatego,

że pojawiła się niejaka Simone Lange, burmistrz Flensburga, która jak wielu innych sprzeciwiała się reaktywacji koalicji z CDU. Wbrew gromkim zapowiedziom Andrei Nahles nie udało się zreformować partii ani, co gorsza, oderwać łatki wiecznego „młodszego partnera” lub zaznaczyć swojej tożsamości w Wielkiej Koalicji. Zbyt późno socjaldemokraci rozpoczęli ofensywę państwa socjalnego i położyli nacisk na politykę klimatyczną. Zieloni o wiele wcześniej wyczuli zachodzące zmiany i to oni stali się nową „czarwoną siłą” w niemieckiej polityce.

Dojmująca bezradność

Sukces Zielonych opiera się też na niemożności wykreowania przez SPD innych liderów niż wyjątkowo niepopularni politycy kojarzeni z bezbarwnością Wielkiej Koalicji, trudno zatem przypuszczać, że obecne tymczasowe kierownictwo (Malu Dreyer, Manuela Schwesig i Thorsten Schäfer-Gümbel) wyciągnie SPD z głębokiego kryzysu tożsamości.

W dołkach startowych od lat zostaje także minister finansów Olaf Scholz. Już zapowiedział, że nie chce zostać szefem SPD, bo doskonale wie, że w wyścigu z młodszym o 11 lat i charyzmatycznym szefem Die Grünen Robertem Habeckiem nie miałby najmniejszych szans. Komentować niż działać wolą również Sigmar Gabriel i Martin Schulz, bo ten pierwszy był już wicekanclerzem w rządzie Angeli Merkel, a pod przewodnictwem tego drugiego partia poniosła historyczną porażkę w wyborach w 2017 r.

Co ciekawe, kto przeczyta prasę z ubiegłych lat, nie będzie w stanie uwierzyć, że niemieccy publicyści są kreatywni. Tytuły i leady sprzed lat są bowiem bliźniaczo podobne do tych aktualnych. „SPD nie wyjdzie z kryzysu, jeśli ograniczy się do wymiany szefostwa partii i szefa frakcji. Partia musi się odnowić, zreformować”, pisał ten-raz „Berliner Morgenpost”. Innymi słow-



Andrea Nahles zrezygnowała nie tylko ze stanowisk w partii i klubie parlamentarnym, ale nawet z mandatu poselskiego.

wy, polityczni komentatorzy też są bezradni. Jedno wydaje się pewne: SPD potrzebuje przede wszystkim spokoju i powinna rzeczywiście najpierw zadbać o siebie, będąc w opozycji, jako że przyszłe boje o urząd kanclerski stoczą ze sobą chadeacy i Zieloni. Sens trwania Wielkiej Koalicji kwestionuje również coraz więcej umiarkowanych polityków CDU, jak choćby premier Nadrenii Północnej-Westfalii Armin Laschet. SPD potrzebuje zatem więcej prawdziwych talentów, a mniej liderów w rodzaju Ralfa Stegnera, który nawet w słoneczne dni ma minę, jakby przez tydzień padało.

I tu coraz częściej pojawia się nazwisko niepokornego szefa Jusos. Tuż przed wyborami Kevin Kühnert wrzucił kamyczek do socjaldemokratycznego ogródka, wypowiadając się publicznie o przewyższeniu błędów kapitalizmu dzięki upaństwowieniu prywatnych koncernów. Oburzeniu nie było końca, a po przegranych wyborach do Parlamentu Europejskiego i w Bremie szef młodzieżówki SPD został okrzyknięty winowajcą. Lecz po rezygnacji Andrei Nahles niemieckie media przełożyły wajchę, ogłaszając go nagle „wyzwolicielem SPD”.

Zdradliwy sejsmograf

Starsi członkowie SPD nadal reagują na Kühnerta alergicznie. Politycy konserwatywnego skrzydła Seeheimer Kreis obawiają się, że nazwisko przewodniczącego Jusos pociągnie partię jeszcze bardziej w dół.

I rzeczywiście – kilka dni po zainicjowanej przez hamburski tygodnik „Der Spiegel” dyskusji o tym, czy Kühnert byłby godnym następcą Andrei Nahles, SPD znów straciła w sondażach. Zieloni wyprzedzili zaś nawet CDU, której liderzy także już odczuwają, że nie da się obronić ich partii przed powolną erozją, trwającą w Wielkiej Koalicji. Natomiast przeciwko 29-letniemu Kühnertowi padają przekonujące dla ogółu członków SPD argumenty, że jest jeszcze zbyt niedoświadczony. – Fakt, że dyskutujemy o Kühnercie, pokazuje tylko, w jak dramatycznej sytuacji znalazła się nasza partia – twierdzi Thomas Oppermann, były szef frakcji SPD w Bundestagu. W opiniach sprzeciwiających się kandydaturze Kühnerta przewija się ta o jego politycznej naiwności, by nie rzec brutalnie głupocie.

Z kolei dla młodszych jest on ostatnią deską ratunku, bo jako szef Jusos od lat przeszkadza rządzącym, ani na krok nie odstępując od swoich poglądów i niechęci do aliansów z chadekami. Z drugiej strony wielu zadaje sobie pytanie, czy taki nieokrzesany buntownik jak Kühnert może wprowadzić do SPD spokój. Częste zmiany na czele partii są jakby sejsmografem, zdradzającym panikę. Gdy do zmian dochodzi rzadko, w istocie może to służyć oczyszczeniu. Jednak szybkie zmiany pozostawiają na długo wrażenie, że liderzy się nie dogadują. W każdym razie Kühnert ma dwie cechy, których ostatnim przewodniczącym SPD brakowało. Oni od lat muszą uciarać kompromisy z CDU i potem bronić

ich przed własnymi ludźmi, a Kühnert jest w wygodnej sytuacji, bo jako szef młodzieżówki może bezkarnie piętnować uległość starych wyjadaczy. Wielu socjaldemokratów z utęsknieniem czekało na młodych ludzi, którzy mają odwagę sprowadzić przekaz do prostego przesłania zmiany systemu. Zresztą Kühnert ma w czasach Twittera i Facebooka zupełnie inną siłę przebicia niż jego poprzednicy na czele Jusos – Gerhard Schröder i Andrea Nahles. Przede wszystkim jednak wydaje się wolny od lęków. Poza nim nikt szczególnie się nie pali do objęcia stanowiska szefa SPD. Karuzela personalna kręci się w Willy-Brandt-Haus od lat i już każdy wie, że ta funkcja może być równoznaczna z rychłą śmiercią polityczną. „Spokój, którym promieniowała Nahles, był złudny. Wybuch w SPD można wywołać jednym mrugnięciem”, pisze dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

W imię stabilności

Tak czy inaczej ktoś przewodniczącym SPD zostać musi. Wielu socjaldemokratów domaga się zarzucenia tradycji partii wodzowskiej na rzecz wariantu przeciwicznego już przez Zielonych i Lewicę, kierowanych przez dwie osoby. Nie brakuje jednak w SPD takich, którzy nadal się temu opierają. Kto w takim razie mógłby przejąć stery po Nahles? Ostatnie zwycięstwo dla SPD odniósł premier Dolnej Saksonii Stephan Weil, ale on już zaznaczył, że jego ambicje nie się- ▶

gają dalej niż wygodne biuro w hano-werskim landtagu. Nie wyglądałoby najlepiej, gdyby starszego już Weila zmuszano do przeprowadzki do Berlina. Na czele SPD powinien więc stać ktoś świeży, choć doświadczony. Ktoś, kto ma zwariowane pomysły, nie będąc wariatem. Ktoś, kto nie kojarzy się nieodparcie ze szpakowatą gwardią Wielkiej Koalicji bądź tysią

szczerą debatę na temat obecnego systemu zapomóg socjalnych, kryjącego nadal sporo niesprawiedliwości. Swoim spokojem Heil zaskarbił sobie ponadto szacunek przedstawicieli wszystkich partyjnych skrzydeł.

Tyle że kryzys w SPD jest przejawem czegoś głębszego. Niezależnie od tego, kto stanąłby obecnie na czele socjaldemokratów, wszystko, co

od lewa do prawa. Wielu wyborców SPD uciekło nie tylko do Zielonych, lecz także do Lewicy i populistycznej Alternatywy dla Niemiec. Tylko politycy Wielkiej Koalicji zdają się tego nie zauważać. Nadal są w szoku wywołanym rozmiarami własnej niepopularności, ujawnionymi przez ostatnie wybory, i hukiem, z jakim przewraca się ich rząd niczym kolejne klocki domina. I nie widać nikogo, kto mógłby wylać na ich głowy wiadro zimnej wody. Być może z wyjątkiem Kevina Kühnerta. Tyle że młody buntownik czasami chyba nie wie, jakie wywołuje zamieszanie. Gdy w Willy-Brandt-Haus trwały gorące dyskusje o następcy Andrei Nahles, Kühnert z wypiekami na twarzy śledził z kolegami mecz ulubionej drużyny koszykarskiej Alba Berlin. Potem wybrał się jeszcze na hamburgera. Słowem, na zgłiszczach dzielnicy rządowej Berlina trudno dostrzec choćby zarys nowego fundamentu. Nowa Wielka Koalicja powstała rzekomo w imię stabilności, ale sytuacja chyba już dawno nie była tak mało stabilna.

Wojciech Osiński

Na zgłiszczach dzielnicy rządowej Berlina trudno dostrzec choćby zarys nowego fundamentu.

Scholz i Schulz, a mimo to wie, jak funkcjonuje wielka polityka. I kto ma szansę zostać kanclerzem. Tymczasem w to, że Kühnert mógłby w swoich schodzonych trampkach przekroczyć progi Urzędu Kanclerskiego, nie wierzą nawet jego najwięksi fani. W tej sytuacji coraz częściej przez prasę wymieniane jest nazwisko ministra pracy, 46-letniego Hubertusa Heila, który co prawda też zasiada w obecnym rządzie, ale w wiarygodny sposób zdystansował się od Schröderowskiej Agendy 2010 i rozpoczął

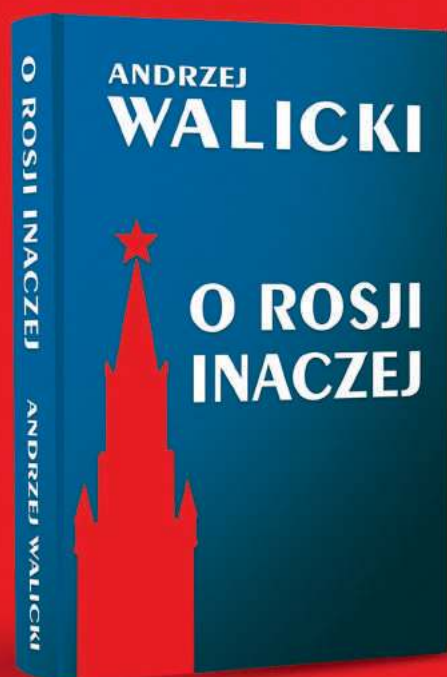
mówią przedstawiciele tej partii, trąci sztucznością i nie ma siły pozyskiwania nowych dusz. Nahles długo starała się wzbudzić entuzjazm przypomnieniem, że ma zasługi w partii i wie, o co chodzi. Ale zachowanie każdego kolejnego lidera SPD każe przypuszczać, że nie potrafi działać inaczej niż na fali wzmożenia wywołanego bieżącymi kryzysami lub oburzeniem własnego elektoratu. Tymczasem dupol CDU-SPD najpóźniej po eurowyborach stracił znaczenie. Podobnie jak tradycyjna geografia polityczna





Obejrzyj dyskusję na www.tygodnikprzeglad.pl

**UDOSTĘPNIŁIŚMY RELACJĘ
ZE SPOTKANIA AUTORSKIEGO!**



67 zł

MIĘDZY MOSKWĄ A WARSZAWĄ OD ALEKSANDRA I DO PUTINA

Zbiór prac profesora Andrzeja Walickiego na temat filozofii, historii i polityki Rosji dawnej, XIX- i XX-wiecznej, ale i dzisiejszej – Rosji Putina, oraz stosunków polsko-rosyjskich.

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość dostawy kurierem InPost – 14,90 zł.

eprasa.pl 58c63b8604

Ordynacja, która wypaczyła wyniki

Wybory z czerwca 1989 r. nie były ani całkowitą klęską PZPR, ani jednoznacznym zwycięstwem Solidarności

Krzysztof Wasilewski

Wyniki wyborów z czerwca 1989 r. przypieczętowały kres przeszło 40-letnich rządów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jak jednak dowodzą ówczesne badania opinii publicznej, czerwona kartka dla PZPR wcale nie oznaczała zgody na pełnię władzy Solidarności. Kompromis między obiema stronami był konieczny, bo społecznie pożądanym.

PZPR wobec wyborczej klęski

„Miny towarzyszy niepewne. Od rana wiadomo, że wybory zakończyły się naszą klęską. Nikt z naszych kandydatów na senatorów nie przeszedł”, zapisał pod datą 5 czerwca 1989 r. Mieczysław F. Rakowski. Podczas narady Sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR, która odbyła się nazajutrz po pierwszej turze przedwyborczych wyborów, dominowało poczucie porażki – tym dotkliwszej, że dla wielu działaczy niespodziewanej. „Wyniki są bardzo złe”, podsumował Wojciech Jaruzelski. „To był plebiscyt, czego nikt nie zakładał. Sekretarze są wstrząśnięci, sądzą, że to będą wybory, a to był plebiscyt”, dodawał Zygmunt Czarzasty, odpowiedzialny w partii za kampanię wyborczą. Jeszcze bardziej dosadnych słów użył Czesław Kiszcak: „Przeciwnik walczył bardzo ostro od pierwszego do ostatniego gwizdka. Sięgał po najbardziej wyrafinowane środki, czego nie można powiedzieć o naszej stronie. Wyniki wyborów do Senatu to kompletna klęska”.

Nastroje w PZPR – zarówno na szczeblu centralnym, jak i lokalnym – były minorowe. Chociaż jeszcze nikt się nie spodziewał, że wyborcza porażka położy kres trwającemu ponad 40 lat rządów partii, mało kto miał wątpliwości co do skali zmian, jakie z dnia na dzień zaszły w polskim życiu politycznym. Podczas wspomnianego już posiedzenia Sekretariatu

KC PZPR Janusz Reykowski przewidywał trzy scenariusze, z których każdy był równie prawdopodobny: „Narastanie trudnej do kontrolowania agresywności opozycji; rozżalenie i gorycz w naszej bazie mogą zmierzać do próby zmiany polityki X Plenum; możliwa jest dezercja z partii, osłabienie morale, zajmowanie defensywnej postawy przez członków partii, pełniących różne funkcje”.

Skala porażki rzeczywiście była zaskoczeniem, choć nastroje społeczne od dawna pozostawały dalekie od zadowalających. Zdaniem Stanisława Kwiatkowskiego, stojącego na czele Centrum Badania Opinii Społecznej, wyrok na PZPR zapadł na długo przed wyborami. W komentarzu wygłoszonym w „Panoramie

Jedynie co piąty ankietowany liczył na likwidację ustroju socjalistycznego.

Dnia 8 czerwca 1989 r. stwierdzał: „Nawoływanie do plebiscytu za »Solidarnością« nałożyło się na chęć rozliczenia władzy i w ten sposób w rozliczeniowo-plebiscytowych wyborach społeczeństwo załatwiło swoje porachunki z władzą, wzięło odwet na koalicji za »całość«. Część wyborców chciała zapewne zrobić władzy na złość, dać jej przy tej okazji nauczkę. Chcieli coś takiego władzy zakomunikować, ale nie mieli zamiaru jej pognać. Tymczasem te indywidualne porachunki złożyły się na taki rezultat zbiorowy, który wywoływał powszechne zakłopotanie”.

Polityczna apatia Polaków

Jak zatem przedstawiały się nastroje społeczne pod koniec PRL? Opracowania CBOS pokazują, co najwyżej letnie zainteresowanie Polaków polityką. Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. i kres „karnawału Solidarności”, kiedy niemal całe społeczeństwo zaangażowało się w dyskusję o przyszłości

kraju, rozpoczęły czas politycznej apatii. „Lata 1982-1983 były okresem wyraźnej niechęci do polityki, wręcz awersji do deklaracji politycznych. Zamykanie się w kręgu spraw własnych, ucieczkę w prywatność ilustrował wzrost czytelnictwa książek i prasy”, odnotowywano w raporcie CBOS. Pewien wzrost zainteresowania polityką w kraju zauważono dopiero w 1984 r., co wiązało się z natężeniem ważnych wydarzeń partyjnych oraz zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki i procesem jego oprawców. Jednak już w lipcu 1985 r. na pytanie: „Czy człowiek taki jak Pan(i) powinien interesować się polityką?” niemal 36% ankietowanych odpowiedziało negatywnie. Braku zainteresowania polityką ze strony polskiego społeczeństwa dowodził też fakt, że rozpoczęte w 1988 r. rozmowy na linii PZPR-opozycja, które poprzedziły obrady Okrągłego Stołu, przeszły niezauważone przez prawie dwie trzecie dorosłych obywateli.

Trudno zatem się dziwić, że według badań CBOS z początku 1989 r. co czwarty Polak obojętnie traktował nawiązanie przez partię dialogu z opozycją demokratyczną. Co więcej, w przededniu rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie nie był szerzej znany ponad połowie społeczeństwa. Najbardziej zdystansowana do tych spraw pozostawała młodzież – ponad 8% określiło swoje zainteresowanie polityką jako żadne, a 17% jako nikłe. Z kolei zaledwie 2% zadeklarowało bardzo duże zainteresowanie.

Stanisław Kwiatkowski podsumowywał: „Dla statystycznego, przeciętnego Polaka świat polityki jest wobec niego światem zewnętrznym, odległym i niedostępnym. (...) W tej optyce ludzie u władzy wiele mają dla siebie i równie dużo mogą. Mają wpływ na wszystko, od nich wszystko zależy, np. co ile ma kosztować, kto ile ma zarabiać (płace i ceny są dla wielu sprawą polityczną, zależną



Dla przeciętnego Polaka świat polityki był światem zewnętrznym, odległym i niedostępnym. Wybory na wsi, czerwiec 1989 r.

od władzy). (...) Z tego typu myślenia politycznego, czy raczej ubóstwa myślenia politycznego, biorą się zachowania roszczeniowe zmierzające do wytargowania od władz, »co się należy«, (jeśli władzę pocisnąć, może ona wszystko – powiększyć zarobki, obniżyć ceny, zapełnić sklepy)».

Żeby się dogadali

Przeprowadzone tuż przed czerwcowymi wyborami badania opinii społecznej potwierdzały zniecierpliwienie Polaków utrzymującymi się problemami gospodarczymi. O ile w 1987 r. większość ankietowanych wypowiadała się pozytywnie o warunkach życia, o tyle w 1989 r. aż trzy czwarte uznało je za złe. Ponad 70% było przekonanych, że za kolejne dwa lata sytuacja będzie jeszcze gorsza. „Coraz więcej ludzi, przewidując sytuację własnych gospodarstw domowych za pięć lat, nie potrafi określić perspektywy dla siebie. Przyszłość jawi się jako niepewna i niejasna. Co trzeci ankietowany widzi ją w ciemnych barwach, ma obawy, że się pogorszy lub będzie tak samo źle. Z nadzieją spogląda w przyszłość co piąty, u prawie połowy nadzieja przeplata się z obawami”, odnotowywał CBOS.

Chociaż zatem pierwsze rozmowy między PZPR a opozycją minęły nie-

zauważone przez Polaków, aż 80% uznało same obrady Okrągłego Stołu za wydarzenie przełomowe. Jeszcze większy odsetek ankietowanych wyrażał przekonanie, że dialog i porozumienie obu stron były jedynym wyjściem, aby uniknąć konfliktu politycznego i pogorszenia sytuacji gospodarczej. „Powszechne było pragnienie, »żeby się dogadali«. Ludzie boją się konfrontacji i wiedzą, że na tym mogliby stracić wszyscy”, podkreślano w raporcie CBOS. W maju 1989 r. ponad 41% ankietowanych oczekiwało od Solidarności jak naj-

80% społeczeństwa życzyło sobie powstania rządu wielkiej koalicji, łączącej wszystkie obozy polityczne.

większej współpracy z władzą. Nieco mniej uważało, że opozycja powinna „walczyć z władzą, ale tam, gdzie to konieczne, iść na ustępstwa wobec niej”. Natomiast podobny odsetek zwolenników opozycji (13%) i PZPR (8%) krytykował Okrągły Stół jako błędną decyzję polityczną.

Niechęć do kapitalizmu

Czego zatem Polacy oczekiwali od partii i Solidarności? Jak wskazują ówczesne badania opinii społecznej, jedynie co piąty ankietowany liczył na

likwidację ustroju socjalistycznego. Podobny odsetek domagał się „reformowania istniejącego socjalizmu w Polsce”, aż 39% zaś opowiadało się za „wprowadzeniem całkowicie nowego socjalizmu”. Choć trudno tu mówić o rewolucji w poglądach – zwolennicy kapitalizmu nadal pozostawali w mniejszości – nie sposób nie zauważyć rosnącego rozczarowania sytuacją gospodarczą. Zaledwie bowiem dwa lata wcześniej niemal 64% społeczeństwa uznało, że „istniejący system władzy jest dobry i nie wymaga poważniejszych zmian”.

Jeśli działacze partyjni wzięliby pod uwagę poglądy tych, którzy z racji wieku mieli w czerwcu 1989 r. głosować po raz pierwszy, zapewne szok spowodowany rezultatami wyborów byłby mniejszy. Jak bowiem informował CBOS, co trzeci maturzysta zapowiadał, że prawdopodobnie nie weźmie w nich udziału. Spośród pozostałych 42% deklarowało oddanie głosu na kandydatów Solidarności. Poparcie dla PZPR wśród młodzieży nie przekraczało 8%. Co jednak ważniejsze, połowa badanych wciąż nie wiedziała, na kogo zagłosuje. ▶

▶ Jeżeli natomiast chodzi o ogół społeczeństwa, ponad połowa Polaków zamierzała oddać głos „na najlepszych kandydatów”, bez względu na to, którą stronę oni reprezentowali. Interesujące, że zaledwie 6,1% ankietowanych wyrażało pragnienie, aby Senat „w całości składał się z przedstawicieli strony opozycyjno-solidarnościowej”. Warto zauważyć, że jeszcze mniej – 1,7% – chciało, aby w izbie wyższej zasiadali jedynie politycy PZPR. Zdaniem większości społeczeństwa najkorzystniejszym wynikiem byłaby równowaga stron w Senacie.

Stanisław Kwiatkowski zauważał, że „we wszystkich sondażach CBOS wyraźnie przewija się obawa społeczeństwa przed powrotem do starych rozwiązań, przed monopolem jednego ugrupowania. Ludzie obawiają się, żeby wszechobecne do niedawna kryterium partyjności nie zostało zastąpione podobnym kryterium Solidarności, bo byłoby to powtarzanie tych samych błędów”.

tym całkowicie interesy własnych koalicjantów. Postępujący w partii ferment sprawił, że niektórzy pretendenci, wyeliminowani w trakcie wstępnej selekcji, buntowali się i samodzielnie zbierali wymagane do rejestracji 3 tys. podpisów. Doprowadziło to do sytuacji, w której zamiast 100 kandydatów koalicji PZPR-ZSL-SD w wyborach do Senatu uczestniczyło 178 przedstawicieli PZPR, 87 ZSL i 67 SD. W ten prosty sposób już na starcie podzielono, i tak kurczący się coraz bardziej, koalicyjny elektorat”.

Władze PZPR liczyły, że pozostające na w miarę wysokim poziomie poparcie dla rządu Mieczysława Rakowskiego przełoży się bezpośrednio na wyniki wyborów. Co więcej, na korzyść partii miał działać także brak doświadczenia politycznego kandydatów Solidarności, przeciwko którym startowali przecież sprawdzeni i znani lokalnie działacze partyjni. Jak jednak zauważał Andrzej W. Lipiński: „Imprezy wyborcze Solidarności miały profesjonalny charakter

tów mandat wywalczyło jedynie dwóch – Mikołaj Kozakiewicz z ZSL i Adam Zieliński z PZPR. W wyborach z 4 czerwca średnie poparcie dla listy krajowej wahało się między 40 a 45%. Co więcej, na Ziemiach Odzyskanych poparcie wynosiło ponad 50%, a w województwie piłskim, zielonogórskim i koszalińskim przekraczało 60%.

Biorąc pod uwagę wyniki wyborów, jak również oczekiwania społeczne, trudno się dziwić, że obie strony dążyły do kompromisu. Oczywiście i w PZPR, i w obozie Solidarności zdarzały się osoby zdecydowanie przeciwne współpracy, jednak były one skutecznie marginalizowane. Przeważał bowiem pogląd, wyrażony przez Adama Michnika na łamach „Gazety Wyborczej”, że nie wolno było „pozwolić sobie na triumfalistyczno-konfrontacyjną retorykę. (...) Ład instytucjonalny po wyborach winien być budowany wokół idei dialogu i kompromisu. Nie zmieniło się przecież polskie

Wszyscy startujący z listy krajowej otrzymali więcej głosów niż Bronisław Komorowski i Andrzej Duda w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2015 r.

Niefuność wobec polityki dało się wyczuć już po wyborach. Zaledwie 6% badanych oczekiwało powstania rządu złożonego jedynie z przedstawicieli Solidarności. Jeszcze mniej, bo 2%, wyrażało przekonanie, że mimo porażki to PZPR powinna zachować pełnię władzy. Natomiast 80% życzyłoby sobie powstania rządu wielkiej koalicji, łączącej wszystkie oboje polityczne.

Dokładna analiza wyników czerwcowych wyborów dowodzi, że do klęski PZPR bardziej niż brak społecznego poparcia przyczyniły się ordynacja wyborcza i kiepska kampania. Spisane w pośpiechu i często bez odpowiedniego namysłu zasady głosowania miały zagwarantować koalicji rządzącej przewagę nad Solidarnością. Tymczasem stało się dokładnie odwrotnie. Co więcej, wewnętrzna demokratyzacja i swoboda wskazywania kandydatów PZPR prowadziły do niekończących się kłótni wśród partyjnego aktywu. Jak pisze Antoni Dudek, „w efekcie na konwencjach wojewódzkich wybierano po trzech kandydatów PZPR na dwa miejsca w Senacie, ignorując przy

politycznego *show*. (...) Publiczności dozowano dawkę wielkiej polityki, a również rozrywki w dobrym guście. Gościli na spotkaniach kandydatów solidarnościowych znani ludzie estrady i filmu, którzy tworzyli stosowną oprawę i potrafili umiejętnie ubarwić atmosferę gorącej walki politycznej”.

Wysokie poparcie listy krajowej

Przekonanie o całkowitej klęsce PZPR w czerwcu 1989 r. jest błędne. O tym, że mimo systematycznego spadku poparcie dla partii utrzymywało się na całkiem wysokim poziomie, świadczą wyniki tzw. listy krajowej. Ordynacja wyborcza wymagała, aby startujący z niej kandydaci otrzymali ponad 50% głosów w skali całego kraju, co samo w sobie stanowiło przeszkodę niemal nie do przeskokienia. Wystarczy powiedzieć, że wszystkie osoby startujące z listy krajowej otrzymały więcej głosów niż Bronisław Komorowski i Andrzej Duda w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2015 r. A pamiętać trzeba, że spośród 35 kandyda-

położenie geopolityczne, nie zmienili się dysponenti aparatu przemocy”. W odpowiedzi Mieczysław Rakowski przyznawał: „Opozycja wywodząca się z pnia korowskiego rozumowała racjonalnie”.

Wybory z czerwca 1989 r. nie były ani całkowitą klęską PZPR, ani jednoznacznym zwycięstwem Solidarności. Złe napisana ordynacja wyborcza wypaczała wyniki, które nie do końca odzwierciedlały nastroje społeczne. Polska i Polacy dopiero uczyli się demokracji, dlatego o błędy nie było trudno. Powinni o tym pamiętać zwłaszcza ci, którzy w Okrągłym Stole i koalicyjnym rządzie Tadeusza Mazowieckiego widzą przede wszystkim zdradę. Źródła historyczne dowodzą, że wszelkie próby wykluczające z udziału w rządzeniu jedną ze stron były u progu 1990 r. skazane na społeczny sprzeciw.

Krzysztof Wasilewski

W tekście wykorzystałem opracowania CBOS zamieszczone w książce Stanisława Kwiatkowskiego *Szkicownik z CBOS-u. Rysunki socjologiczne z tamtych lat*, Tycyn 2004.



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

#Rozbrat zostaje!

Cierpimy niekiedy na nadmiar instytucji (kontroli), na ich bezwład i inercję (szkoła), wszechwładzę i bezkarność (Kościół), na pozorność i nieskuteczność ich działania (policja) oraz wiele innych przywar (pozostałe i wszystkie naraz). Są instytucje dysponujące miliardowymi budżetami, zatrudniające dziesiątki, setki, tysiące ludzi, posiadające niewyobrażalne nieruchomości – ziemię, budynki, działki, ogrody, lasy. Po prostu majątek. I są impregnowane na krytykę, dawno zapomniały o swoich zadaniach, powinnościach, trwają niezmiennie, wielkie i otłuszczone, głosząc swoją niezbędność. I nie o nich będą dzisiaj te słowa.

Poznański Rozbrat, anarchistyczny skłot, żywa wspólnota, tygiel ludzki wypełniony energią aktywizmu i kulturotwórczym zamętem, mieści się na zapuszczonej działce poddanej dzięki reprivatyzacji jeszcze w latach 90. i po raz kolejny zagrożony jest licytacją komorniczą, chociaż równocześnie w sądzie trwa sprawa o zasiedzenie. 25 lat Rozbratu to historia publicznie mało znana. Niestuszenie. Rozbrat to nieformalna instytucja, taka w pierwotnym znaczeniu, wspólnota ludzi działających razem nie dla zysku ani dla dobra publicznego, to ludzie (zmieniający się, jak w życiu bywa, ci/te odlatują, ci/te zostają, inni/inne przybywają) działający i stojący w obronie innych słabszych grup społecznych, zawodowych, etnicznych, statusowych. To dziwna wyspa solidarności i wspólnego działania na 30-letnim morzu egoistycznego polskiego kapitalizmu. Nie ma co się rozpisywać o składzie Rozbratu – tworzą go osoby najróżniejsze i wiekowe (są tacy, co jeszcze walczyli w PRL, są nastolatki), i biograficznie. Są kobiety i mężczyźni, są ci urodzeni w Polsce, ale i tacy, którzy do Polski przyjechali. Są jak najbardziej różnorodną zbiorowością, która rządzi się sama, która wspólnie podejmuje decyzje, która wszystko, co robi, robi z potrzeby realizowania trzech podstawowych zasad: wolności, równości i wzajemnej pomocy. Nie mają szefów, zarządu, właściciela, zleceńodawcy. Rozbrat, jak wiele innych w Europie i na świecie legendarnych centrów społecznych, politycznych i kulturowych, wyrósł z kultury skłotingu – zamieszkiwania opuszczonych, zaniebanych, porzuconych budynków, mieszkań, domów, opuszczonych fabryk. Bardzo często jego funkcja mieszkalcza dominuje.

Rozbrat należy jednak do innego kosmosu społecznego – to centrum kultury, biblioteka, wydawnictwo, miejsce spotkań, dyskusji, koncertów, treningów sportowych. To miejsce, gdzie narodził się ruch solidarności z ofiarami dzięki reprivatyzacji, pomocy ludziom wyrzucanym na bruk przez wyspecjalizowane grupy przestępcze zatrudniane przez „nowych właścicieli”. To, z czym rozbratowcy walczyli, dzisiaj jest zapisane w prawie jako przestępstwo, ale wcześniej ich traktowano jako przestępców. Poznańska policja ma niechlubną kartę prześladowań tego

środowiska, z przemocą fizyczną, niestusnymi zatrzymaniami, spreparowanymi zarzutami (np. kradzieży własnego roweru), pobiciami i torturami na komisariatach, bezprawnym używaniem paralizatorów, nękaniami i nielegalną inwigilacją – kiedy sprawy trafiają do sądu, wszystkie je przegrywa i nie wyciąga żadnych wniosków. Skłot był wielokrotnie atakowany przez środowiska skrajnej prawicy – bronił się sam.

To Rozbrat współtworzył powstały jeszcze w zakładach Hipolita Cegielskiego związek zawodowy Inicjatywa Pracownicza, który zajmował się takimi sprawami jak warunki pracy w specjalnych strefach ekonomicznych, sprzeciw wobec prywatyzacji służby zdrowia i sektora opieki, wspieranie pracowników nigdy wcześniej niezrzeszonych (np. artystów czy zatrudnionych na umowach śmieciowych). Stawiał czoła gigantom, takim jak Amazon, który uciekając przed związkowcami z Niemiec, przeniósł magazyny do Polski, raju bez związków zawodowych.

Sam Poznań jest inny dzięki Rozbratowi, osoby stamtąd współtworzą zresztą od lat Porozumienie Społeczne „Poznań Miasto dla Ludzi”. To Rozbrat jako jedyne środowisko polityczne w Polsce organizował demonstracje przy okazji piłkarskiego

**Rozbrat to wspólnota ludzi działających razem nie dla zysku.
To wyspa solidarności na morzu egoistycznego polskiego kapitalizmu.**

Euro 2012 pod hasłem „Chleba zamiast igrzysk”. To oni wspomagali protestujące i walczące o godziwe zarobki przedszkolanki, to ich mogliśmy spotkać, kiedy trzeba było bronić Rospudy, Puszczy Białowieskiej, a teraz Puszczy Karpackiej. I protestować przeciw rabunkowemu i degradującemu przyrodę pomysłom wydobycia gazu łupkowego albo militarystycznym zapędem kolejnych polskich rządów wysyłających polskich żołnierzy na nie nasze wojny w interesie amerykańskiego giganta.

Od lat są jednym z najbardziej słyszalnych głosów oporu społecznego. Tymi, którzy wcześniej niż inni zauważają rzeczywiste problemy wykluczenia społecznego i dyskryminacji – stają po stronie ofiar. Są instytucją, która dzięki własnemu działaniu, gotowości do poświęceń stała się innym głosem polskiej, politycznej, nieformalnej lewicy.

Miejsce, w którym żyją i działają, ma niejasną i skomplikowaną sytuację właścicielską. Na pewno licytacja komornicza nie jest sposobem na rozmowę o Rozbracie. I miasto, i skarb państwa mają tu głos. Niech go zabiorą. Nie stać Poznania i Polski na nieobecność Rozbratu, tego, co wnosi, co krzyczy, o co walczy. To jest walka o coś więcej niż o zapuszczoną i zadrzewioną działkę w środku Poznania. To walka o inną, lepszą, bardziej sprawiedliwą i solidarną Polskę. Bez Rozbratu? Nawet sobie tego nie wyobrażamy.

#Rozbrat zostaje!

W przerwie strajku nauczycieli

Edukacyjny alarm dla wielkich miast

Małgorzata Żuber-Zielicz

Zawieszeniem strajku zakończyła się pierwsza runda ogólnopolskiego protestu nauczycieli. W związku z tym mam i dla uczniów szkół w wielkich miastach, i dla ich rodzin, i dla samorządów przykre wiadomości.

Skandaliczny sposób potraktowania nauczycieli przez rządzących skłoni znaczną grupę pedagogów do odejścia ze szkoły. Zmalałe też liczba absolwentów uczelni, którzy zechcą się zatrudnić w wielkomiejskich szkołach. Akurat rynek pracy zapewnia tu zarówno im, jak i odchodzącym z pracy pedagogom liczne atrakcyjniejsze płacowo (i nie tylko) oferty. Wolne są one przy tym od ryzyka zostania ofiarą rządowej fali nienawiści.

Rząd w trakcie strajku kierował do nauczycieli propozycje znacznego zwiększenia pensum przy nawet nieznacznym spadku stawki godzinowej. Sugerowano też wprowadzenie na dwa-trzy lata możliwości przejścia na emeryturę po minimum 30 latach pracy i 20 latach przy tablicy. Niektórzy traktowali to jak prowokacje w stylu ministrów Szczerskiego (nauczyciele mogą korzystać z 500+) i Suskiego (nauczyciel zarabia prawie tyle co poseł). Bardzo możliwe. Ich podstawowy adresat był jednak inny.

Liczba wakatów w wielkomiejskich placówkach we wrześniu może być o wiele wyższa, niż wydawało się to przed strajkiem.

Kierowane były przede wszystkim do nauczycieli z Polski powiatowej i gminnej. Tu PiS próbuje do reszty zmarginalizować PSL (wielu wiejskich nauczycieli to jego działacze) i przejąć jego wyborców. Taki jest podstawowy cel wyborczy tej partii. Na rynku gminno-powiatowym etat nauczyciela, przy o wiele wyższej sile nabywczej złotówki i braku alternatyw, jest wysoko ceniony. Podobnie wysoko ceniona jest możliwość stałego dorabiania dodatkowymi godzinami lekcyjnymi. Na dodatek, w przeci-



wieństwie do wielkomiejskich klas molochów po 36 i więcej uczniów, tu klasy bywają często kilkunasto-, a nawet kilkusobowe. Stawka godzinowa jest zaś ta sama. Sześć godzin dodatkowego pensum to w wielkim mieście zwykle ponad setka uczniów, czasem grubo więcej. I odpowiednio więcej klasówek czy zeszytów do sprawdzania, ocen do wystawiania itd. Gdy zaś wielkomiejski nauczyciel

okazi – nauczyciele zatrudnieni ponad 30 lat temu to ostatni, którzy zaczynali pracę jeszcze w PRL. PiS zapewne chce się pozbyć ze szkół resztek tej znienawidzonej przez siebie grupy pedagogów. Liczy również na to, że nowi, młodzi nauczyciele będą tańsi.

Wszystkie te czynniki – trauma wywołana sposobem potraktowania nauczycieli przez rządzących, groźba drastycznego pogorszenia warunków pracy oraz ułatwienie odchodzenia na emeryturę – spowodują, że liczba wakatów w wielkomiejskich placówkach we wrześniu może być o wiele wyższa, niż wydawało się to przed strajkiem. Z perspektywą narastania w kolejnych miesiącach i latach aż do praktycznego unicestwienia publicznego szkolnictwa średniego w okolicach roku szkolnego 2022/2023. Oczywiście o ile nie zostaną podjęte środki zaradcze. Pojawi się tam za dwa lata pięty, dodatkowy rocznik – spadek po obligatoryjnym posyłaniu do szkoły sześciolatków z czasów minister Kluzik-Rostkowskiej. Rząd PiS dla wielkich miast i wielkomiejskiej edukacji

nie ma nic – obywatele z tych miast to nie jego elektorat. Będą musiały same sobie poradzić i mają na to środki – przy odpowiednich priorytetach mogą to zrobić śpiewając (pisałam o tym w PRZEGŁĄDZIE nr 11/2019 w artykule „Priorytety”).

Podczas strajku pojawił się w oficjalnych wypowiedziach przedstawicieli ekipy rządzącej i, w jeszcze większym stopniu, w świadomie organizowanym przez władzę hejcie argument rzekomego średniego 24-godzinnego tygodniowego pensum w krajach OECD. Oczywiście na tle 18 godzin pensum polskich nauczycieli. Otóż te zestawienia są mylące lub wręcz zmanipulowane. Przede wszystkim dane te dotyczą obowiązkowej liczby godzin w tygodniu spędzanych w szkole przez nauczyciela (a nie jednostek lekcyjnych). Są one podawane przez poszczególne kraje według ich uznania – w Polsce MEN ze względów propagandowych wybiera zawsze gołe pensum. Poza tym nie biorą pod uwagę całości obowiązków nauczyciela. W polskiej szkole, w której praktycznie nie ma żadnych wspomagających pracowników pedagogicznych, technicznych ani biurowych, nauczyciel jest też sekretarką, psychologiem/terapeutą amatorem, zaopatrzeniowcem, organizatorem turystyki, p.o. ochroniarzem (dyżury na korytarzach) itd. Dlatego z ustaleń resortowego Instytutu Badań Edukacyjnych wynika, że polskiemu nauczycielowi praca zajmuje przeciętnie 47 godzin tygodniowo. W krajach rozwiniętych samego wspomagającego personelu pedagogicznego (doradców, terapeutów, nauczycieli edukacji specjalnej i wspomagających, psychologów itd.) jest mniej więcej tyle, ilu uczących nauczycieli. Przy czym rzeczywiście tam nauczyciel więcej czasu spędza w szkole, ale ma również warunki do pracy – biurko, komputer z akcesoriami, podręczną osobistą biblioteczkę. Polskie szkoły były i są budowane przy założeniu pracy nauczyciela (poza lekcjami) w domu. Są w nich więc prawie wyłącznie sale lekcyjne. Nauczyciel ma pół krzesła w pokoju nauczycielskim.

Niektórzy mówią o nauczycielskich dniach wolnych, feriach itp. Tyle że znaczna część to, owszem, dni wolne, ale dla uczniów. Nauczyciele jednak w te dni pracują, często

wyręczając inne instytucje albo np. śladowy w szkołach personel biurowy. 19 czerwca uczniowie zakończą rok szkolny i wyjadą na wakacje. Natomiast nauczyciele szkół ponadpodstawowych, pomijając podsumowanie mijającego roku szkolnego i przygotowania do nowego, będą się zajmować szalenie zbiurokratyzowaną procedurą rekrutacyjną. W województwie łódzkim kurator wyznaczył termin jej zakończenia na 25 lipca. Do tego czasu znaczna

Z ustaleń resortowego Instytutu Badań Edukacyjnych wynika, że polskiemu nauczycielowi praca zajmuje przeciętnie 47 godzin tygodniowo.

część nauczycieli musi się zajmować przerobem gigantycznej masy papierów. Kwalifikacje nauczycielskie do tego w zasadzie są zbędne. Tyle że w polskim liceum pracuje zwykle jedna sekretarka – nauczyciele muszą więc zastępować personel biurowo-administracyjny. Po wakacjach nauczyciele, w przeciwieństwie do uczniów, pojawiają się nie 2 września, tylko mniej więcej tydzień wcześniej. Nowy rok szkolny trzeba przygotować, niektórzy uczniowie będą mieli poprawki itp.

Wreszcie w większości krajów rozwiniętych pensum różni się w zależności od poziomu edukacyjnego szkoły i, często, nauczanych przed-

miotów. Nauczyciele szkół średnich mają zbliżone do polskich tygodniowe pensum jednostek dydaktycznych (40-50 minut) – od 17 do 20. Na poziomie polskiej szkoły podstawowej to od 24 do 27 jednostek (czasem jeszcze z różnicą pomiędzy nauczaniem elementarnym a odpowiednikami naszych klas IV-VIII). W Polsce było podobnie – przed wprowadzeniem wolnych sobót nauczycielskie pensum w szkołach ponadpodstawowych wynosiło 22 jednostki lekcyjne

tygodniowo, a w szkołach podstawowych – 26 jednostek. Po czym Solidarność wywalczyła od września 1981 r. jednakowe pensum 18 jednostek lekcyjnych tygodniowo. Wynika stąd, że takie porównania pensum ze średnimi OECD są najbardziej krzywdzące i denerwujące dla nauczycieli szkół ponadpodstawowych. To ich tymczasem najbardziej będzie brakować w związku z kumulacją roczników w tych szkołach i oni w wielkich miastach poniosą największe koszty drastycznego pogorszenia warunków pracy.

Małgorzata Żuber-Zielicz była przewodniczącą Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy w latach 2006-2018

One week in Rio

Woch & Guzik Duo

guitars

Roksana Kwaśnikowska

violin

Album dostępny
w salonach Empik,
dobrych sklepach
muzycznych i na
www.dux.pl

Premiera płyty

czerwiec 2019



EMPIK.PL



DUX
Recording Producers



TVP
KULTURA



Pragmat



FIEI



STAGE
PRODUCTION



WBC

Gitaraklasyczna.pl

PORTAL GIMNAZJUM KLASYCZNEJ

Presto

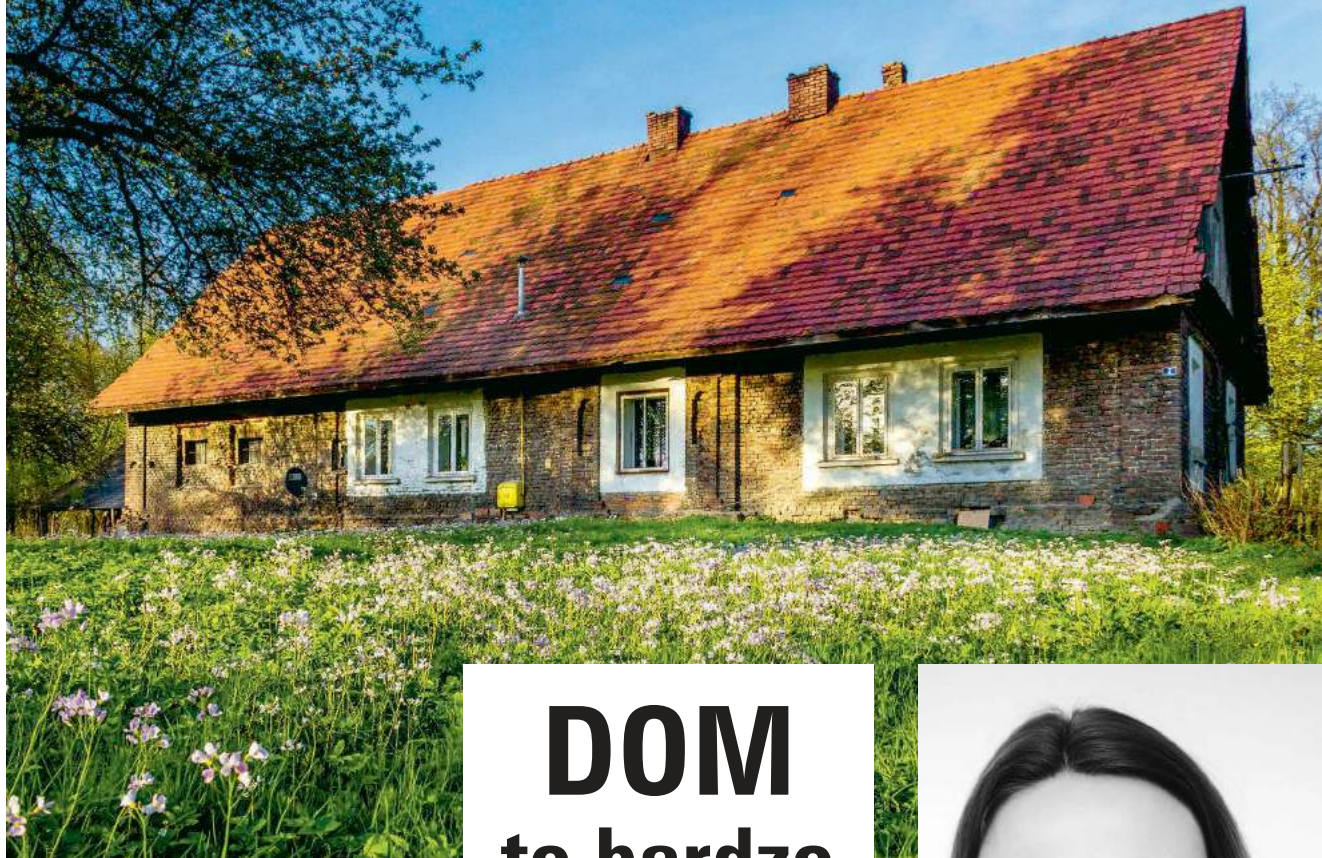
WYDAWCA MIAŁOŚĆ

THE GUITAR

GUITAR MUSIC RECORDS

Warsaw Guitar College

LongPlay



Rozmawia Rafał Piкуła

Jaki jest twój wymarzony dom?

– Mógłby to być stary, wiejski, ceglany dom, taki jak te opisywane w książce. Z dwuspadowym dachem, kaflowym piecem, z sadem za oknem. Może i taki dom miałby pewne ograniczenia, w końcu nie byłby projektowany pode mnie, ale byłabym w stanie je zaakceptować. Ostatnio na spotkaniu autorskim podeszła do mnie dziewczyna, która właśnie wyremontowała taki dom, niedaleko Pszczyny. Mówiła, że to nieprawdopodobne, jak ten dom jej się odwziewczył. Dom to nie tylko architektura. To historia, funkcjonalność budynku, przestrzeń dookoła. Ale ostatnio trudniejsze od zdefiniowania mojego wymarzonego domu wydaje mi się znalezienie swojego miejsca na ziemi. Dom w końcu gdzieś stoi, a decyzja o wyborze takiego miejsca wydaje mi się szalenie trudna.

Teraz mieszkasz w „tradycyjnej” kostce polskiej?

– Dom, w którym obecnie mieszkamy, dostaliśmy od rodziców męża. Nie miałam wielkiego wpływu na to, jak wygląda, ale udało mi się tę przestrzeń oswoić, to w tym domu urodziły się moje córki, tuż przy nim rośnie magnolia, którą mąż подарował mi na 30. urodziny.

DOM to bardzo intymna rzecz

Ceglany dom,
socrealistyczny
dworzec i nowoczesny
wieżowiec mogą
funkcjonować obok
siebie. Poszanowanie
krajobrazu kulturowego
jest nam ciągle obce

Mieszkając w tym domu, odkryłam, co jest dla mnie ważne, zdobyłam doświadczenie, które przyda mi się, gdy w końcu będę tworzyć swój wymarzony dom. Mieszkać też trzeba się nauczyć.

Co masz na myśli, mówiąc, że trzeba nauczyć się mieszkać?

– Jest takie przysłowie, że pierwszy dom buduje się dla wroga, drugi dla przyjaciela, a dopiero trzeci dla siebie. Dopiero w trakcie mieszkania odkrywamy, co jest dla nas ważne w przestrzeni. Ja mieszkam



**DOROTA
BRAUNTSCH**

– autorka książki
„Domy bezdomne”

w Japonii, Australii, Portugalii, Danii, w blokach, domach, kamienicach. Przerobiłam masę miejsc i dopiero dzięki tym doświadczeniom odkryłam, co jest dla mnie ważne.

I dopiero gdy po 10 latach wróciłaś do rodzinnej Pszczyny, odkryłaś urok starych, ceglanych domów.

– Znajomy fotograf Radosław Kaźmierczak – który zdradził mi trochę fotograficznych trików, kiedy zaczynałam swój projekt – powiedział mi kiedyś, że ten temat, czyli stare, ceglane domy, które powoli znikają,

leżał na ulicy, ale dla tutejszych był przeźroczysty. Nikt go nie zauważał. Może gdybym nie wyprowadziła się z Pszczyny, nie doceniłabym tego budownictwa. Trzeba wyjechać, zatęsknić, wrócić. Mieszkając tu przez ostatnie lata, miałam komfort, że jestem na miejscu i mogę obserwować, jak te domy działają w przestrzeni, zauważałam też, że „odchodzą”. Do tej opowieści potrzebny był również czas. Nie potrafiłabym zrozumieć tego miejsca jako przyjezdna, będąc tu tylko na chwilę. Albo zrozumiałabym je zupełnie inaczej.

Właściciele wielu tradycyjnych, ceglanych pszczyńskich domów nie zauważają tego dyskretnego uroku i tylko kombinują, jak zburzyć te „rudery”?

– Dla większości osób stary dom nie ma żadnej wartości. Nie zajmują ich historie tych domów. Nie widzą także tego, że takie domy były budowane w zgodzie z miejscem, z krajobrazem, z naturą. Dla wielu są jedynie symbolem zacoferania czy biedy. Staram się nie oceniać ludzi. Każdy żyje po swojemu, każdy ma inną wizję swojego miejsca. Nie dziwię się, że wiele osób z chęcią pozbyłoby się ceglaneanego domu ze swojej działki, bo taki stary budynek obniża wartość ziemi. Dom to bardzo intymna rzecz. Jestem daleka od osądzania, że istnieje jakaś jedyna właściwa droga, że te domy są piękne i teraz wszyscy musimy się nimi zachwycać. Bardzo zależało mi jednak na tym, żeby przywrócić im godność, nie chciałam się zgodzić na to, że odejdą niedocenione, niezauważone.

W książce piszesz, że spora część właścicieli uważa te ceglane domy za nikomu niepotrzebne, sądzi, że po prostu trzeba je zburzyć.

– Wydaje mi się, że to pokolenie moich rodziców i dziadków, które żyło w czasach postępującego modernizmu. Po wojnie powszechnie uważano, że stare rzeczy trzeba burzyć i na ich miejscu budować nowe, lepsze. W ten sposób niszczone całe wsie i miasta. Praktycznie zniknęła polska tradycyjna wiejska architektura, zniknęły regionalizmy, coś, co odróżniało Śląsk od Suwalszczyzny, Beskidy od Kaszub. Dla wielu osób

nowoczesność była wybawieniem. Prąd, bieżąca woda, radio – tego pragnęli ludzie po wojnie. Dla nas prąd i internet są czymś oczywistym. Zachwyca nas lampa naftowa, fascynują szare godziny, widzimy w tym romantyzm, jakieś piękno – ale gdyby tak miała wyglądać nasza codzienność, już nie byłibyśmy zadowoleni.

W Polsce dominowało myślenie: wszystko albo nic. Dlatego też nikt nie myślał o dostosowywaniu starych domów do pojawiających się możliwości, ale od razu stawiano nowe budynki.

– W Skandynawii, we Francji czy we Włoszech udało się połączyć tradycję z nowoczesnością – w starych, drewnianych czy ceglanych domach żyje się bezpiecznie i wygodnie. U nas powiał wiatr rewolucji i zmiotł

Mieszkać też trzeba się nauczyć. Trzeba wyjechać, zatęsknić, wrócić.

to, co nie pasowało do nowego człowieka. Ale i po 1989 r. zniszczono wiele pereł socrealizmu. Bardzo mnie bolało, gdy burzyli dworzec w Katowicach. A przecież ceglany dom, socrealistyczny dworzec, nowoczesny wieżowiec – to wszystko może funkcjonować obok siebie. Poszanowanie krajobrazu kulturowego jest nam ciągle obce.

W wirze zmian lepszy los spotkał drewniane chałupy, bo można było je rozebrać i przenieść do skansenu. A ceglane domy po prostu się wyburzało, bo ceglaneanego domu nie da się nigdzie przenieść.

– Dla mnie skansen jest ostatecznością, bo jeśli coś przenosimy do skansenu, to znaczy, że przestaje funkcjonować w przestrzeni, przestaje żyć, staje się jakimś reliktem. A dom, żeby był domem, musi spełniać swoją funkcję, musi być zamieszkały. Inaczej jest domem bezdomnym. Okazuje się, że najwięcej tradycyjnych domów przetrwało w rejonach, które po wojnie były „niedoinwestowane”, np. na Dolnym Śląsku – tam nikt nie burzył ceglanych, często poniemieckich domów, bo nikogo nie było stać na postawienie nowego.

Mówi się, że bieda jest najlepszym konserwatorem.

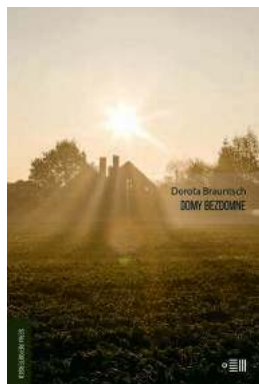
Historia uczy, że wielkie idee nie wytrzymują próby czasu. Opisujesz w książce to, co zostało lub powoli znika, coś, czego nie zmiotła jeszcze machina dziejów.

– Tak naprawdę moja książka jest bardziej opowieścią o ludziach, nie o domach. Sam budynek jest drugorzędny, liczy się związek człowieka z miejscem, to, jak żyli ludzie i czym dla nich był dom. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu domy nie były traktowane jak sypialnie – w domach się rodziło i umierało, pracowało i odpoczywało, były schronieniem i ostoją – pełniły zupełnie inne funkcje niż dziś. Kiedyś człowiek był bliżej natury, a co za tym idzie, dom był integralnym elementem krajobrazu. Zawsze zbudowany z naturalnych, lokalnych materiałów był w pewnym sensie przedłużeniem czy odzwierciedleniem dookolnego krajobrazu. Kiedyś przeczytałam takie

zdanie: być może ostatnim kontynentem do odkrycia jest przechodzący obok drugi człowiek. Postanowiłam odkryć tego człowieka poprzez miejsce mu najbliższe, czyli dom.

Tvoja książka bardzo działa na zmysły. Czytając, czujemy zapach świeżo wypalonej cegły, czujemy woń lasu, którą wydziela więźba dachowa. Zamiast szumu wiatru w pustych oknach i skrzypienia podłogi słyszymy gwar wieczornych rozmów, słowa piosenki, stukot maszyny do szycia. Dajesz bezdomnym, martwym domom nowe życie.

– Mam świadomość, że dni tych domów są policzone. Odchodzą wraz z wymieraniem ostatnich mieszkańców. Czuję, że to ostatni moment, żeby porozmawiać, nie tylko z mieszkańcami, ale również ze starymi fachowcami, cieślami, stolarzami, murarzami. Szukałam, gdzie mogłam, bo choć historia ziemi pszczyńskiej jest bogato opisana, niewiele w niej o ceglaneanym budownictwie. Musiałam się opierać na wiedzy fachowców, wiele odkryć sama. Podczas pracy nad książką poznałam architekta Stanisława Niemczyka, który bardzo mi pomógł, utwierdzał mnie w przekonaniu, że idę we właściwym kierunku. Jego opowieść zawarta w książce jest takim kręgosłupem „Domów bezdomnych” – wszystko spaja. Już po zakończeniu pracy nad



Olga Wiechnik

Poselki

Osiem pierwszych kobiet

Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2019



Do Sejmu Ustawodawczego (1919-1922), który miał na nowo określić sposób funkcjonowania państwa polskiego po odzyskaniu niepodległości, weszło 442 mężczyzn i osiem kobiet – była wśród nich Zofia Moraczewska. Nazywano je poselkami albo poselkiniami, czasem poślicami. Wywodziły się z różnych środowisk,

ale działały wspólnie w sprawach, które uważały za ważne: sprawach kobiet.

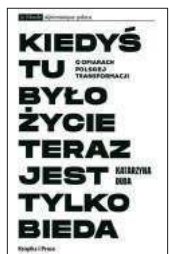
Katarzyna Duda

Kiedyś tu było życie, teraz jest tylko bieda

O ofiarach polskiej transformacji

Instytut Wydawniczy Książka i Prasa

Warszawa 2019



Absolwentka prawa i politologii na Uniwersytecie Opolskim, doktorantka SGH, bada warunki zatrudniania przez firmy prywatne osób sprzątających i ochroniarzy. Opisuje losy przedstawicieli tych grup zawodowych, których miejsca pracy zostały zlikwidowane w wyniku transformacji ustrojowej 1989 r. Przez lata doświadczali bezwzględnego wyzysku. Pracowali nawet za 3 zł za godzinę. Ich

sytuacja poprawiła się w 2017 r., jednak w 30. rocznicę transformacji ustrojowej nie mają chęci świętować. Nie o takiej Polsce marzyli.

Janusz Orzechowski

Mój ojciec Witold Orzechowski

Wydawnictwo Gęsie Pióro

Milanówek 2018



Bohater opowieści to inżynier mechanik i agronom, działacz społeczny i polityczny, pułkownik WP (otrzymał nominację generalską od Rady Obrony Narodu we wrześniu 1944 r., lecz po wojnie jej nie zweryfikowano), odznaczony Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych, organizator podziemia niepodległościowego, pełnomocnik gen. Sikorskiego na kraj, więzień Pawiaka. Po wojnie wielokrotnie aresztowany, w wyniku zainscenizowanej przez UB prowokacji, więziony przez ponad dwa lata. Był reprezentantem grupy tych, którzy losowi się nie poddają.

książką dowiedziałam się, że pan Stanisław zmarł.

Mam wrażenie, że gdybyś była architektką, nie napisałabyś tak przejmującej, humanistycznej książki. Paradoksalnie twoje amatorstwo pozwoliło ci odkryć coś, czego już nie zauważa specjalista.

– Zadawałam bardzo proste pytania: czemu ten dach jest taki duży, czemu mury są takie grube. Architekt nie pytałby o coś takiego, boby wiedział. Bez tej „naiwności” nie byłoby np. opowieści o więźbie – dla wielu najciekawszej – przecież specjalista wiedziałby, czym jest więźba, i nie drążyłby tego tematu!

Dla ciebie więźba to nie tylko konstrukcja, ale wręcz kość dinozaura, to zapach lasu. W cegle widzisz nie tylko glinę, ale i ludzkie losy. To chyba też kwestia wrażliwości?

– Bardzo mi pomogła fotografia. Gdybym nie robiła zdjęć, ta opowieść byłaby inna. Żeby zrobić fajne zdjęcia, musisz spędzić w danym miejscu dużo czasu. Zatrzymać się, przyrzeć, poczekać. Obserwować dany obiekt, zobaczyć, jak wygląda o różnych porach dnia czy roku. Bardzo często z takich fotograficznych eskapad wracałam bez żadnego zdjęcia. Rozczarowana myślałam, że był to bezowocny, zmarnowany czas. Dopiero później rozumiałam, że pewne obrazy odkładały się w mojej głowie i jednak zaowocowały – nie zdjęciem, ale tekstem.

Od zdjęć wszystko się zaczęło. Na początku był projekt fotograficzny „Ceglane domy”.

– Na początku w ogóle nie myślałam o napisaniu książki. Ale kiedy Wojtek Śmieja przygotował reportaż do „Polityki” o moim projekcie fotograficznym, zrozumiałam, że ten lokalny temat może być uniwersalny. Przy okazji robienia zdjęć poczyniłam wiele notatek, poznałam wielu ciekawych ludzi, wysłuchałam wielu opowieści. Pomyślałam, że szkoda byłoby, gdyby te historie się zmarnowały! Postawiłam wszystko na jedną kartę i powiedziałam sobie: jeśli dostanę stypendium w dziedzinie kultury marszałka województwa śląskiego – to piszę, póki nie dostanę, nie piszę.

I dostałaś to stypendium?

– Dostałam. Miałam stworzyć nie tyle całą książkę, ile jej projekt, szkic. Do wysłuchanych opowieści dopisa-

łam historię ziemi pszczyńskiej, dzieje lokalnego budownictwa. To było coś na kształt pracy magisterskiej. I tak to leżało kilka miesięcy w szufladzie. Byłam zmęczona, bo w ciągu pięciomiesięcznego stypendium musiałam wykonać ogrom pracy, i nie miałam siły niczego z tym dalej robić. Z drugiej strony najnormalniej w świecie było mi szkoda, że poświęcałam na ten projekt tyle czasu i nic nie powstało poza szkicem. Pomyślałam, że to nie *fair*, że zamiast spędzać czas z rodziną, pisałam, a potem nic z tym pisanem nie robiłam.

Dzieci cię zmotywowały do kontaktu z wydawnictwami?

– Tak naprawdę myślałam o kilku wydawnictwach, ale wiele z nich przyjmuje gotowy materiał, a ja szukałam wydawnictwa, które da mi czas, by jeszcze popracować nad tekstem, bo miałam świadomość, że szkic, który powstał w ramach stypendium, nie nadaje się do druku.

Dom, żeby był domem, musi spełniać swoją funkcję, musi być zamieszany

Wysłałam dwa krótkie teksty i plan książki do Dowodów na Istnienie. Pomyśl chwycił, potem dowiedziałam się, że temat bardzo się spodobał Filipowi Springerowi, który jest związany z tym wydawnictwem. Filip miał zostać moim tutorem, choć powiem szczerze, że bardzo się tego bałam, bo wydawało mi się, że nadajemy na zupełnie innych falach. Dopiero podczas pracy nad książką okazało się, że mamy podobną wrażliwość.

Decyzja o wydaniu książki nie była oczywista. Mariusz Szczygieł miał duże wątpliwości.

– Tak, uważał, że trudno napisać interesujący tekst o opuszczonych budynkach. Chyba się nie spodziewał, że podejść do tematu z taką czułością i wrażliwością. Czasami mam wrażenie, że ten temat sam mnie znalazł, a ja pierwszy raz w życiu poczułam, że naprawdę chcę o czymś napisać. Pewnie dlatego tak późno w życiu zawodowym zabrałam się do pisania. Pisząc o „bezdomych domach”, wracałam do domu mojej babci, takiego ceglanego, tradycyjnego, gdzie stały ławeczki, otoczonego sadem. To był mój osobisty powrót do domu.

Rafał Pikuta

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Odejścia

Ryszard Bugajski nie żyje – jakby mnie zmroził nagły podmuch wiatru. Byliśmy blisko już na początku lat 70. Ta śmierć nadal szuka sobie we mnie miejsca i nie może go znaleźć. Przez ostatnie lata gniewał się na mnie o jakieś głupstwo, a ja gniewałem się na niego, że się gniewa o takie głupstwo, ale ponad rok temu spotkaaliśmy się przypadkiem na dworcu w Poznaniu, usiedliśmy na kawie i wszystko poszło w niepamięć. Zdawało mi się wtedy, że jakby zmałał, zmarniał. Pomyślałem, że może być chory. Rozmawialiśmy o jego ostatnim filmie, o latach 50., o Julii Brystigerowej – nakręcił o niej „Zaćmę”, to będzie ten jego ostatni film. Od roku chciałem do niego zadzwonić, nie zrobiłem tego i nigdy już nie zrobię. Spieszmy się dzwonić do ludzi.

Przypominają mi się teraz migawki z Ryszardem, człowieka pamiętamy w scenach jakby nakręconych kamerą. Przechowujemy je w magazynie wspomnień, gdzie bałagan, mylą się daty i szczegóły. W małej sali na Chełmskiej nielegalny pokaz filmu, jeszcze przed kolaudacją. Siedzę obok Ani Romantowskiej, która grała w tym filmie więźniarkę, patrzę, a ona płacze. Na „swoim” filmie. A film poszedł na półkę, miał zakaz pokazywania do roku 1989.

Nowy Jork, ze słynnym dziennikarzem Lawrence’em Meschlerem jadę na lotnisko, witamy Ryszarda już jako emigranta. Mówi: „Jak się cieszę, że zostawiłem za sobą ten staw zarosły rzęsą”. Trochę mi przykro, ja będę wracał do tego stawu, by nadal walczyć z rzęsą. On szczęśliwy, pewien, że robi tu karierę jako reżyser. Wkrótce potem jesteśmy na Coney Island u Kalabińskich. Dziennikarz opowiada straszne rzeczy o Stanach, Ryś trochę spłoszony. Wiele lat później jest u mnie w Sztokholmie, w Szwedzkim Instytucie Filmowym oglądamy jego kanadyjski film. Potem Ryszard wraca do już wolnej Polski, co jest dla niego porażką, zawiódł się na Stanach i na Kanady. Kalabiński miał więc rację. Chodzimy po Polu Mokotowskim, rozmawiamy o naszej wolności, która bywa gorzka. Wiele lat wcześniej w Zespole Filmowym X, to lata 70., podpisuję umowę na scenariusz, który piszę dla niego. Natłok obrazów bez dat, miesza się czas. Ryszard był trudny, trochę hipopotam, trochę arogancki, nawet pyszny, ale lubiłem go za talent i inteligencję. W czasie poznańskiego spotkania niespodzianie był miękki, ciepły,

uderzyło mnie to. A była to pewnie śmierć, która może przeformatować człowieka.

W tym samym dniu dwójka bliskich mi ludzi rezygnuje demonstracyjnie z pracy i pisze oświadczenia. To ukazuje skalę tego, jak PiS pacyfikuje Polskę. Eliza Michalik pracowała dla Superstacji, miała tam trzy programy, ostra, a zarazem kulturalna publicystka. Czasami zapraszała mnie do swojego programu. Przez lata co tydzień w tej stacji występowałem w „Krzywym zwierciadle” u Kuby Wątlego. Ostro program polityczny. Kuba podgolony, w tatuażach, myślący szybko, czasami za szybko. Superstacja nigdy nie była zbyt profesjonalna, ale jej siłą była właśnie polityka. Przed laty stację kupił Solorz. I sam stał się obiektem czujnej uwagi PiS. To w miniaturze czujność Putina wobec oligarchów. Podobno więc ściągnęli Solorzowi na kark

rewizorów, dostawał wielomilionowe kary. I, jak się zdaje, obiecał, że Polsat będzie łagodnie traktował PiS. Tak się stało. Teraz przyszedł czas na Superstację. Jest więc nakaz: żadnej polityki. I tak dobrze, mogliby nakazać kopiowanie

telewizji publicznej. Eliza od razu podała się do dymisji i napisała oświadczenie: „Żegnając się z rolą publicystki Superstacji, chcę jeszcze raz powtórzyć to, o czym mówiłam wiele razy w moich programach: wolność słowa, nieskrępowana możliwość wyrażania własnych opinii, także, a nawet przede wszystkim, krytycznych wobec rządu, jest tlenem i krwiobiegiem demokracji, a jej ograniczanie groźnym zwiastunem ograniczania praw obywatelskich. Nie ma wolnego, zdrowego społeczeństwa bez możliwości mówienia, co się myśli, bez oglądania się na cenzurę. (...) Propaganda, nienawiść i podziały społeczne stają się nie do zniesienia i sprawiają, że wszyscy czujemy się jak na wojnie”.

Bliski mi aktor Jacek Bończyk ustępuje z funkcji dyrektora artystycznego Teatru Rozrywki w Chorzowie. Zwolniono dyrektorkę tej placówki z powodów politycznych. Jacek pisze: „Odbieram to jako bezprecedensowy zamach na wolność twórczą w teatrze i w naszym kraju”.

I pomyśleć, że to wszystko zaledwie wierzchołek góry lodowej. Wymiana kadr na wielką skalę trwa wszędzie, tylko nie zawsze to widać.

Wymiana kadr na wielką skalę trwa wszędzie, tylko nie zawsze to widać.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Pisarz zesłańców

**Zbigniew Domino – sybirak,
autor kresowo-syberyjskiej sagi (1929-2019)**

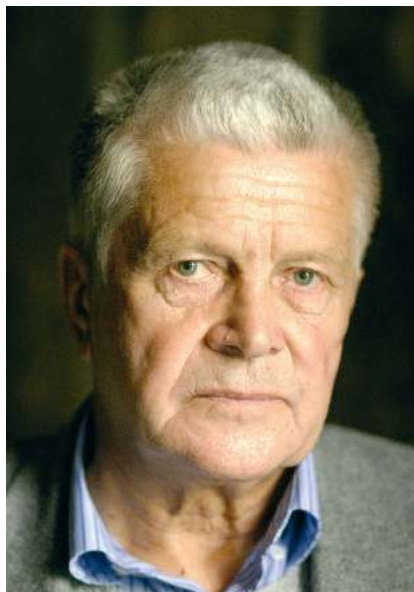
Ryszard Zatorski

Za pół roku, 21 grudnia, miałby 90 lat. Ale świeżość spojrzenia i umysłu miał o pół wieku młodsze, niż wskazywała metryka. Był ciągle taki, jakim go poznaliśmy, gdy jako redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Profile” od 1975 r. przez pięć lat był nie tylko szefem naszego zespołu redakcyjnego, ale zarazem przyjacielem i przewodnikiem życiowym. Taki pozostał do końca życia. Szczery i przyjazny ludziom.

Sybirak, pisarz, autor kresowo-syberyjskiej sagi powieściowej „Syberia da polska” (2001), także zekranizowanej, książek „Czas kukułczych gniazd” (2004), „Tajga. Tamtego lata w Kajenie” (2007), „Młode ciemności” (2012), „Cedrowe orzechy” (1974, wyd. poszerzone 2014), „Zaklęty krąg” (2017), oraz kilkunastu innych tytułów. Jego proza tłumaczona była na języki obce. W Wydawnictwie Studio Emka, w którym opublikowane zostały wszystkie książki pisarza z cyklu syberyjskiego, niebawem ukaże się kolejna – „Sybiraczka”. Zbigniew już jej nie zobaczy.

„Syberia da polska” była najbardziej rozpoznawalna. Ks. Marek Ciesielski SChr napisał: „Tak jak Koncałowskiego »Syberia da« jest filmem przekraczającym ramy filmu (dlatego w podtytule jest poematem filmowym), tak »Syberia da polska« przekracza absolutnie granice polskiej prozy. (...) Uważam, że każdy Polak powinien tę książkę wziąć do ręki i trochę nad nią popłakać i pomedytować. To najlepszy podręcznik najtrudniejszej historii, jaki znalazłem w literaturze ostatnich lat”.

Ślady życia pisarza wiodły od Kielnarowej przez Podole, zesłańczy Sybir, Ziemię Odzyskaną, Warszawę, Rzeszów i dwukrotny dyplomatyczny pobyt w Moskwie do ponownie Rzeszowa dzielonego z Matczynym Polem w Kielnarowej, gdzie pisał „Syberiadę”.



Czytelnicy często traktują Staszka Dolinę, głównego bohatera sybirackiej odysei, jak bohatera pamiętnika Zbigniewa Dominy. – Te losy mogą się zbiegać, pokrywać, ale bohater powieściowy podąża jednak własnymi ścieżkami. Dla mnie powrót po wojnie z Syberii do Polski i wszystko, co się potem działo, było naturalne. Z Polską Ludową dorastałem i jej wszystko zawdzięczam, począwszy od wykształcenia, bo wróciłem dzieciakiem prawie nagi, bosi i niedouczony. Innej Polski nie znałem – podkreślał niezmiennie. Publikowane opowiadania znalazły się w debiutanckich „Pragnieniach” (1967), potem w kolejnych tomach, w tym „Cedrowych orzechach” (1974). – Maszynopis długo przetrzymywano w Wydawnictwie MON – przypominał Zbigniew Domino w jednej z rozmów. – O ich druku, co wiem na pewno, zdecydował dopiero gen. Wojciech Jaruzelski, też sybirak, którego pamięć ogromnie szanuję i jestem przekonany, że doczeka się on jeszcze pomników. Wtedy to był temat tabu. Poniekąd ze zdumieniem odnotowała wówczas Maria Danilewicz-Zielińska w paryskiej „Kulturze”,

że mogły się ukazać opowiadania zesłańcze w takiej postaci.

Stygmat sierocy naznaczył życie Zbigniewa Dominy. Matka umarła na Sybirze, gdy miał zaledwie 10 lat, a jego brat Tadek cztery i pół roku. – Gdy ojciec poszedł z kościuszkowcami na wojnę w maju 1943 r., zostaliśmy na łasce obcych ludzi. Byłem małemu bratu i ojcem, i matką. Tylko mnie nie miał kto wtedy matkować – wspominał. W miejsce zesłania udało mu się powrócić po kilkudziesięciu latach, gdy był w Moskwie na placówce dyplomatycznej. Pisał o tym w PRZEGŁADZIE („Śladami nękańcych wspomnień”, nr 46/2017).

Rosjanie w jego powieściach traktowani są bez uprzedzeń, bo jak podkreślał pisarz, Syberię zamieszkuje różnorodni narodowościowo ludzie, od Rosjan poczynając, przez potomków zesłańców z Europy z różnych etapów, po rodzimych Buriatów. Tam wytwarza się ten szczególny klimat wzajemnej wyrozumiałości. – Sybirak drugiego człowieka nigdy w potrzebie nie zostawi – mówił.

Rodzinę Dominów wywieziono na Sybir z Ukrainy Zachodniej. – Gdybym nie znalazł się na zesłaniu, to prawdopodobnie podzieliłbym los wielu tych spod Zaleszczyk, Czortkowa i Borszczowa, którym udało się uniknąć wywózki, ale znaleźli się w studniach pomordowani przez banderowców. Czekamy na przeprosiny od władz Ukrainy – mówił pisarz i uważał, że te wydarzenia umykają także naszym władzom, a i o sybirakach, o tych pogubionych gdzieś w tajdze, się milczy.

Kiedy niedawno pytałem go przy okazji pracy nad „Sybiraczką”, co dalej na pisarskiej drodze, odpowiedział: – Wygląda mi ta droga na coraz krótszą, ale i trudniejszą. Zobaczymy, może Staszek Dolina coś mi jeszcze podpowie.

Już nie zdąży. Droga życia i pisania Zbigniewa Dominy została zamknięta. Pozostanie pamięć i świadectwo w postaci książek o niezaprzeczalnej wartości. I żal, że już nigdy nie będzie można się spotkać, porozmawiać, zyskać życzliwej odpowiedzi i rady.

**Zbigniewa Dominę pożegnamy
we wtorek, 18 czerwca, o godz. 11.30
na Cmentarzu Komunalnym w Rzeszowie
na osiedlu Wilkowyja.**

Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkało

Ile wspaniałych, smutnych, depresyjnych książek na lato! Wyszły jakby specjalnie na czerwcowo-lipcową chandrę. Wiadomo przecież, że czarny lejek zasysa niektórych właśnie wtedy, kiedy wakacje ich wyrwają z dobrze znanych, wygodnych monotonii. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego rutyna ma czarny PR, dlaczego jest niemedialna. Tylko ona trzyma we względnej równowadze co bardziej neurotyczne jednostki (czyli NAS WSZYSTKICH, umęczonych szukaniem ulubionego serka w dyskontach, zgubionych w multipleksach, oglupiałych na parkingach itd.). I teraz siłą chce się nas wrzucać na słońce, na plażę, do samolotów. Skąd ta opresja słonecznej Dominikany? Skąd presja biesiadowania z goframi? Dla tych, którzy kontestują trend, przygotowałam listę depresyjnych nowości na lato. Tak, tak. Przyjemność, żeby miała walor ekscesu, musi być perwersyjna.

koniec „Miękki werniks”: „Zdrowie i urodę / zabieramy naszym / kobietom, / oddając im w zamian / siebie, / rzecz w istocie / bezużyteczną”. Ot, cały Jaworski – niewesołe z niego towarzystwo. Chociaż trzeba wiedzieć, że ten smutnawy uśmieszek (podwójny) skrywa ciepło i miłość do świata. Na pewno.

Jeśli jeszcze jest Państwu wesoło i nadal macie ochotę na figle, proponuję poczytać „Kociarza”. To zbiór opowiadań Kristen Roupenian, młodej kobiety, która jest autorką najpopularniejszego wiralowego tekstu literackiego XXI w. Tytułowy tekst (w oryginale „Cat person”) pojawił się rok temu na stronie „New Yorkera” jako opowiadanie numeru i dał początek zbiorowi, który niedawno ukazał się w polskim przekładzie Magdaleny Sommer. Co sprawiło, że właśnie ta opowieść tak zelektryzowała ludzi na całym świecie, że dyskutowano o niej i na forach internetowych, i na uniwersyte-

Kilka depresyjnych książek na lato

Proponuję zacząć od zbioru esejów „Gramatyka bieli” Dariusza Czai. Książka tego znakomitego antropologa kultury opowiada o doświadczeniach granicznych, takich, które zmieniają nas strukturalnie. Zwykle to bardzo silne przeżycie, trauma, choroba, śmierć bliskiej osoby albo coś, co gruntownie przewartościowuje nasze życie. Czaja zaznacza, że granica nadaje formę chaosowi naszego doświadczenia (czy nie jest to argument przeciw wakacjom?). W końcu granica „obrysowuje miejsce, w którym można spokojnie zamieszkać”. Pierwszy esej to analiza filmu Valeria Zurliniego „Pustynia Tatarów” – autorskiego, bezkompromisowego kina, w którym akcja jest sprawą drugorzędną. Istnieje forteca, w której toczy się monotonne życie wojskowych. I istnieje granica. To ona determinuje życie mieszkańców fortecy. To stamtąd ma nadejść nieprzyjaciel. To ona elektryzuje i zajmuje żołnierzy. Staje się treścią i sensem jednocześnie. Jedynym horyzontem. Kim jest wróg, który ma stamtąd nadejść? Czaja ma swoją ponurą hipotezę: „Pustynia Tatarów” opowiada o ubywaniu, a wrogiem, który ma nadejść zza granicy, jest śmierć, ustawiona w filmie w samym centrum życia.

Jak już obejrzą Państwo „Pustynię” i przeczytają esej Czai (niewesoły, lecz zmyślny i niepozbawiony literackiego wdzięku), może zachce się Państwu poezji. Upał to żadna wymówka. Zawsze skłonni ustawić się w kontrze, ekscentryczni i ambitni, z pewnością zrezygnujemy z lodów stracciatella na rzecz nowego kapitalnego tomu wierszy Jaworskiego. Krzysztof Jaworski – najwybitniejszy polski poeta – odnawia znajomość z czytelnikami błyskotliwą, gorzką i ponurą, choć pełną humoru (czarnego) książką z wierszami „Ceremonia”. A ponieważ – jak mówi Jan Gondowicz, kiedy zaczyna obficie cytować – literaturę trzeba czytać, i ja pozwolę sobie zacytować. Na przykład wiersz „Amerykańskie miasta”: „Chciałem wam o nich opowiedzieć, / bo nigdy ich nie widziałem. / Są ponoć piękne. / Jak piękna może być tylko ziemia”. Albo ten, krótki, ale znaczący, „Plemiona”: „Słońce wschodziło i zachodziło. Odczuwaliśmy starość”. Na

tach? Bohaterką „Kociarza” jest dziewczyna, która pracuje w barze w niewielkim ambitnym kinie. Jednym z jej klientów jest starszy od niej mężczyzna. Proponuje randkę, wymieniają się numerami telefonów, umawiają się. Warstwa obyczajowa tekstu jest uniwersalna i osadzona w kulturze tak dobrze jak piosenki o lecie. Ale Roupenian raportuje nam stan umysłu i myśli głównej bohaterki. Zmienność nastrojów, lęk, potem znów namiętność, zaraz po niej obrzydzenie. Dziwna, niespójna i wewnętrznie sprzeczna mieszanina, jaka czasem wprawia nas w konsternację, kiedy się do kogoś zbliżamy. Roupenian pisze prosto i plastycznie, a absurd i czarny humor zaskakująco trafnie oddają to, co rozpoznajemy jako jakieś uogólnione, legendarne „nasze życie”. Jej tajną bronią jest szczerość i precyzja. A także śmiałe przekraczanie granic (*hello, mister Czaja*), przed którymi inni pisarze czasem zatrzymują się bojaźliwie. Kiedy Roupenian obwieściła, że wydaje zbiór opowiadań – największe anglosaskie wydawnictwa konkurowały ze sobą i licytowały ofertami. Zaplanowała prawdziwą histerię. Jeśli ktoś oczekiwał spójnego tomu – będzie rozczarowany. To raczej książka dla czytelników, którzy lubią zabawę konwencjami, zmiany formuły, eksplorowanie różnych literatur. Teksty takie jak „Kociarz” czy jeszcze bardziej absurdalny, mroczny „Niedobry chłopiec” sąsiadują tu z opowiadaniem stylizowanym na dziwną legendę („Lustro, wiadro i stara kość”). Jednak „Kociarza” po prostu trzeba znać, choćby po to, żeby samemu sprawdzić, co takiego w globalnej literaturze wzbudza kontrowersje i skłania do dyskusji najtępsze umysły naszych czasów.

Jeśli po tych lekturach słońce nadal nie wydaje się Państwu czarne, jeśli nadal nie patrzycie na wakacje spode łba – poczytajcie sobie nowe wiersze Marcina Świetlickiego. Ile smutnych wierszy! Pewnie Jaworski chodził sobie ze Świetlickim po Plantach, jedli czarne ciasteczka i słuchali Joy Division. Nową książkę „Ale o co ci chodzi” rozpoczyna pogodny tekst „Spode łba”, który ma taką oto puentę: „Należało je / kapać, przepraszać za świat. / Te wiersze wracają. / Spode łba patrzą”.

ROCZNICA BEZ ZADĘCIA

Po okresie osłabienia, zapewne nie bez związku z ucieczką producenta z kasą, Pożar w Burdelu wraca do formy. Po brawurowej premierze „Żelaznych Wagin 2” Michał Walczak dał teraz „Herosów transformacji. Ostateczne starcie”. To spektakl wykorzystujący dawną formułę Pożaru w Burdelu, ale idący bardziej w stronę musicalu. Nawet jeśli nie przechodzi jeszcze na nią bez reszty, warstwa muzyczna odgrywa tu bardzo ważną rolę, a kilka przebojowych piosenek-komentarzy zostaje w pamięci. Taka jest discopolowa piosenka młodzieńca z Pruchnika, brawurowo wykonana przez Rafała Derkacza, radośnie śpiewającego o tradycyjnej świątecznej zabawie w bicie Żyda.

Talenty parodystyczne potwierdza w tym spektaklu Michał Meyer, występujący jako Balcerio (czyli Balcerowicz jak żywy) snujący nowy plan uszczęśliwienia Polaków. Do planu dołącza nawet papież Polak, deklarujący się jako artysta rozrywkowy.

Królową programu jest jednak Monika Babula (m.in. jako Danuta Wałęsowa), która wyrosła na pełnokrwistą gwiazdę tego teatru. Babula i sceniczne „nabytki” dobrze wróżą przyszłości „postburdelowych” produkcji. Publiczność to akceptuje, może tylko z mniejszym entuzjazmem



przyjmuje zachowywaną przez Walczaka zasadę symetrii, czyli równego dystansu do stron konfliktu politycznego – zdaje się, że czas na dogadywanie się plemion okopanych na swoich pozycjach albo minął, albo jeszcze nie przyszedł. Tak czy owak, Pożar w Burdelu znowu płonie i spuszcza powietrze z nadętych balonów propagandy.

Tomasz Miłkowski

Pożar w Burdelu, „Herosi transformacji. Ostateczne starcie”, scenariusz i reżyseria Michał Walczak, premiera w Małej Warszawie 2 czerwca 2019



LES MISERABLES

Spektakl „Les Misérables” od 30 lat gości na polskiej scenie musicalowej, dając szansę obcowania z legendą światowego teatru muzycznego. W czerwcu 2019 r. mija 30 lat od polskiej prapremiery musicalu w reżyserii Jerzego Gruzdy w Teatrze Muzycznym w Gdyni. A pierwsza polska młodzieżowa wersja, Śródmiejskiego Teatru Muzycznego, już 26 czerwca dołączy do grona rodzimych inscenizacji. Dziesiąta produkcja teatru znakomicie wpisuje się w ju-

bileuszowy sezon zespołu, a premiera będzie jego wyjątkowym zwieńczeniem. Już dziesiątą premierę wyreżyserował Antoni Dietzius, laureat nagrody publiczności w konkursie Gieniałni, Lokalni, Globalni im. Danuty Szaflarskiej oraz Nagrody Nieprzeciętni. Pokazom spektaklu towarzyszyć będzie wystawa fotografii „Za kulisami musicalu” autorstwa Tomasza Truskowskiego we foyer teatru.

WARSZAWA, TEATR STUDIO, 26 CZERWCA, GODZ. 19.00

ZASŁUCHAJ SIĘ

Radosław Sobczak
Marcin Tadeusz Łukaszewski.
Piano Etudes
DUX

Już pierwsze dźwięki etiudy transcendentalnej „Wiosna” są jak grom z jasnego nieba. Potem mamy „Lato”, „Jesień” i „Zimę”. Następnie wirtuoz fortepianu Radosław Sobczak gra 12 „Etiud koncertowych”, a kończy trzema „Etiudami akademickimi”, nieco łatwiejszymi. Utwory Marcina Tadeusza Łukaszewskiego rozszerzają techniki pianistyczne do granic możliwości, podobnie jak to czynił Franciszek Liszt. Nie są jednak zwykłym popisem biegłości palcowej, ale tworzą ciekawy nastrój i coś opowiadają, jak etiudy Chopina. Kompozytor, utytułowany naukowo 47-latek, znalazł znakomitego wykonawcę dla swoich utworów, które stanowią światową premierę fonograficzną.



Bronisław Tułomowicz

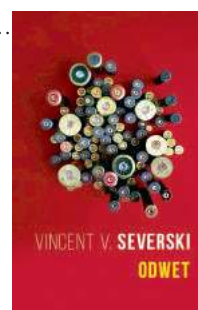
MIEDZY OKŁADKAMI

Vincent V. Severski
ODWET

Czarna Owca, Warszawa 2019

Mamy tu echo tęsknoty wielu Polaków za kimś, na kogo wreszcie będzie można zagłosować z pełnym przekonaniem. Pojawia się taki – ideał pod każdym względem, pasujący każdemu, bohater, ranny w Iraku podczas odbijania go z niewoli islamistów. I jakoś nikomu nie przeszkadza, że to oficer wywiadu, a więc człowiek nienawykły do transparentności. Poza tym, co ślicznie pokazuje Severski, szpiedzy zajmują się głównie wzajemnym przewerbowywaniem. Czy takiemu można ufać? (Swoją drogą co wiemy o politykach? Czyje cele realizują, na czym pasku chodzą? Pół biedy, jeśli tylko tego czy innego prezesa). Ów cud polityki budzi obawy premiera, który zleca dyskretny audyt Romanowi Leskiemu i jego Sekcji w Agencji Wywiadu. I cóż – cudów nie ma. Ze strony na stronę robi się coraz ciekawiej, momentami dramatycznie, choć przeważa podejszcie: nasi są najlepsi. Severskiego niezmiennie czyta się z przyjemnością, czasami też z rozbawieniem, gdy artystka Monika patrzy „trzecim okiem”, a szef Sekcji „sublimuje”. Wysublimowane towarzystwo.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH

GODZILLA II: KRÓL POTWORÓW

reż. Michael Dougherty, prod. USA,
już w kinach

Ramotka w ważnej sprawie – tak można najprościej określić serię o Godzilli, której narodziny były reakcją na oddalanie się człowieka od przyrody i postępującą destrukcję planety. Potwór był ucieleśnieniem siły natury stawiającej nad jednostką większe dobro – całego ekosystemu. Ryk bestii przypominał, że niezależnie od wyprodukowanej broni człowiek nie ma z nią szans. Ta mitologia powraca w „Królu potworów”, w którym uśpione monstra budzą się jeden po drugim, by posprzątać bałagan na Ziemi wyniszczanej przez ciągłe konflikty,



nadprodukcję plastiku i nierozsądne gospodarowanie złożami. Tak przynajmniej chciałaby Emma (Vera Farmiga), która we współpracy z nawiedzonym ekoterrorystą wywołuje wilki z lasu (czytaj: pradawne potwory z lodu). Kto widział choć jeden film z Godzillą, wie, że to wszystko doprowadzi do spektakularnej rozwałki. I rzeczywiście – giganty naparają się z gracją gargantuicznego słonia w składzie porcelany, więc wieżowce, bloki i góry pięknie się walą. Strona wizualna robi momentami wrażenie, ale nawet najlepsze efekty nie są w stanie wynagrodzić infantylnego scenariusza.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

KRZYSZTOF FRANASZEK
Wszystkożercy

Plenerowa galeria na placu Europejskim prezentuje instalację, na którą składają się rzeźby ze stali, z mosiądzu, obiekty wykonane w technologii druku 3D i fotografie, które opowiadają o współczesnych postawach i wartościach, szaleńczym tempie życia, pogoni za sukcesem oraz wszechobecnym konsumpcjonizmie. Tytułowi wszystkożercy to mieszkańcy wielkich miast ukazani w kontekście swojego otoczenia. Ich byt opiera się na pierwotnych instynktach i walce o przetrwanie, a naturalnym środowiskiem życia jest miejska dżungla.

WARSZAWA, PLENEROWA GALERIA SZTUKI ART WALK, DO 9 SIERPNI

**KAZIMIERZ URBAŃSKI**
Czerwień zalewa kadr

Kazimierz Urbański to jedna z kluczowych postaci w historii polskiego filmu animowanego, eksperymentator i pionier edukacji filmowej, pomysłodawca i założyciel Pracowni Rysunku Filmowego krakowskiej ASP – pierwszej tego typu placówki na świecie kształcącej w kierunku animacji na uczelni artystycznej. Jego dorobek z pogranicza filmu i sztuki w latach 50. i 60. funkcjonował na marginesie, ale ta działalność ukształtowała drogę artystom plastycznym w dziedzinie animacji. W ramach wystawy prezentowane są wybrane filmy Wojciecha Bąkowskiego, absolwenta poznańskiej Pracowni Filmu Animowanego, której współzałożycielem był Kazimierz Urbański.

WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 25 SIERPNI

**JERZY MIERZEJEWSKI Z RODZINĄ**

W galerii w Alejach Jerozolimskich 51 w Warszawie można się zapoznać z niezwykle historią XX w. uwiecznioną na ok. 45 płótnach, grafikach i rysunkach przedstawicieli trzech pokoleń rodziny Mierzejewskich. To nostalgiczne, pełne tęsknoty prace Jerzego, bardziej formalne obrazy Andrzeja, idealizm Jacka i wreszcie lekkie, pozytywne, kobiece prace Gabrieli.

WARSZAWA, GALERIA FUNDACJI IM. BOLESŁAWA BIEGASA, DO 25 LIPCA

**ANNA WŁODARSKA**
(Nie)zapomniane

Cykl fotografii „(Nie)zapomniane” jest opowieścią o pozostawionych samym sobie ulicach, podwórkach i budynkach współczesnej Łodzi. Fotografie dokumentują ich obecny stan, który w najbliższym czasie zmieni się w wyniku rewitalizacji. Fotografie w refleksyjny sposób pokazują rozpadające się budynki, graffiti, stłuczone szyby, które wskazują na ciągłość miasta i jego wewnętrznego ducha – niegdyś lśniąca nowością, dziś zaniedbane, jutro na skraju gruntownej przebudowy.

ŁÓDŹ, AKADEMICKI OŚRODEK INICJATYW ARTYSTYCZNYCH, 17 CZERWCA-25 LIPCA

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Tajemnice pielęgniarek

Z lekarzami od 20 lat codziennie widzę się w pracy, ale żadnego nie nazwałabym „kolegą”. To są panowie doktorzy, a my panie pielęgniarki. Nie jesteśmy jedną drużyną

Marianna Fijewska

Jedna z pielęgniarek zapytała mnie, czy wyobrażam sobie firmę, w której pracownicy po 30 latach wspólnej harówki wciąż zwracają się do siebie per „pan” i „pani”. W której nie ma integracji, wspólnych wyjść na kawę czy obiad. Przyznałam, że rzeczywiście, trudno mi wyobrazić sobie taką firmę. „To są realia szpitala, proszę pani. Jakby w powietrzu nieustannie wisiało jakieś niepojęte napięcie”, powiedziała. Skutki tego napięcia dało się odczuć w rozmowach z pielęgniarkami.

W odpowiedzi na rzucane przeze mnie pytanie: „Jak wyglądają pani relacje z lekarzami?” najczęściej słyszałam ironiczny śmiech, pełne irytacji „A da pani spokój!” albo „Ja im się stawiam, ale dla koleżanek to jest pan i władca!”. Zdarzały się też reakcje pozytywne, zwłaszcza wśród młodszych pielęgniarek. „Fantastycznie! Omawiam z nimi wyniki pacjentów, mówię swoje zdanie, wcale się ich nie boję”, ale nawet w tych odpowiedziach wyczuwało się delikatne rozdrażnienie i przesadną stanowczość. Jakby strach czy uległość wobec lekarzy była stanem naturalnym. Jakby równe i partnerskie relacje trzeba było sobie wywalczyć.

Mój pierwszy dyżur w życiu, rok 1988, druga w nocy. Jestem najszczęśliwszą osobą na świecie, bo właśnie spełniam swoje marzenia. Będę ratować ludzkie życie i pracować u boku lekarzy – bohaterów, których zawsze podziwiałam. Nagle wpada chirurg. Jest kompletnie pijany. Bełkocze coś, że miał imieniny i wszyscy goście poszli do domu. Uznał więc, że weźmie butelkę i przyjdzie na oddział. Spojrzałam w grafik – okazało się, że zaczyna zmianę o 7 rano.

Basia, 30-letni staż, oddział chirurgiczny, szpital powiatowy pod Warszawą

Pracowałam w małej przychodni pod miastem. Trafiła do mnie kobieta z rocznym dzieckiem, któremu trzeba

było szybko zrobić zastrzyk. Mały leżał na łóżku, ze ściągniętymi spodenkami. Już miałam się wkluwać, gdy weszła pani doktor, internistka. „Zobacz, tak to się robi”, powiedziała, zabierając mi strzykawkę. Stała kilka, może kilkanaście centymetrów od chłopca i wyceLOWAŁA w jego pupę, tak jakby strzelała lotką do tarczy. Igła wbiła się w pośladek, dziecko zaczęło płakać, a pani doktor szybko zrobiła zastrzyk. Poczulałam się upokorzona. Matka się nie odezwała, a ja nie miałam odwagi nawet spojrzeć w jej kierunku.

Anna, 25-letni staż, oddział internistyczny, szpital publiczny, woj. małopolskie

W latach 90. lekarze uważali, że pielęgniarki powinny wskazywać im do łóżek. Pracowałam wtedy na OIOM-ie w jednym z warszawskich szpitali. Razem z nami pracowało dwóch anestezjologów. Prowadzili zakłady, który pierwszy będzie miał daną pielęgniarkę. Jeden z nich złożył mi propozycję seksualną całkiem wprost. Drugi był nieco bardziej subtelny i zaprosił mnie do gabinetu na „wizytę prywatną”. Odpysknęłam coś jednemu i drugiemu, a oni nadali mi przydomek Królowa Łodu. Mówili tak na mnie przez następne lata. (...)

Pamiętam dyżury nocne, podczas których do gabinetu potrafiły wejść dwie pielęgniarki. Najpierw jedna, a potem druga. Wszystko niby utrzymane w tajemnicy, ale z tymi dwoma lekarzami sypiało pół szpitala. Co z tego, że jeden z nich miał żonę i synów? Totalny amok.

Małgosia, 20-letni staż, OIOM, szpital publiczny w Warszawie

Starych lekarzy trzeba nieustannie temperować. Jak mówi do mnie „siostró”, odpowiadam, że nie jest moim bratem. Jak kiwa na mnie palcem, pytam, czy jest chory. Działa? Działa. Nie cackam się z nimi, w przeciwieństwie do koleżanek z oddziału. Gdy do pokoju socjalnego wchodzi pan doktor, staję na baczność, py-

tając: „W czym pomóc?”. Często proponują im kawę i herbatę. Są też takie, które wchodzi cichutko do gabinetów i zmywają brudne kubki.

Ada, 31-letni staż, oddział internistyczny, szpital publiczny, woj. łódzkie

Lekarze nie mają do nas żadnego szacunku. Młodzi. Starzy. Wszyscy. Oni są nauczeni, że my im usługujemy. Nawet karty zleceń z łóżka pacjenta sami sobie nie wezmą, tylko czekają, aż im podamy. W dodatku źle te karty wypełniają, bo nie mają żadnej wiedzy o pacjencie. Chodzimy za nimi i pokazujemy palcem: „Tu trzeba wypisać dodatkowy lek”, „Tu trzeba zlecić badanie”. A oni przewracają oczami i mówią: „Co znowu pani chciała?”, „Znowu mi pani głowę zawraca”, „Ojej, znowu pani”. „Znowu”, „znowu”, „znowu”. To słowo słyszę codziennie.

Justyna, 33-letni staż, oddział internistyczny, szpital publiczny, w Lublinie

Pewnego dnia starszy lekarz zrobił mi wielką awanturę, że pacjentka ma za niski poziom hemoglobiny i powinnam go o tym informować. Odpowiedziałam, że sprawdzanie wyników badań krwi przed operacją należy do jego obowiązków i nie życzę sobie takiego tonu. Oburzony pobiegł do oddziałowej ze skargą. Oddziałowa się przeraziła, wezwała mnie na dywanik i powiedziała: „Lekarz to lekarz. Należy mu się szacunek!”. Odpowiedziałam, że szacunek powinien być zawsze wzajemny. Załamała tylko ręce.

Maja, trzyletni staż, oddział chirurgiczny, szpital publiczny w Warszawie

Zajęcia na bloku operacyjnym. Wchodzi starszy profesor chirurgii ze studentami medycyny. Robi się tłoczno. „Za dużo nas. Po co tu pielęgniarki? Może stragan sobie jeszcze rozstawicie?”, mówi. Zapada grobowa cisza, pielęgniarka prowadząca naszą grupę stara się załagodzić sytuację. Następnego dnia wystosowaliśmy zażalenie do ordynatora oddziału, na którym



pracował ten profesorek. Napisaliśmy, że jesteśmy wstrząśnięci i urażeni. Ordynator odpowiedział, że wezwał go na rozmowę i dał upomnienie. Chirurg oczywiście nie przeprosił.

Piotr, III rok, Warszawski Uniwersytet Medyczny

Pracowałam na oddziale zakaźnym z młodym lekarzem, zaraz po trzydziestce. Facet niezwykle bezczelny, potrafił przy nas powiedzieć, że nie nawidzi pielęgniarek. Pech chciał, że trafił nam się wspólny dyżur. Przyjechał pacjent z bardzo wysoką gorączką. Lekarz nawet na mnie nie spojrzał, tylko powiedział: „Poda dożylnie paracetamol”. Bez wpisania jego zalecenia w karcie nie mogłam tego zrobić, więc powiedziałam: „Żadne »poda dożylnie paracetamol«. Proszę najpierw wypełnić kartę”. Oburzył się: „A pani koleżanki wykonują polecenia i nie muszą nic wpisywać!”. Odparłam, że to bardzo źle, że w ogóle o tym wspomina, ponieważ w ten sposób łamie regulamin szpitala. Lekarz, który mógłby być moim synem, zaczął na mnie wrzeszczeć. Zagroziłam, że zgłoszę oddziałowej mobbing. Ale ubiegł mnie – nazajutrz rano poszedł do przełożonej, powiedział, że jestem pyską jędrą i odmawia przyjmowania wspólnych zmian. Oddziałowa oddelegowała mnie więc na inną salę. Jak tylko się o tym dowiedziałam, pobiegłam do niego wście-

kła. Wzięłam za chabety, zamknęłam w dyżurce i powiedziałam: „Proszę mnie uszanować, bo jestem starą pielęgniarką. Wiem, co robię. Mam tytuł magistra, specjalizację, kursy i jestem równorzędnym partnerem dla pana”. Tak się zmieszał, że z wrażenia nawet przeprosił.

Lusia, 33-letni staż, oddział geriatryczny, szpital publiczny, woj. podlaskie

Szpital nie określa jasno, gdzie kończą się obowiązki pielęgniarki, a zaczynają lekarza. Na moim oddziale trwa nieustanny spór o mierzenie ciśnienia. Nie wiadomo, kto ma to robić, ale wiadomo, że nikt nie ma na to czasu. Rozumiem, że dziewczyny się frustrują. Zmierzenie ciśnienia to czynność trwająca dwie minuty. Tylko że przez te dwie minuty lekarz zarobi dużo więcej niż pielęgniarka.

Piotr, ośmioletni staż, lekarz internista, szpital publiczny, woj. podkarpackie

Leżą u nas pacjenci przed amputacjami. Starsi ludzie, którzy trafiają na oddział z czarnymi, sinymi, a nawet zielonymi, rozkładającymi się już kończynami. Lekarz przychodzi i mówi: „Amputacja”. A pacjent w szoku. „Tylko nie amputacja?! Na pewno jest jakaś inna metoda!”, proszą. Na to chirurdzy: „Albo amputacja, albo do domu”. A wyjście do domu oznacza śmierć. Tym ludziom ktoś powinien

wytłumaczyć, że bez nogi czy ręki da się funkcjonować. Tylko że lekarzom się nie chce. Ja natomiast nie mogę rozmawiać z pacjentem o jego stanie zdrowia, a tym bardziej namawiać go do operacji.

Grażyna, 30-letni staż, szpital publiczny, woj. mazowieckie

Lekarze rzadko są nastawieni na pacjenta. Mówią pielęgniarkom, co mają zrobić i odwracają się na pięcie, zostawiając je z całą robotą. Na dziewczyny, szczególnie te starsze, to działa jak płachta na byka. Przecież one nie wiedzą, w co ręce włożyć.

Michał, 10-letni staż, lekarz chirurg, szpital publiczny, woj. mazowieckie

Gdy trafiłem na SOR, byłem zaskoczony, że pielęgniarki tak chamsko zwracają się do alkoholików zgarniętych z ulicy. Myślałem: alkoholizm to ciężka choroba, jak można w ogóle nie mieć empatii? Niedługo później byłem świadkiem sytuacji, w której pielęgniarka przez 12 godzin musiała pilnować pijanego pacjenta na sali obserwacyjnej. I przez całe 12 godzin obrzucał ją kurwami i wyzywał od szmat. Pomyślałem wtedy, że łatwo mi było oceniać, bo ja przychodzę do pacjenta tylko na chwilę i znikam. A one są na linii frontu.

Przemek, 11-letni staż, lekarz chirurg, szpital publiczny woj. pomorskie

Pracuję w jednym szpitalu od 20 lat i z niektórymi lekarzami od 20 lat codziennie widzę się w pracy. Ale żadnego z nich nie nazwałabym „swoim kolegą”. O nie! To są panowie doktorzy, a my panie pielęgniarki. Nie jesteśmy jedną drużyną.

Teraz pomyślałam, że to strasznie głupie, bo przecież gramy do jednej bramki.

Ada, 31-letni staż, oddział internistyczny, szpital publiczny, woj. łódzkie

Pierwsze praktyki w szpitalu. Jedziemy windą – ja, koleżanka ze studiów i nieznany nam lekarz. Popatrzył na plaketkę „studentka pielęgniarstwa” wiszącą na szyi koleżanki i westchnął: „Pielęgniarstwo... jedna wielka masakra”. Aż mi się grochy w oczach pojawiły. Jednym zdaniem podsumował coś, co dla mnie jest przyszłością i największą satysfakcją.

Zuzia, studentka III roku, Uniwersytet Rzeszowski

Pielęgniarki potrafią być bardzo niemiłe dla młodych lekarzy, którzy, naprawdę nie rozumiem czemu, na to pozwalają. Są to zazwyczaj panie, które pracują na oddziałach od 30 lat i uzurpują sobie prawo do tego, by nie wykonywać poleceń „głupków”, którzy pracują dopiero trzeci rok.

Andrzej, trzymiesięczny staż, lekarz chirurg, szpital publiczny w Bydgoszczy

Problemy na linii lekarze – pielęgniarki? Może to wina lekarzy, którzy za przeproszeniem wyżej srają, niż dupę mają? Ja to obserwuję i wcale się pielęgniarkom nie dziwię.

Adam, dwuletni staż, lekarz internista, szpital publiczny w Warszawie

Koleżanka zaraz po rezydenturze, bez doświadczenia, trafiła na SOR. Myślała, że pozjadała wszystkie rozumy. Traktowała lekarzy z oddziału, w tym mnie, jakbyśmy byli niedouczeni. A pielęgniarkami pomiatała. Narzekaliśmy między sobą, ale nic z tym nie zrobiliśmy, za to dziewczyny wzięły sprawy w swoje ręce – poszły na skargę do ordynatora. Efekt? Mądrała została odsunięta od pracy na oddziale. Doskonale wiedziały, jak zrobić z nią porządek.

Michał, 10-letni staż, lekarz chirurg, szpital publiczny, woj. mazowieckie

Grzecznie i z uśmiechem zapytałem, gdzie leży dany pacjent. Usły-

szalem, że chyba jestem głupi, skoro nie wiem, że takie rzeczy sprawdza się w spisie pacjentów, czyli tzw. ruchu chorych. Zapytałem, gdzie mogę ten spis znaleźć, bo niestety nie wiem. „To się dowiedz”, krzyknęła i poszła. Pielęgniarki są postrachem studentów medycyny. To najbardziej agresywne i niemiłe osoby, z jakimi spotykamy się podczas praktyk.

Olek, V rok, Uniwersytet Medyczny w Poznaniu

Kolegom na studiach wydaje się, że złapali pana Boga za nogi. Jak na każdym kroku słyszysz, że jesteś dumą rodziny i młodym geniuszem, to łatwo może ci się poprzestawiać w głowie. Pamiętam, że niektórzy witali się tylko z lekarzami, a pielęgniarkom nie mówili „dzień dobry”, rzucali, że one nie mają wiedzy, po czym... szybko byli sprowadzani na ziemię.

Pielęgniarki rzucają na stół karty zleceń, mówiąc: „Niewyraźnie napisane. Póki nie będzie przepisane, nie robię”, czasem też w ramach protestu odmawiają wykonania zlecenia, co jest już na granicy szkolenia pacjentowi... a na pewno nie jest podyktowane jego dobrem. Wiedzą, że młodzi lekarze są na samym końcu łańcucha pokarmowego i dlatego ich tak ustawiają. (...) Proszę pani, studenci są poza jakimkolwiek łańcuchem. Na ich miejscu też bym się bał.

Piotr, ośmioletni staż, lekarz internista, szpital publiczny, woj. podkarpackie

Z lekarzami trzeba się ułożyć. Oni doskonale wiedzą, że będziemy traktować ich z szacunkiem, jeśli będą nas traktować odpowiednio. My umiemy być wredne, chodzić do nich z każdą pierdołą, nie dawać spać w nocy i co pół godziny informować o stanie pacjentów.

Karolina, dwuletni staż, oddział chirurgiczny, szpital publiczny w Warszawie

Jak się jest miłym dla dziewczyn, to i one są miłe. Z lekarzami czasem przynosimy im do dyżurki ciastka, pytamy, czy chcą kawy albo herbaty... Takie małe rzeczy, które sprawiają, że żyje nam się po ludzku. Trzeba mieć w sobie trochę pokory.

Patryk, pięcioletni staż, lekarz ortopeda, szpital publiczny, woj. małopolskie

Hasło: reanimacja. Wszyscy odrywamy się od tego, co robimy. Ktoś biegnie po wózek reanimacyjny, ktoś

masuje serce albo strzela prądem, ktoś dzwoni po lekarza. Każdy wie, co ma robić, choć nigdy wcześniej się nie umawiamy. Działamy jak jedna maszyna. Potem sobie dziękujemy, wtedy nie ma, że „ty jesteś pan doktor, a ty zwykła pielęgniarka”. Gdy ratujemy życie, to tytuły nie mają żadnego znaczenia.

Kornelia, czteroletni staż, OIOM, szpital publiczny w Warszawie

Na internie leczylimy pacjenta, który wracał do nas jak bumerang. Sypało mu się wszystko: płuca, trzustka... ale był niezwykle pozytywnie nastawionym człowiekiem. Przebywał na oddziale tak często, że traktowaliśmy go jak jednego z nas. Umarł na moim dyżurze. Pamiętam moment, w którym zebrałiśmy się na sali – lekarze z pielęgniarkami – i płakaliśmy, stojąc nad jego łóżkiem. Mogę stwierdzić, że byliśmy wtedy grupą, zespołem, jednością, ale myślę, że to i tak za mało powiedziane.

Szymon, lekarz chirurg, 10-letni staż, szpital publiczny, woj. podlaskie

Trzecia w nocy. Trafia do nas motocyklista po wypadku. Ręka i część barku oderwana. Chłopak tonie we krwi. Przez całą noc z lekarzem i koleżankami tłoczmy w niego niebotyczne ilości krwi. Nie odходимy ani na chwilę. Nie sikamy, nie jemy, czasem łapiemy tyka z jednej butelki wody stojącej gdzieś w rogu sali. „Taki młody”, mówimy i strasznie, strasznie chcemy go uratować. Po ośmiu godzinach umiera. To są takie chwile, gdy myślisz sobie: „Kurwa, poświęcam każdą sekundę na uratowanie tego człowieka i wszystko na nic”. Nie ukrywam, tej nocy bardzo mocno kłęliśmy. Siedzieliśmy w dyżurce sfrustrowane i wściekle. W pewnym momencie przyszedł do nas lekarz. Powiedział: „Dziewczyny, bardzo wam dziękuję. Daliśmy z siebie wszystko. Dobra robota”. Niby taka mała rzecz, a wszystkim zrobiło się na sercu jakoś zupełnie inaczej.

Alicja, 18-letni staż, SOR, szpital powiatowy pod Warszawą

Fragmenty książki
Marianny Fijewskiej
*Tajemnice pielęgniarek.
Prawda i uprzedzenia,*
W.A.B., Warszawa 2019



Porażki dziennikarstwa kurskiego typu

Edward Mikołajczyk

Kolejna obsuwa Polski w światowym rankingu wolności mediów jest raczej pewna. Tygodnik „Polityka” dostał właśnie sądowy zakaz publikowania materiałów o awansach prokuratorów, którzy uporali się z aferą taśmową „zgodnie z instrukcją”.

W tym miejscu opowiadania wypada przypomnieć, o jaką aferę chodzi. Zrobię to za pomocą kilku słów kluczy, za co bardzo przepraszam, ale inaczej nie uda mi się powstrzymać odruchu wymiotnego. Słowa są następujące: Sowa, kelnerzy, podsłuch, ośmiorniczki, Fa-lenta, kamieni kupa i nagrania. Jeszcze dodam, że wobec dylematu, czy ten cały szajs publikować, media zachowały się wówczas obrzydliwie i ten stan się utrzymuje.

Zaraz po wyroku nakazującym „Polityce” milczenie tak szczęśliwie zbiegły się okoliczności, że jednak Ziobro może mieć kłopoty z osadzeniem dziennikarzy w ulubionym pierdłu (resortowe uczucie szeryfa Z. obejmuje zarówno słowo, jak i sam przybytek). Od samego początku afery taśmowa załatwiała spiskiem, a nowego zapaszkę nabrała po zmianie warty politycznej w Polsce, kiedy nieznany sprawca zorientował się, że znalazł się po stronie wykiwanych, a nie tak miało być.

W ciągu kilku lat TVPiS dokonała gangsterskiego przewrotu w uprawianiu naszej profesji.

Wyrok na „Politykę” niczego nie kończy. Dopiero teraz wybuchnie gigantyczna afery, która znacznie wydłuży przyszłą listę słów, a zwłaszcza nazwisk kluczy dla linków prowadzących do wybijającego szamba.

Międzynarodowym sędziom zadziwionym osuwaniem się Polski w rankingach wolnościowych trzeba by jeszcze zwrócić uwagę na przyporządkowanie wielu mediów sile politycznej, która jednocześnie kontroluje władzę ustawodawczą i wykonawczą oraz przejmując sądy po uprzednim zawłaszczeniu prokuratury. To może być ważne dla metodologii rangowania w roku 2019, żeby np. w grupie badanych mediów nie umieszczać telewizji publicznej, ponieważ to medium definitywnie przeszło na stronę podmiotów opresyjnych, zagrażających wolności innych mediów. Grozi np. sądem dwojgu dziennikarzom popularnej

gazety za sugerowanie w publikacjach, że publicystyczne szarże telewizyjne doprowadziły do zamordowania prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza w styczniu br.

Oddział regionalny tej telewizji w Opolu wystąpił do sądu przeciwko prezydentowi miasta z pozwem za naruszenie „dobrego imienia” (sic!). Prezydent szkalowany w medium publicznym, jednocześnie pozbawiony dostępu do anteny, zaczął odpowiadać na Facebooku w taki sposób, że ci z telewizji stracili rezon i pobiegli do sądu, licząc na wszechmoc TVPiS i unię personalną prezesa z Prezesem. Trzeba bowiem wiedzieć, że wojenka opolska jest tylko frontem niewygasłej wielkiej wojny Woronicza ze stolicą polskiej piosenki.

I stała się rzecz przez opolan oczekiwana, bo to jest ich prezydent, ale dla reszty Polski niespodziewana. TVP 3 Opole przegrała z prezydentem miasta, który nie naruszył dobrego imienia kiepskawej stacji, a tylko dobre samopoczucie i poczucie bezkarności aktywistów PiS na etatach dziennikarskich.

W ciągu kilku lat TVPiS dokonała gangsterskiego przewrotu w uprawianiu naszej

profesji. Obowiązek patrzenia na ręce władzy zamieniła na obowiązek niszczenia każdego, kogo partia wskaże jako wroga. To, co się stało w Opolu, jest chyba pierwszą porażką dziennikarstwa kurskiego typu.

Powstał też precedens innej natury. Oto na publicznym forum starty się racje kierowane do odbiorców z dwóch tak różnych źródeł jak wideo na FB i telewizja. Do tej pory nie było wątpliwości, który przekaz jest mocniejszy. Sąd oczywiście badał słuszność, a nie technologię przekazu, ale chyba nigdy się nie zdarzyło, by na równych prawach rywalizowały w Polsce narracje rozpowszechniane technikami, które metrykalnie należą do odległych epok.

Tuż po telewizji do grupy mediów pozbawionych wolności, natomiast gorliwie cenzurujących siebie i innych uczestników rynku mediów, należy zaliczyć Polskie Radio, które nie nadaża, ale się stara. Długo jego zarząd (pojedynczy prezes, żeby było śmieszniej) zastanawiał się, co zrobić z Wojciechem Mannem, który zapowiadając piosenkę „Neandertalczyk”, skrytykował garnitur premiera. I zabrakło mu, temu pojedynczemu zarządowi, komso-molskiej odwagi ludzi telewizji, żeby oddać człowieka pod sąd. Przebraniem Morawieckiego ma się teraz zająć Komisja Etyki Polskiego Radia, bo radio nie ma własnej pracowni krawieckiej. ■



PANGEA – restauracja bez szefa

Od kiedy w historii pojawił się pierwszy szef, ludzie marzą, by szefowie przestali istnieć!

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Argentyny

Pangea – restauracja bez szefa działa w samym centrum Tucumánu, jednego z największych miast Argentyny. Mimo ostrej inflacji i rosnącego bezrobocia 11 pracowników spółdzielców nadal serwuje poranne kawy, południowe obiady i nocne wina. Więcej nawet, w spółdzielni znaleźli sposób na przetrwanie w czasach kryzysu. – Gdyby to był lokal szefa – rzuca Oveja i zatrzymuje się z dwoma talerzami pieczonych bakłażanów w rękach – już dawno by go zamknięto.

Stara szynka, spleśniały chleb

Niecałe dwie przecznice od rynku, przy ulicy Laprida 289, od wyblakłej, żółto-fioletowej fasady odcinają się krwistoczerwone, świeżo pomalowane drzwi. Pierwszą salę lokalu wypełniają niewielkie drewniane stoliki. Na każdym kwadratowym blacie wymalowany obraz lub grafika. Za barem stoi Oveja i wbija do komputera ostatnie zamówienia. Ma 33 lata, od 16 lat pracuje w barach i restauracjach. – A branża gastronomiczna to taka, w której pracownik zawsze jest wykorzystywany – mówi zdecydowanie, ale bez nuty męczeństwa, i biegnie do kuchni.

Oveja nosi dżinsy, czarną, męską koszulkę i czarną czapkę z daszkiem; na szyi cienki, srebrny łańcuszek. Uszy i dolną wargę zdobią kolczyki. Opowiada, że właściwie we wszystkich poprzednich firmach zatrudniano ją nielegalnie. W najlepszym razie podpisywana umowa dotyczyła kilku godzin, a w rzeczywistości trzeba było pracować znacznie więcej.

– Szefa nie interesuje, że coś ci się może stać, że zachorujesz, coś sobie złamiesz. Masz pracować i koniec – mówi. – W Pangei organizujemy się z myślą o sobie samych, więc działamy w stu procentach legalnie:



W Pangei organizujemy się z myślą o sobie samych, więc działamy w stu procentach legalnie: opłacamy podatki, składki zdrowotne i emerytalne.

opłacamy podatki, składki zdrowotne i emerytalne.

W rzeczywistości to, co opłaca, to *monotributo*, danina jednolita, w której są podatek dochodowy i składki społeczne. *Monotributo* to uproszczony system podatkowy mający faworyzować rozwój mikroprzedsiębiorstw i spółdzielni, a także pozwalający na legalizację działalności drobnych sprzedawców, bez konieczności zakładania firmy. (*Monotributo* nie jest aż tak pазorny jak polski ZUS.)

– Druga sprawa to atmosfera pracy – ciągnie Oveja. – Tutaj mogę rozmawiać, dyskutować, podejmować decyzje wspólnie z innymi, a nie tylko wykonywać rozkazy. To zupełnie zmienia twój stosunek do pracy – uwielbiamy tu być i dajemy z siebie wszystko, bo to, co robimy, jest nasze, jest dla nas, a nie dla szefa.

Hector jest grafikiem i fotografem. W Pangei, oprócz reklam na Facebooku, robi kawę. – Wszyscy tu jesteśmy wielofunkcyjni! – śmieje się.

Niedawno Pangea rozszerzyła działalność. Spółdzielnia wygrała kon-

kurs na obsługę kawiarni w jednym z budynków uniwersyteckich, Virila, również w centrum miasta. Kilka lat wcześniej Hector pracował już w Virli, ale z szefem. Teraz pracuje tam w ramach Pangei, ma więc odpowiednie doświadczenie, by dokonać porównań. – Przede wszystkim – zaznacza – zwiększyliśmy efektywność. Obecnie pracuje się mniej i zarabia więcej.

Dziś Hector przychodzi na popołudniową zmianę i zostaje na cztery godziny. Resztę etatu odrabia w domu przy grafikach i promocji. U szefa przesiadywał w pracy całe dnie, czasem od siódmej rano do północy. Szefa nie interesowało, że np. w godzinach obiadu czy sjeisty do kawiarni nie chodzi nikt – pracownik ma wyrobić godziny i koniec. – To było jak więzienie – wspomina Hector. – Wiesz, że jesteśmy na tyłach budynku, tutaj światło nie dociera, więc siedziałeś tak godzinami, nie wiedziałeś, czy pada, czy świeci słońce, czy to noc, czy poranek.

Za nadgodziny szef płacił, ale tylko częściowo. Składek społecznych

nie opłacał wcale, a Hector z żoną właśnie spodziewali się dziecka, więc łatwy dostęp do publicznej służby zdrowia był dla nich kluczowy. Ponadto pracowników zmuszano do używania przeterminowanych produktów.

– Jak chleb ma kroleczki pleśni, to po prostu podpiecz go dłużej w tosterze i gotowe. Jeśli szynka nieświeża, podsmaż solidnie i nikt nie zauważy – Hector przedrzeźnia byłego szefa i kręci głową z politowaniem. – A jeśli ktoś zauważy, to komu się obrywa? Oczywiście pracownikowi. I od klienta, i od szefa. Szef powie klientowi: „Pan wybaczy, takiego mamy beznaście pracownika, chłopak nie wie, co się w kuchni dzieje. Wyciągniemy konsekwencje”. Do tego ta atmosfera pracy – dzień w dzień pod silną presją. Na dłuższą metę nie do wytrzymania.

Bez instrukcji

Pangea kończy w tym roku 13 lat. Alejandro – muzyk i rysownik – to jeden z siedmiu członków założycieli. – Byliśmy grupą studentów nauk humanistycznych bez żadnego doświadczenia zawodowego, którzy z dnia na dzień postanowili założyć biznes. Nie umieliśmy nawet gotować! – śmieje się.

W Tucumán mieszkały wówczas trzy dziewczyny z Barcelony, które przyjechały na wymianę studencką. Dysponowały pewnymi oszczędnościami i to dzięki nim udało się wyposażyć lokal: odmalować ściany, kupić meble, kuchnię, lodówki. Studenci argentyńscy zajęli się częścią prawną: pozwoleniem na funkcjonowanie i rejestracją spółdzielni.

– Tak naprawdę chodziło nam nie o spółdzielnię – prostuje Hector – ale o kolektyw. To była zresztą cała odrębna dyskusja: czy jako anarchiści w ogóle powinniśmy wchodzić w stosunki z instytucjami państwa. Ale ostatecznie, żeby móc funkcjonować legalnie, musieliśmy jakoś się zarejestrować i forma prawna spółdzielni była najbliższa naszym ideałom.

– Każdy miał swoje kryterium odnośnie do tego, jak gotować, jak sprzątać – opowiada Alejandro – i każdy uważał, że jego kryterium jest słuszne. Po prostu chaos. Ale z czasem zaczęliśmy się organizować.

Decyzje w Pangei podejmuje walne zgromadzenie. Dodatkowo istnieje

ją komisje tematyczne, dotyczące np. finansów czy kultury. – Organizowaliśmy wieczory poetyckie, koncerty – wylicza Hector. – Artystom udostępniano się miejsce i sprzęt całkowicie za darmo. To była chyba jedyna scena alternatywna w centrum Tucumánu.

Była, bo kilka miesięcy temu władze miasta wycofały Pangei pozwolenie na organizowanie imprez masowych. Oficjalnie chodziło o zakłócanie ciszy nocnej. W rzeczywistości, jak zapewnia Hector, o politykę: – Sąsiadom nie podobało się, że w czasie manifestacji za legalizacją aborcji

jak Alejandro – potwierdza Hector – który odszedł kilka lat temu.

Więcej nawet, żaden z członków założycieli nie pracuje już w Pangei i nie należy do spółdzielni.

Alejandro: – Na zebraniach było bardzo dużo dyskusji politycznych i to strasznie męczyło, bo mnie to w ogóle nie interesuje. Często nie rozumiałem, o co chodzi, tam było dużo teorii, dużo filozofii. I te dyskusje wypalały energię całej ekipy, a jednocześnie w sprawach praktycznych nie posuwaliśmy się zbyt daleko. A koniec końców – czy ci się to podoba, czy nie – biznes opiera się na pienią-

Mimo inflacji i rosnącego bezrobocia 11 spółdzielców nadal serwuje poranne kawy, południowe obiady i nocne wina.



Hector: Wielokrotnie odkładaliśmy kwestię zysków na bok, żeby brać udział w wydarzeniach politycznych.

Pangea funkcjonowała jako swego rodzaju kwatera główna aktywistów, m.in. naszych pracowników.

Kuchenka, lodówki, ekspresy do kawy i pozostałe sprzęty restauracyjne należą do spółdzielni. Członkiem spółdzielni staje się każdy, kto w niej pracuje, nie ma żadnej kwoty wstępnej, wkładem własnym każdego członka jest jego praca. Kto odchodzi, opuszcza również spółdzielnię. – Tak

dział, właśnie na tych sprawach praktycznych.

Hector: – Wielokrotnie odkładaliśmy kwestię zysków na bok, żeby brać udział w wydarzeniach politycznych. Na przykład gdy zaginął Santiago Maldonado – jak wszyscy wierzymy, uprowadzony przez siły bezpieczeństwa – natychmiast zaangażowaliśmy się w protesty. Oprócz udziału w manifestacjach codziennie w lokalu przypominaliśmy klientom o sprawie.

Oveja: – Dlatego władze miejskie, gmina, instytucje państwa zawsze szukają na nas haka. W żadnym lokalu nie zobaczysz tyle kontroli, ile bywa u nas! Dlaczego? Bo wiedzą, że nie dość, że jesteśmy spółdzielnią – a już to samo w sobie nie jest mile widziane w tradycjonalistycznym, prawniczym Tucumán – to jeszcze mamy dobrze zdefiniowany profil polityczny, krytyczny wobec głównego nurtu.

Hector: – Podobnie było w przypadku kampanii na rzecz rozdania państwa i Kościoła, protestów przeciw podwyżkom cen wody i prądu czy przeciw projektowi ustawy poszerzającej prawo policjantów do użycia ostrej amunicji.

Alejandro: – Dawniej chodziłem nawet na marsze i protesty, ale w pewnym momencie czujesz, że to nie ma sensu, do niczego nie prowadzi. Dzisiaj już nie chcę wiedzieć nic o polityce, o manifestacjach.

Do tego stopnia, że któregoś razu Alejandro wspólnie z innym spółdziel-

► cą, którego nie interesowały dyskusje ideologiczne, zaproponowali, by na zebraniach nie mówić więcej o polityce. – I wygraliśmy! – śmieje się. – Rozporządzenie przetrwało może dwa tygodnie – macha ręką i uśmiecha się z rozrzewnieniem. – Ale to były dobre czasy – dodaje po chwili. – Praca była przyjemna, bo pracowało się z grupą przyjaciół i ta grupa cię wspierała. Gdy miałeś problemy finansowe, byłeś w trudnej sytuacji, znajdowały się dla ciebie jakieś dodatkowe pieniądze.

Gdy pytam Alejandra, dlaczego odszedł z Pangei, odpowiada bez namysłu: odszedł, bo się zmęczył. Do ośmiu godzin w kuchni czy za barem dochodziły zebrania, sprawy do zała-

A spółdzielnia? Spółdzielnia nie ma nawet dobrej prasy.

Praca u podstaw

Hector pracuje w Pangei od dwóch lat, ale zna lokal od dawna. – Jak trafiłem do Pangei? Byłem jej pierwszym klientem – śmieje się – zjadłem pierwszy obiad, jaki tu ugotowano!

Ludzie ze świata artystycznego i lewicującego w Tucumán po prostu się znają i Hector nie jest wyjątkiem. O Pangei „się wiedziało”, pracowali w niej znajomi i kiedy Hector stracił zatrudnienie, znalazło się dla niego miejsce. – To był pierwszy rok kryzysu i wyrzucono mnie z pierwszą falą zwolnień – opowiada. – Przede-

w ostatnich trzech latach z 20% do 25%. Jednocześnie konsumpcja wołowiny – co dla samych Argentyńczyków, tradycyjnych mięsożerców, jest wskaźnikiem dużo istotniejszym – spadła do najniższych poziomów w historii, poniżej 50 kg rocznie na osobę, podczas gdy ledwie 30 lat wcześniej było to 80 kg.

W sklepach kupuje się tylko to, co absolutnie niezbędne, handel stoi. Wystarczy przejść się po centrum dowolnego miasta w Argentynie, by co przecząc zobaczyć dwie, trzy tabliczki z napisem „do wynajęcia” na świeżo pozamykanych lokalach. – Ci z przeciwka zamknęli kilka tygodni temu – mówi Hector. – To był duży lokal z kanapkami, kawą i napojami; 10 pracowników poszło na bruk. Obuwniczy na rogu zamknęli w zeszłym roku, a działali tam, odkąd pamiętam.

Zarobki w Pangei spadły. W spółdzielni nie ma stałych płac – od przychodów odejmuje się koszty i resztę rozdziela między członków. Ta reszta może być wyższa lub niższa, w zależności od tego, jak idzie sprzedaż. Oveja mówi, że gdyby Pangea należała do jednej osoby, szef dawno by ją zamknął. I rzeczywiście, zyski nie starczyłyby mu na opłacenie ustawowej płacy minimalnej wszystkim pracownikom. Formuła spółdzielni pozwala lokalowi na przetrwanie.

Zaledwie 18 lat wcześniej, w 2001 r., poprzedni kryzys argentyński spowodował wysyp spółdzielni i kolektywów. – Pracownicy zwolnieni z zakładów organizowali się w podmiejskich dzielnicach, by produkować cokolwiek: pizze, chleby, ciastka, i jakoś wspólnie przetrwać kryzys – opowiada Belén, członkini spółdzielni Pangea i – jak zaznacza – zdeklarowana trockistka.

W spółdzielni znaleźli sposób na przetrwanie w czasach kryzysu.

twienia w urzędach, papiery, do tego organizacja wydarzeń, targów, a to wszystko zabierało czas. – Było nas dużo, a jednocześnie zawsze wszyscy byliśmy zmęczeni – wspomina. – Po latach robię sobie taki bilans: ile czasu rzeczywiście zabierała mi praca, co mnie tak naprawdę męczyło. Może chodziło o to, że nie istniała funkcja kontrolna. Nie powiesz koledze, że przesolił makaron, bo ten sam kolega po pracy wpada do ciebie napić się *yerba mate*.

Pangea to nie tylko praca, to cały świat, co zresztą oznacza sama nazwa – superkontynent sprzed milionów lat, Wszechziemia po grecku. Przyjaciele z Pangei wspólnie pracowali, ale i wspólnie jeździli na wakacje, chodzili na imprezy i koncerty, odwiedzali się w domach, grali w piłkę. Alejandro dobrze pamięta pierwszy dzień po odejściu ze spółdzielni – nie wiedział za bardzo, co ze sobą zrobić. Nagle zdał sobie sprawę, że poza Pangeą istnieje inny świat.

– A może chodziło o brak umiejętności organizacyjnych, jakichś jasnych wytycznych, jak to wszystko powinno wyglądać – mówi. – Nie mieliśmy instrukcji „Jak założyć spółdzielczą restaurację”. To wszystko powstawało i powstaje na żywo, metodą prób i błędów.

– Wielkie przedsiębiorstwa dysponują subsydiami z rządowych megaprojektów – dodaje Hector. – Jeśli chcesz założyć firmę, masz programy pomocowe i materiały edukacyjne.

wszystkim dlatego, że byłem niewygodnym pracownikiem: kłóciłem się z szefem w Virli o tę starą szynkę i zapieśniały chleb!

Ale Pangei w tamtym czasie szło jeszcze bardzo dobrze: kolektyw poszerzał działalność i potrzebowała nowych rąk do pracy. – Niedługo potem mój dawny szef wycofał się z Virli i właśnie wtedy Pangea wygrała konkurs na prowadzenie kawiarni – ciągnie Hector. – Nie tylko wygraliśmy, ale i uratowaliśmy miejsca pracy. Zaproponowaliśmy dziewczynom zwolnionym przez szefa, żeby wstąpiły do spółdzielni.

Po dwóch kadencjach centrolewicowych rządów Cristiny Fernández de Kirchner, w grudniu 2015 r., prezydentem Argentyny został Mauricio Macri, bardziej biznesmen i działacz sportowy niż polityk, syn Franca Macriego, założyciela imperium biznesowego

Pod murem z Che Guevarą stoi lodówka pełna coca-coli.

Grupo Macri. Zamiast zapowiadanej rozsądnej polityki fiskalnej Argentyńczycy dostali galopującą inflację. W niecałe cztery lata ceny żywności – mięsa, mąki, oleju czy cukru – wzrosły trzy-, a nawet czterokrotnie. Dolar, za którego na początku 2016 r. płacono się 13 pesos argentyńskich, dziś dobił do 45 pesos.

Według badań Uniwersytetu Katolickiego w Argentynie, liczba rodzin żyjących w ubóstwie wzrosła

Także pod koniec 2001 r. zamknięcie ogłosiła fabryka płytek ceramicznych Zanon w Neuquén na południu Argentyny. Kilkuset pracowników przejęło zakład po niełatwych latach walk i protestów, wspieranych przez gwiazdy muzyki, takie jak amerykański zespół Rage Against the Machine, francuski piosenkarz Manu Chao czy Argentynka Teresa Parodi. Płytki ceramiczne z Neuquén powstają do dziś, ale teraz pod marką FaSinPat,

skrót od *Fabrica Sin Patrones*, Fabryka Bez Szefów.

Pangea rozpoczęła działalność nieco później, bo w 2006 r., ale nie bez związku z kryzysem z roku 2001. – Idea pracy kolektywnej pojawiła się zupełnie naturalnie – wspomina Alejandro. – Znajomi pracowali wcześniej w spółdzielniach na przedmieściach, niektórzy pomagali w stołówkach dla dzieciaków z ubogich rodzin, udzielali się – jak to się mówi – w pracy u podstaw.

Taka też była pierwotna idea Pangei: sprzedawać w centrum miasta produkty kolektywów pracujących na obrzeżach. Była, dopóki te kolektywy

kosmetyków naturalnych, a nawet rzeźnia i piekarnia. – Nie da się ukryć, że w świecie spółdzielczym jesteśmy punktem odniesienia – mówi Hector – jako właściwie jedyna spółdzielnia, która działa w samym centrum miasta, a także jedna z najstarszych, które obecnie istnieją. Dlatego od czasu do czasu przychodzą ludzie z pytaniami: jak się organizować, jak to działa, gdzie się rejestruje spółdzielnie. I my staramy się im pomagać, jak możemy.

Zdarza się, że kolektywy, które nie są formalnie zarejestrowane jako spółdzielnie, potrzebują wziąć kredyt

zakątkiem pracowników uniwersyteckich, studentów kierunków humanistycznych i wszelkiej maści aktywistów.

– Dla mnie najciekawszym doświadczeniem była praca z ludźmi, którzy myśleli inaczej niż ja. To pozwoliło mi popatrzeć na świat z innej perspektywy – podsumowuje Alejandro. – I cieszę się, że Pangea trwa i że zmieniają się ludzie. Jedni odchodzą, przychodzą drudzy – uczą się pracy w zespole, poznają nowe idee polityczne, nowe punkty widzenia i idą w świat z głową pełną świeżych myśli.

Pracować razem i nie pozwolić, by osoba trzecia czerpała z tej pracy korzyści – wydaje się to dość prostym pomysłem, a jednak nie jest on zbyt rozpowszechniony.

– Pierwszy problem to kwestia finansowa – stwierdza Hector. – Większość ludzi nie dysponuje środkami, które pozwoliłyby założyć nowy biznes z dnia na dzień. Duże przedsiębiorstwa nie mają tej trudności, a jeśli im brakuje pieniędzy, zawsze mogą wziąć kredyt, w przeciwieństwie do grupy facetów, którzy właśnie stracili pracę i chcą np. założyć spółdzielczą restaurację. Drugi to mentalność – Hector kontynuuje, przygotowując kawę pierwszym klientom wieczornej zmiany w Virli. – Rodzimy się niewolnikami: od dziecka wmawiają ci, że musisz się dobrze sprzedać na rynku pracy. Czyli musisz dać się dobrze wykorzystać, ewentualnie założyć własną firmę i wykorzystywać innych. Rząd, media, szkoła, wszyscy propagują tego typu idee. A może mi powiesz, że ciebie ktoś namawiał do założenia spółdzielni?

Hector bierze filiżankę z gorącym espresso, wymija spokojnym krokiem długi stół barowy i podchodzi do zajętego stolika.

– Ale tak, masz rację – podejmuje temat jeszcze z oddali – idea jest w zasadzie prosta, do tego stara jak świat: od kiedy w historii pojawił się pierwszy szef, ludzie marzą, by szefowie przestali istnieć! – śmieje się. – Nie może być dłużej tak, że na całym świecie grupka osób trzyma tępą na ogromnej większości dóbr. Wszyscy chcemy z tym skończyć i Pangea jest przykładem, że to możliwe.

Wojciech Ganczarek



Wystrój restauracji koresponduje z poglądami spółdzielców.

nie zakończyły działalności. Dziś pod murem z Che Guevarą stoi lodówka pełna coca-coli.

– Zorganizowaliśmy się jako spółdzielnia, wybraliśmy świadomie nasz model pracy – wyjaśnia Belén – ale nie jesteśmy samotną wyspą: działamy w ramach rynku i musimy brać pod uwagę preferencje klientów. Innymi słowy, jeśli przyjdzie klient i nie znajdzie u nas coca-coli, wyjdzie z lokalu i kupi ją w barze obok.

– Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli całą naszą produkcję opierać na surowcach pochodzących z sieci uczciwego handlu – dodaje Hector – ale na razie taka sieć nie istnieje.

Wszystko jest możliwe

Są zaczątki: spółdzielcze kuźnie, drukarnie i wydawnictwa, produkcja

na zakup sprzętu czy rozszerzenie działalności. Wówczas Pangea bierze ten kredyt na siebie, a spłaca go zainteresowany kolektyw.

– Przychodzą do nas bezdomni i zawsze, gdy możemy, częstujemy ich posiłkiem – opowiada Hector. – W innych lokalach szefowie może się nie spodobać, że ktoś brudny usiądzie przy stoliku. Albo że w ogóle rozdaje się żywność. Jeden z naszych pracowników opowiada, że w restauracji, gdzie pracował wcześniej, szef wolał wyrzucać niesprzedane jedzenie, niż dawać je choćby samym pracownikom.

To również temu ludzkiemu podejściu Pangea zawdzięcza grupę oddanych klientów. Poza tym jest nie tylko restauracją, ale i centrum kultury, dyskusji i spotkań; zatoką tucumańskiej bohemy, ulubionym

Maciej Polkowski

Po zielonej trawie piłka goni – my to wygrywamy, a nie oni. Tak nasi reprezentacyjni piłkarze mogą zaśpiewać, mocno parafrazując znany tekst Ludwika Jerzego Kerna. Dwa kolejne zwycięstwa: efektowne 4:0 z Izraelem na Stadionie Narodowym w Warszawie 10 czerwca i wcześniej, 7 czerwca, wymęczone 1:0 z Macedonią Północną w Skopju. Po czterech potyczkach kwalifikacyjnych bilans imponujący: 12 punktów, 8 strzelonych bramek, żadnej straconej. Drzwi do finałów Euro 2020 otwarte na oścież. Można na luzie oddalić się na zasłużone wakacje.

Tworzenie drużyny to nie koncert życzeń

Selekcjoner Jerzy Brzęczek na gorąco komentował i przestrzegał: – Jeśli powiemy, że awansowaliśmy, a potem nie awansujemy, to będziecie pisać, że jesteśmy największymi frajerami. Proszę podać mi drużynę, która z 12 punktami awansowała na mistrzostwa. Szanujmy inne zespoły. Mecz z Izraelem potwierdził, że jest duży potencjał, dużo jakości, a nasza praca ma sens. Trzeba też przechodzić trudne chwile, mecze różnie się układają. Grałem w piłkę, też o mnie różnie pisano. My wiemy, co robimy, tworzenie drużyny to nie jest koncert życzeń.

Tym stwierdzeniem szef kadry wrzucił kamyczek do ogródka niektórych dziennikarzy etatowo odgrywających rolę wujków dobra rada. Jeden z nich (nazwisko przemilczę) uporczywie lansował tezę, że z gry Lewandowskiego z Piątkiem nie wyniknie nic dobrego. Przekonaliśmy się naocznie, jak to wszystko wyglądało i co się działo.

Po meczu z Izraelem nasuwa się dawno spowszedniałe określenie: było na co popatrzeć. W 35. minucie bramkarza rywala pokonał nie kto inny jak niezawodny Krzysztof Piątek. Tym razem, z wiadomych względów, nie zobaczyliśmy w jego wykonaniu tradycyjnej cieszynki. W 56. minucie doszło do typowej sytuacji, w której przydałby się system VAR (*video assistant referee*). Brak tego urządzenia sprawił, że arbiter Tobias Stieler nie wahał się, czy przyznać Polakom jedenastkę. Wykonał ją pewnie Lewandowski

Spokojne wakacje futbolowej kadry

Drzwi do finałów Euro 2020 otwarte na oścież



Kamil Grosicki strzelił w meczu z Izraelem najefektowniejszą bramkę. Robert Lewandowski bezbłędnie wykorzystał rzut karny.

– był to jego 21. gol w 12 kolejnych meczach reprezentacji na Stadionie Narodowym. Kapitan jest jeden i król jest jeden! Lewandowski w Warszawie strzela zawsze. Nie prawie, ale zawsze. Bez wątpienia najefektowniejsza była bramka trzecia – zdobyta przez Kamila

Grosickiego. Piłka trafiła do niego po przerzucie Piotra Zielińskiego z prawej na lewą stronę. Podanie odnotowane w trenerskim notesie w rubryce: stadiony świata. – Chciałbym zadedykować tego gola mojemu przyjacielowi Pawłowi Dąbrowskiemu, który miał

ciężki wypadek. Amputowali mu nogę. Paweł, to dla ciebie! – powiedział Grosik. Czwarte, a swoje debiutanckie trafienie zapisał w 84. minucie Damian Kądzior. Gracz Dinama Zagrzeb cieszył się jak dziecko.

Znany dziennikarz Andrzej Lewandowski poniedziałkowy występ biało-czerwonych spuentował: „4:0 to więcej niż trzy punkty! Sportowa złość czasem przydaje klasy... A klasa niesie radość. Byłe nie zakłaskać i nie zagłaskać. Gra toczy się dalej! Było nieźle, ma być lepiej!”. Podobają mi się także dosadne stwierdzenie jednego z internautów: „Po meczu z Macedonią naszych chyba ambicja ugryzła, bo nikt się nie opieprzał”.

Konfrontacja z Izraelem była całkiem przyzwoitą, a momentami emocjonującym widowiskiem także z tego powodu, że nie byliśmy w stanie wymazać z podświadomości obrazu piątkowego koszmaru ze stadionu im. Toše Proeskiego.

Dobrze, że to był Piątek

Napastnik Milanu przystąpił do pełnienia reprezentacyjnych powinności od 46. minuty spotkania z Macedończykami. Jego pierwszy kontakt z piłką zaowocował golem, który – jak się okazało – wzbogacił narodowy *team* o kolejne trzy punkty. Znowu potwierdziło się, że futbolówka szuka Piątka! Trzeba przyznać, że strzelił bramkę w dość osobliwych okolicznościach. Otóż Ezgan Alioski próbował wybić piłkę, ale ta dotarła do Piątka, który przewrotną wstrzelił ją w stronę bramki. Lewandowski próbował dosięgnąć futbolówkę, lecz nawet nie zmienił toru jej lotu, a ta wturlała się do bramki, niezależnie od zamiaru „dopchnięcia” przez Kamila Glikę. Można powiedzieć: jakby ściągnięta do siatki niewidzialnym magnesem. Nic dziwnego, że Lewandowski ocenił krótko i celnie: – Jaki mecz, taka bramka.

Szef sportu Wirtualnej Polski Michał Kołodziejczyk napisał: „Nawet zwycięstwa reprezentacji dzielą Polaków. Ci od punktów każą milczeć tym od stylu. Ktoś, kto chce się rozwijać, musi jednak sam od siebie wymagać więcej. To, że na reprezentację Polski po zwycięstwie z Macedonią Północną spada tak wielka krytyka, jakby przegrała, to wina samych piłkarzy. I wcale nie zawinił tym, że słabo zagrali akurat w Skopju. Są winni gry

na najwyższym poziomie w Bayernie, Milanie, Napoli czy Monaco, są winni tego, że pokazali, że Polak potrafi, są winni, bo pokonali Niemców, dotarli do ćwierćfinału Euro i przekonali wszystkich, że wyszli już z drewnianych chatek. Polski piłkarz rozbudził apetyty na sukces, ale rozbudził przede wszystkim wyobraźnię. Oczekujemy od naszej kadry, żeby grała pięknie, nie dlatego, że mamy zadarte nosy, ale dlatego, że wiemy, że ją na to stać. Gdybym był piłkarzem reprezentacji Polski, czułbym się obrażony, gdyby ktoś chwalił mnie za punkty po bardzo słabej grze w meczu z Macedonią Północną”.

Bardziej bezpardonowy w ocenie okazał się Paweł Kapusta: „Jeśli futbol z założenia ma być rozrywką, to w piątek doświadczaliśmy rozrywki średniowiecznej – łamania kołem. Chciałoby się napisać cokolwiek pozytywnego o grze biało-czerwonych w Skopju, ale po prostu się nie da. Dobry jest tylko wynik. Piłkarze reprezentacji Polski po ostatnim gwizdaku wyjdą pewnie przed kamery i powiedzą, że w eliminacjach styl nie ma totalnie żadnego znaczenia. Że kluczem są punkty, dające ostatecznie prawo gry w turnieju. I wiele w tym racji, choć kiedy, jeśli nie w starciu z rywalem pokroju Macedonii Północnej, kibice polskiej kadry mogą oczekiwać od drużyny złożonej z takich zawodników jak Robert Lewandowski czy Piotr Zieliński panowania nad boiskowymi wydarzeniami?”

Trzeba powiedzieć przede wszystkim dwie rzeczy: po pierwsze – zespół Brzeczka nie ma stylu. Sprawia wrażenie zlepką zawodników, którzy nie do

końca wiedzą, co i jak chcą grać. Na dodatek zdarzają im się bardzo długie chwile przestoju, bezbarwności, z której nie wiedzą, jak się wydostać. W piątek mieliśmy furę szczęścia, gola strzeliliśmy w takich okolicznościach, że powtórki mają być ponoć pokazywane w Comedy Central. No i oczywiście po stałym fragmencie gry. I znowu koło ratunkowe musiał rzucić Krzysztof Piątek. Po drugie – aż trudno pojąć, jak to możliwe, że grając tak nieatrakcyjny futbol, idziemy na razie przez te eliminacje suchą stopą”.

Atrakcyjna oferta Piotra Zielińskiego

„Zeszła presja, zeszło ciśnienie, zaczęło się strzelanie. I oby się nie skończyło. Niech to będzie mecz na przełamanie, którego tak tęsknie oczekiwał trener Brzeczka”, napisał na Twitterze Adam Godlewski. Sytuacja w Grupie G cieszy, ale naprawdę przestrzegalbym przed nadmiernym optymizmem. A już z pewnością nie podzielam opinii niektórych młodych dziennikarzy o narodzinach nowej reprezentacji. Do tego jeszcze daleko. Z piątkowego blamażu w Skopju trzeba wyciągnąć wniosek, żeby nie doszło w bliższej lub dalszej przyszłości do powtórki z rozrywki. Trudno bowiem pogodzić się z faktem, że reprezentacyjna jedenastka w całym spotkaniu zalicza jedno jedyne trafienie – na szczęście dające trzy punkty. W czechach urodzeni to mało powiedziane.

I jeszcze zastanawiająca statystyka posiadania piłki. W piątkowej konfrontacji od biedy zrozumiała przewaga gospodarzy 51:49, ale w poniedziałek 52:48 na korzyść rywali. Nie powinno się dopuszczać do takiej sytuacji. Co prawda, w Skopju zagraliśmy po raz kolejny na zero z tyłu, ale też z zerowym pomysłem na sposób atakowania. W Warszawie, po utracie drugiej bramki z problematycznego karnego, przeciwnicy zdali sobie sprawę, że jest już poza miatane. Nasi hulali na całego, bo jak powiedział Lewandowski: – Nie szukaliśmy kwadratowych jaj. Wróciliśmy do podstaw.

A Piotr Zieliński dodał: – Chcielibyście, żebyśmy grali lepiej. Mamy jeszcze dużo do zaoferowania.

Takiej atrakcyjnej oferty nie odrzucamy. No to, Piotrze, do 6 września, czekamy...

GRUPA G następne mecze Polaków w eliminacjach Euro 2020

Słowenia-Polska
6 września, godz. 20.45
Polska-Austria
9 września, godz. 20.45
Łotwa-Polska
10 października, godz. 20.45
Polska-Macedonia Północna
13 października, godz. 20.45
Izrael-Polska
16 listopada, godz. 20.45
Polska-Słowenia
19 listopada, godz. 20.45

Dr Michael Barczok

– 65, 66, 67, a potem wreszcie: chrrrrrrrrrrr. U mojego męża coś takiego występuje co kilka minut, czasami muszę odliczyć do 100, nim znów nabierze powietrza.

Tak brzmi typowa relacja dotkniętej przez los małżonki podczas konsultacji u lekarza specjalisty od bezdechu sennego. Nieliczni lekarze rodzinni, niemal wszyscy pneumologowie, ale też laryngolodzy i neurologowie są zarazem specjalistami od zaburzeń snu i mogą z reguły przeprowadzić tzw. poligrafię, czyli badanie wielu parametrów za pomocą urządzenia rejestrującego. Oprócz tego w miastach działają laboratoria badań snu, które są w stanie jeszcze dokładniej rozpoznać zaburzenia oddychania podczas snu i dostarczyć dane konieczne do wdrożenia terapii. Ale po kolei.



Kiedy nocą przestajemy oddychać

Nieleczony bezdech senny grozi udarem lub zawałem serca

Pneumologowie są często specjalistami od zaburzeń snu, ponieważ płuca w końcu także nocą odpowiadają za oddychanie. Poranna wizyta w laboratorium snu należy do moich ulubionych dla tych magicznych momentów, gdy pacjent budzi się po kilku godzinach spokojnego snu. Znaczna część tej magii jest w gruncie rzeczy banalna – to powietrze. Za pomocą powietrza można łatwo wyeliminować niebezpieczne przerwy w oddychaniu, znów zjednoczyć w łóżku pary małżeńskie, wykończonym, śniętym ludziom dostarczyć solidną, nową porcję energii. Pacjenci, którzy przez całą noc nie musieli bronić się przed uduszeniem, budzą się rano jak nowo narodzeni.

Czy partner/partnerka chrapie spokojnie i regularnie? W takim razie wprowadzić nie może się pani/pan wypaść, ale przynajmniej nie musicie się martwić, że to chrapanie mogłoby być niebezpieczne. Obciążające jest ono bowiem przede wszystkim dla tego, kto przez całą noc nie może zmruczyć oka.

Dla chrapiącego niebezpieczne są przerwy w oddychaniu. Często pierwszy niepokojący symptom polega na

tym, że chrapanie następuje z różnym natężeniem dźwięku. To swego rodzaju zwiastun, że sen może być przerywany przez przerwy w oddychaniu. Dotknięta tą przypadłością osoba budzi się rano i jest tak samo zmęczona i rozbita jak przed pójściem spać. (...)

Kto albo co sprawia, że dochodzi do niebezpiecznych przerw w oddychaniu? Spora część problemu tkwi w języku. Nasz język nie jest bowiem już taki, jaki był kiedyś. W toku ewolucji urosł i nabrał elastyczności (...). Dopóki chodzimy, stoimy lub siedzimy, nie ma problemu. Podczas leżenia, przede wszystkim na plecach, i gdy podczas głębokiego snu spada napięcie mięśni i otwierają się usta, język powoli przesuwa się do tyłu. Wszystko to następuje tym łatwiej, że język przyrasta tylko nasadą do kości gnykowej, bezpośrednio nad krtań, i tym samym w najgłębszym punkcie gardła. Sporo ludzi chrapie także, leżąc na boku, ewentualnie borykają się z przerwami w oddychaniu, najczęściej jednak objawy w tej pozycji nie są tak bardzo dokuczliwe. Kiedy jednak leżymy na plecach, język w zasadzie nie ma innego wyjścia, jak opadać, i to może potem

prowadzić do poważnych niedoborów w dostawach powietrza.

W czasie snu język stopniowo obraca się wokół punktu do tyłu w dół i dotyka tylnej ściany gardła. Następnie śpiący zaczyna chrapać, ciszej lub głośniejsze. Kiedy język całkiem zatka gardło, może dojść do całkowitego zatrzymania oddychania. Im mocniej śpiący wciąga powietrze, tym mocniej język tarasuje gardło. Właż jest zamknięty, grodzie szczelne i wszystko wiedzie ku zgubie.

Siny we śnie

Śpiący wciąga powietrze i wciąga, ale nic się nie dzieje. Powoli sinieje, a ja podziwiam moje współpracownice w laboratorium snu, które spokojnie się temu przyglądają, bo zapewne wiedzą, że nic złego się nie wydarzy. (...) U niektórych pacjentów przerwy trwają do 90 sekund albo nawet dłużej i zdarza się, że oddychanie zatrzymuje się od 200 do 300 razy na noc. Wtedy naprawdę nie ma żartów. (...)

Wróćmy do konsekwencji bezdechu sennego. Cierpi na tym zaopatrzenie w tlen. Im dłużej trwają przerwy

w oddychaniu, tym bardziej dotkliwy jest deficyt w dostawach tlenu, co jest naturalnie problemem dla wszystkich komórek w ciele. W końcu nie jest przygotowane do tego, by radzić sobie z dłuższymi brakami tlenu – nawet 60 czy 90 sekund bez oddychania może zaszkodzić wrażliwym na brak tlenu narządom, takim jak mózg i serce.

Uspokajam jednak: chrapiąc, nie zadusimy się własnym językiem. Z reguły jest to niemożliwe – dopóki mówimy o spaniu! Mamy bowiem w mózgu centrum alarmowe, które uważnie monitoruje wszystkie procesy życiowe i interweniuje, gdy rzeczywiście dochodzi do groźnych sytuacji. Kiedy zatem grozi nam uduszenie we śnie, wtedy zostajemy obudzeni, by znów zaopatrzyć swoje ciało w tlen. (...)

Jak to się dzieje, że nasze własne, wewnętrzne centrum ratunkowe, kiedy dojdzie do zatrzymania oddychania, przerywa zasysanie języka? Ewolucja znalazła bardzo efektywny sposób. Nasze centrum ratunkowe wydaje polecenie, by kora nadnercza wydzieliła adrenalinę. Adrenalina jest naszym hormonem strachu, walki oraz ucieczki i działa rzeczywiście niewiarygodnie szybko oraz efektywnie. (...) Dla osoby z bezdechem sennym wyrzut adrenaliny jest ratunkiem.

Ten „automatyczny” proces ratunkowy wykorzystujący adrenalinę ma jednak skutki uboczne. Wywołuje problemy, i to dokuczliwe, nie tylko dla osoby śpiącej w tym samym łóżku, jest bowiem powiązany z narastaniem częstości skurczów serca i ciśnienia krwi, a po drugie, akurat ciśnienie krwi może potem zostać podwyższone na stałe. Dlatego pacjenci z wysokim ciśnieniem powinni wyjaśnić kwestię, czy bezdech senny odgrywa w tym wspomagającą bądź wręcz sprawczą rolę. (...) Skutkiem nieleczzonego bezdechu sennego bywa wystąpienie udaru lub zawału serca.

O ile sporadyczny bezdech senny nie jest niebezpieczny, o tyle długoterminowe konsekwencje bywają poważne, kiedy się go nie leczy. (...)

10 kg, migdałki i aparaty przeciwko chrapaniu

Co waga ciała ma wspólnego z bezdechem sennym? Cóż, ciało ma swoje miejsca, w których chętnie odkłada zapasy tłuszczu. Rezerwy tłuszczu, które w mniejszym lub większym stopniu się wypełniają, lokują się np. w udach, pośladkach i brzuchu. Czasami również w szyi.

Tak bowiem niefortunnie się składa, że także w okolicach gardła występuje warstwa tkanki tłuszczowej i kiedy wypełnia się tłuszczem, doprowadza to w nocy do zwężenia szczeliny między gardłem a językiem. Przez co zasysanie języka jest dodatkowo ułatwione. (...)

Dla chrapiącego niebezpieczne są przerwy w oddychaniu.

Przynajmniej połowa pacjentów z wymagającym leczenia bezdechem sennym mogłaby zostać całkiem wyleczona, gdyby porządnie schudła, przy czym „porządnie” oznacza 10 lub 20 kg.

Zwłaszcza w przypadku pacjentów, którzy dawniej byli szczuplejsi i nie chrapali, a problemów z chrapaniem nabawili się wraz ze wzrostem wagi, istnieje uzasadniona nadzieja, że w ten sposób uda się coś osiągnąć. Są jednak i tacy, u których ze względu na czynniki genetyczne chrapanie i ewentualne problemy z bezdechem sennym rozwinęły się szybko i dotkliwie.

Mogą to być np. ludzie o za małej żuchwie lub stosunkowo dużym języku albo ludzie o dużych migdałkach, które następnie nocą opadają do gardła. Dlatego przed dalszymi

wyjaśnieniami laryngolog powinien zajrzeć im do gardła. Naturalnie pomniejszenie lub usunięcie dużych migdałków jest o wiele prostsze i mniej problematyczne niż borykanie się przez całe życie z urządzeniami zapewniającymi prawidłowe oddychanie nocą. U dzieci powiększone migdałki są najczęstszą przyczyną bezdechu sennego, u dorosłych możliwość taka występuje raczej w tle, ponieważ wielu dorosłych żyje już bez migdałków, a ich gardło jest większe niż u dziecka.

Trzecią możliwością jest wybranie się do chirurga specjalizującego się w chirurgii szczękowo-twarzowej i jamy ustnej lub do wyspecjalizowanego dentysty, w każdym razie wtedy, gdy problemem stanie się tylko chrapanie, a w mniejszym stopniu przerwy w oddychaniu. Czasami wystarcza bowiem przytrzymanie w nocy unieruchomionego języka między dwiema szczękami. Można

to osiągnąć za pomocą specjalnego aparatu (...) przeciwko chrapaniu i bezdechowi, który pacjent wkłada sobie do ust, idąc spać. Dzięki temu aparatowi podczas głębokiego snu usta nie otwierają się, ponieważ aparat w kontrolowany sposób utrzymuje żuchwę w wysuniętej pozycji, a język pozostaje na swoim miejscu, tym samym zapobiega się jego przesuwaniu do tyłu i niebezpieczeństwu wystąpienia przerw w oddychaniu. (...)

Piłka tenisowa w piżamie?

Kolejna możliwość to tzw. terapia ułożeniowa. Co przez to rozumieć?

Jak już zdążyliśmy się zorientować, bezdech senny jest największym problemem w pozycji na wznak, ponieważ język wskutek siły ciężenia po prostu zapada się w tył i blokuje gardło. W leżeniu na boku lub wręcz na brzuchu ryzyko znacznie maleje. Wielu pacjentów odpowiada mi – w takim razie w ogóle nie muszę się martwić, ja zawsze śpię na boku. Możliwe, że zasypia na boku, a nawet budzi się na boku, w międzyczasie jednak śpi w rozmaitych pozycjach, z pewnością również na plecach. Mamy bowiem wbudowany w mózgu kolejny automatyczny program, który nocą zmusza nas do częstych zmian pozycji. Dbą o to, by wszystkie stawy

Zdrowy sen wspomagają

- regularne pory wstawania i kładzenia się spać;
- unikanie napojów zawierających kofeinę sześć godzin przed pójściem spać;
- rezygnacja z alkoholu przed snem (jedno piwo lub dwa kieliszki wina są dopuszczalne);
- wystarczająca dawka ruchu w ciągu dnia, żeby się zmęczyć;
- zadbanie o przyjemny klimat w sypialni;
- rezygnacja z jedzenia wieczorem ciężkostrawnych potraw, obciążających żołądek i mózg.

► i mięśnie były równomiernie zatrudnione i urlopowane, a więc odciążone i w nocy mogły wypocząć. Tak więc każdy z nas prędzej czy później w końcu ląduje we śnie na plecach.

Możemy jednak swojemu ciału niejako przemocą uniemożliwić kręcenie się. Nie chodzi mi w tym przypadku o żadne wiązanie w stylu „Pięćdziesięciu twarzy Greya”, lecz o próbę odzwyczajenia ciała od tego, by chciało leżeć na plecach. Zdecydowanie lepiej pasuje tutaj „Księżniczka na ziarnku grochu”. W tej kwestii już od dziesięcioleci prowadzi się rozmaite eksperymenty, w których wykorzystuje się najróżniejsze pomoce, od piłek tenisowych wszytych w piżamę po impulsy elektryczne. Wszystkiego tego powinno się zaniechać.

Każdy z nas prędzej czy później w końcu ląduje we śnie na plecach.

Wszyte piłki tenisowe przesuwają się lub są o wiele za twarde i uszkadzają mięśnie i stawy. Impulsy elektryczne przerywają i tak problematyczny sen. Być może dzięki temu partner mógłby spać lepiej, sam pacjent cierpi jednak na pewno jeszcze bardziej z powodu rozbitego snu.

Dość dobrze spisują się specjalne kurtki z pogrubioną warstwą materiału na plecach albo mały plecak wypełniony czymś miękkim, np. poduszką, zakładane przed snem. Być może brzmi to nieco komicznie kłaść się do łóżka z plecakiem, ale nocą wszystkie koty są czarne, a naszego partnera, kiedy zaśnie, nie będzie zajmowała kwestia, czy śpiemy z plecakiem, czy bez. Po drugie, doświadczenie podpowiada, że człowiek szybko przyzwyczaja się do tego, że ma coś na plecach. I w efekcie jest to często zarówno proste, jak i efektywne – kiedy ciało obraca się na plecy, wyczuwa nieprzyjemny opór ze strony plecaka i zmienia pozycję. W obu przypadkach nie leżymy na wznak i właśnie o to przecież chodzi.

Trzeba jednak zauważyć, że takiego rozwiązania nie da się stosować przez całe życie, noc w noc. (...)

A dla pozostałych poszukuje się w badaniach innych dróg. Trwają eksperymenty, by poprzez swego rodzaju rozrusznik na dnie jamy ustnej skłaniać język do tego, by cofnął się do jamy ustnej, kiedy tylko wystąpi chrapanie albo przerwy w oddychaniu. Jak na razie, żeby osiągnąć ten

efekt, potrzebna jest stosunkowo rozległa operacja. (...)

Przypadki śmiertelne – skutki mikrodrzemki

Jeśli zasypiamy podczas czytania gazety albo oglądania telewizji, początkowo nie zagraża to naszemu życiu, być może winny jest tylko nudny artykuł lub program. Muszę przyznać, że sam chętnie ucinam sobie drzemkę podczas oglądania telewizji.

Zasypianie w trakcie rozmowy albo konferencji jest już jednak bardziej problematyczne. Bez wątpienia mikrodrzemki są najbardziej niebezpieczne, kiedy siedzimy za kierownicą (o sterach helikoptera czy samolotu nawet nie wspomnę). Można przyjąć,

że około połowy wszystkich zabitych w wypadkach drogowych idzie na konto perfidnych mikrodrzemek. Perfidnych dlatego, że występują bez zapowiedzi, czasami całkiem nagle.

Typowa sytuacja – mężczyzna prowadzi samochód na autostradzie na mniej lub bardziej prostej drodze, być może jest mgliście lub ciemno, mózg odczytuje tę sytuację jako wskazówkę, że akurat niewiele się dzieje, w każdym razie fizyczny wysiłek jest zbędny i dlatego można na kilka sekund zapaść w głęboki sen, by odrobić zaległości z poprzedniej nocy. Oczy zamykają się na moment i po ocknięciu przytapia się na tym, że zбочzył nieco w prawo. To go przeraża, ale naturalnie cieszy się też, że nie doszło do tragedii. Jeśli natomiast szczęście mu nie dopisało, autostrada akurat w tym miejscu wyraźnie skręca albo kierowca przed nim niespodziewanie wcisnął hamulec. Wtedy wystarczy nawet bardzo krótka drzemka i dochodzi do zderzenia.

Nie tylko z perspektywy pneumologa wydaje się zupełnie niezrozumiałe, dlaczego na przykład kierowcy ciężarówek nie są regularnie badani pod kątem możliwości występowania bezdechu sennego. Oczywiście w tym samym stopniu powinno to dotyczyć innych ryzykownych zawodów. Na przykład nie czułbym się dobrze, wiedząc o tym, że pracownicy elektrowni atomowej albo pilot samolotu mogą zapaść nagle w mikrodrzemkę. Mo-

im zdaniem także maszyniści powinni być monitorowani pod tym kątem, przynajmniej ci z nadwagą. Niedawno przeprowadziłem badanie snu u maszynisty, który regularnie przysypiał, kierując pociągiem pośpiesznym! Przynajmniej kolej zadbała o zabezpieczenie na wypadek takich sytuacji. Każdy maszynista musi w krótkich odstępach czasu wciskać przycisk albo posłużyć się dźwignią, by zagwarantować, że nagle nie stracił przytomności albo nie zapadł w krótką drzemkę, a pociąg nie pędzi bez żadnego nadzoru. Lepiej byłoby co prawda, gdyby bezdech senny wykrywano jednak wcześniej.

Bezdech senny nie ma nic wspólnego z tym, że ktoś spał za krótko i się nie wyspał. Chodzi o jakość snu, a więc sytuację, kiedy sen był niewystarczająco regenerujący. Dlatego domniemana złośliwość w rzeczywistości nie wynika z kaprysu natury – ma możliwe do wykrycia przyczyny. Badanie wstępne jest stosunkowo nieskomplikowane. Lekarz specjalista od snu za pomocą krótkiego kwestionariusza, tzw. ESS (skala senności Epworth), gromadzi podstawowe informacje i tym samym zyskuje orientację, jak zaawansowany jest problem. Pacjent zabiera ze sobą do domu małe urządzenie pomiarowe, za pomocą którego rejestruje zaopatrzenie w tlen, oddychanie, chrapanie, częstość skurczów serca oraz częstość i czas trwania oddechów. Jedną noc śpi z tym pudełkiem i następnego dnia odnosi je do gabinetu. Urządzenie zawiera chip, który wszystko zapisuje (...).

Jeśli występuje bezdech senny, następnym krokiem jest skierowanie pacjenta do laboratorium snu. Tam poddaje się on dokładniejszemu badaniu, np. z uwzględnieniem EEG (elektroencefalogram), które mierzy jakość snu. Dzięki temu badaniu rejestruje się i ocenia elektryczną aktywność mózgu i jej wahania. W laboratorium snu można też wprowadzić zaprezentowaną już wcześniej terapię ułożeniową albo zalecić stosowanie klasycznej terapii – maski do leczenia bezdechu.

Fragmenty książki
dr. Michaela Barczoka
*Złap oddech. Jak oddychać,
żeby żyć dłużej,*
przekład Bartosz Nowacki,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2019



Tajna wojna, którą przegraliśmy

To wiadomość tylko z pozoru odległa od świata dyplomacji. Otóż Instytut Pamięci Narodowej ujawnił nazwiska współpracowników polskiego wywiadu w czasach PRL. Dla ludzi znających się na służbach specjalnych taki krok to zdrada. Przede wszystkim dlatego, że państwo nigdy nie ujawnia swoich agentów, nawet takich sprzed wielu lat i już nieżyjących. Jest opowieść jednego z polskich historyków specjalizujących się w epoce oświecenia, który będąc na stypendium we Francji, chciał poznać nazwiska agentów francuskich z czasów Sejmu Wielkiego. Odmówiono mu tego. Owszem, argumentowano, te osoby już dawno nie żyją i czasy też są inne, ale być może żyją ich potomkowie, a nie chcielibyśmy wprawiać ich w dyskomfort tylko dlatego, że ich dziadowie oddali przysługę Francji.

Innymi słowy – tajemnice państwa powinny być wieczne. Chyba że przejmie je wróg. I wtedy ów wróg ma dwie możliwości. Albo wykradzione tajemnice zatrzymać dla siebie, albo ogłosić je całemu światu. Otóż będzie się kierował własną korzyścią. Gdy tajemnicę zatrzyma tylko dla siebie, przejmie kontrolę nad ludźmi, których nazwiska poznał. I koniec. Gdy rozwlecze ją na cały świat – wpłynie również na tych, którzy daliby się zwerbować w przyszłości. Bo nie ulegną werbunkowi z obawy przed dekonspiracją. Przed utratą bezpieczeństwa swojego i swoich bliskich. Wpłynie też na zdolność zawierania sojuszy przez to państwo. Bo czy warto wiązać się z państwem tak niestabilnym?

No i jeszcze jedno – jest tajemnicą poliszynela, że Polska próbuje być aktywna na Wschodzie, to jej główny kierunek zainteresowania. Czy taka Polska, która nie szanuje swoich współpracowników, pozwala, by ich nazwiska były szargane po całym świecie, zasługuje w oczach urzędników i funkcjonariuszy państw sąsiednich na szacunek?

Wręcz przeciwnie. I teraz pytanie – czy o to chodziło?

Z przyczyn oczywistych nie możemy obserwować wojny służb specjalnych, bo jest ona ukryta. Ale możemy widzieć jej skutki.

Był taki czas, że prezydent USA, lecąc do Kijowa, zatrzymywał się w Warszawie, by z polskim prezydentem porozmawiać o sytuacji na Wschodzie. Także politycy europejscy uznawali, że Polska ma szczególną wiedzę i szczególne wyczucie w sprawach Wschodu. A rola Aleksandra Kwaśniewskiego w pomarańczowej rewolucji była tego dowodem.

Teraz mamy sytuację zupełnie inną. I w sprawach Rosji, i w sprawach Ukrainy Polska została odsunięta na bok. W żadnych rozmowach nie uczestniczymy. Polska jako źródło wiedzy o Wschodzie nikogo nie interesuje.

Co takiego się stało?

Być może wie to Bartosz Cichocki, ambasador w Kijowie, wcześniej wiceszef MSZ, no i pracownik Ośrodka Studiów Wschodnich. Choć raczej potożyłbym w tym zdaniu nacisk na słowa „być może”. Cichocki zastąpił w Kijowie na stanowisku ambasadora Jana Piekłę i miało to być nowe otwarcie. Na razie trudno je dostrzec. Ambasador bardzo się pilnuje, by nie wyjść poza format PiS. Składa więc pod pomnikiem zamordowanych polskich oficerów, spotyka się z Polonią, organizuje msze. A niedawno wziął udział w Kijowie w marszu „w obronie życia i rodziny”. I chwalił się na Twitterze tym, jak idzie razem z przedstawicielami organizacji religijnych pod hasłami „wartości rodzinnych”.

Cóż, jeszcze nie tak dawno Polska chciała być dla Wschodu przykładem sukcesu demokracji i praworządności. A teraz chce być sztandarem walki o wartości religijne.

Tyle z tego wszystkiego zostało...

Attaché

Malawijskie dzieci pracujące przy zbieraniu wysuszonych cegieł. W 2002 r. Międzynarodowa Organizacja Pracy ustanowiła 12 czerwca Światowym Dniem Przeciwno Pracą Dzieci, aby zwrócić uwagę na globalny zakres zjawiska.



FOT. AFP/EAST NEWS



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery O ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- ...Sari, śpiewaczka operowa
- Żyd Wieczny Tutacz i autoportret Maurycyego Gottlieba
- zachowanie jak granie
- nauczycielka biegła w języku Byrona
- mówi się o nim bryka, gabłota
- drobiazg w serwantce

- susz na opał
- zbiornik do przewozu cieczy, gazów
- obszar u ujścia rozwidlającej się rzeki
- poliestrowa, łączona z wełną lub bawełną
- opuściła ojczyznę
- miął szkołę w Atenach, zwaną jego ogrodem

- sąsiadka Somalii z Rogu Afryki
- urodziła Zeusowi Minosa i Radamantysa
- część seta w tenisie
- imię lekkoatletki Konopackiej
- nad nią Stargard i Goleniów
- USA mają Hollywood, one Bollywood
- ojciec Jakuba i Ezawa
- Donald lub Daffy
- wodospad ze stopniami skalnymi
- setna część rubla
- była równa czwartej części garnca
- matka Tyberiusza
- stoi na wystawie
- oratorium Händla

- mięso w pierogach lub śliwki w knedlach
- król Pylos, od niego ten najstarszy i najbardziej zasłużony
- podziemna kryjówka zwierzęcia
- wyjątkowy w kolekcji
- cienka, nieprzemakalna tkanina
- udusił Desdemonę
- kształt twarzy albo półmiska
- „Dobra...” Orzeszkowej
- można więc się jak on
- podnoszenie, by ułatwić wdrapywanie się
- fama, wieść
- bywa naga, bywa święta
- pochłonięty audycją
- płaski teren
- kosmką, monetą albo oka
- gminny lub terytorialny
- zimowy to hibernacja

- barwnik z gruczołu mątwy
- Bartosz Kurek albo Bartosz Kwolek
- urządzenie do łączenia metali
- arena meczów i koncertów gwiazd
- widokowy lub kawiarniany
- wznoszony trunkiem
- mafia jak trzy elementy
- np. na dwoje skrzypiec i wiolonczelę
- składa się z założenia i tezy
- przepraszamy za... techniczne
- zaufania, przytomności, masy ciała
- ...bagienna z rodziny kangurowatych
- niejedon podczas jazdy serpentyną
- szyfru lub kości

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-913”. Do rozlosowania książki „Branki w jasyrze” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązanie wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 czerwca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-910” z 2 czerwca: *Z gadułą nie pogadasz.*
Nagrody otrzymują: Bronisława Bronowska z Cieszyna, Jerzy Matkiewicz z Koszalina, Joanna Opalka z Warszawy.

PENETRACJE

POLITYKA

JERZY BACZYŃSKI,
REDAKTOR NACZELNY

PlusMinus

CZESŁAW SIEKIERSKI,
BYŁY EUROPOSEŁ PSL

Koncepcja „pozwołmy Kaczyńskiemu doprowadzić kraj do ruiny”, choć politycznie wdzięczna, ma też inne oczywiste wady (choćby ową ruinę). Zatem wciąż dobrze byłoby wybory wygrać. Szkoda, że nie mamy lepszych przeciwników PiS, lepszych partii i liderów – choć można, naprawdę, wysunąć naprzód nowe postaci. Ale dla wszystkich działaczy opozycji to ostatnia szansa, żeby udowodnić swoją przydatność.

TYGODNIK

ANGORA

MARYLA RODOWICZ,
PIOSENKARKA

Czuję się fantastycznie. Siedzę sama, dużo czytam, dużo pracuję. Codziennie gram w tenisa z 22-letnim trenerem. Otaczają mnie młodzi ludzie. Piszę na Instagramie, w czym pomaga mi inny młody chłopak. Jedyne Bogdan Zep, mój wieloletni menedżer, jest starszy i niezastąpiony. Odnalazłam same plusy tego, że jestem sama. Dziś jestem wesółą, radosną. Mam zapał do pracy i życia. Nic lepszego nie mogło mnie spotkać. Kiedy spojrzałam w lustro, pomyślałam: Zaraz, zaraz... Podobam się moim fanom, moim kotom, mojej suce. I to mi wystarczy.

Zakładam, że frekwencja w jesiennych wyborach będzie wysoka, dlatego sądzę, że powinniśmy szukać najlepszej formuły pójścia do wyborów przez nasze Stronnictwo. Obecnie mamy trzy warianty – pójście pod szyldem PSL, stworzenie Koalicji Polskiej, czyli bloku konserwatywno-ludowego wokół PSL, bądź szersza koalicja. Są doświadczenia z funkcjonowania Koalicji Europejskiej, w ramach której prezes Kosiniak-Kamysz wynegocjował dobre warunki dla PSL. Wszystko przed nami.

charaktery
magazyn psychologiczny

PROF. BOGDAN
WOJCISZKE, PSYCHOLOG,
UNIwersytet SWPS

Pycha jest dziś promowana jako pozytywna samoocena. Gdy mówimy o moralności, zwykle przychodzą nam do głowy ogólne reguły. Nastąpiło jednak przesunięcie: w krajach rozwiniętych, takich jak Szwecja, Dania, Francja, Kanada czy Szwajcaria, źródłem zasad moralnych przestaje być religia. Wyznaczają je instytucje państwa i społeczeństwa obywatelskiego. Społeczeństwo tworzy normy, by okiełznać naszą pychę, chciwość czy złość. Trzeba jednak pamiętać, że te normy są nowoczesnym wynalazkiem.

Aby język giętki...

MAREK BIERNACKI O MARKU FALENCIE

Bez Falenty PiS nie doszłoby do pełni władzy.

GEN. STANISŁAW KOZIEJ
O BAZACH USA W POLSCE

Stałych baz nie będzie. Realnie będzie rotacyjne zwiększenie obecności wojsk amerykańskich.

WOJCIECH MANN
O MATEUSZU MORAWIECKIM

Przebrany za dżentelmena potraktował próbującą go przywitać panią tak, jak to widzieliśmy.

BARTOSZ ARŁUKOWICZ O WYBORACH

Dwie trzecie czasu poświęciłem na rozmowy z ludźmi, którzy na dzień dobry mówili mi, że na mnie nie zagłosują.

ELŻBIETA PENDERECKA O SOBIE

Byłam bardzo nieśmiała. Otworzyłam się przy Krzysztofie, ponieważ on nie mówił przy stole. A babcia mi powtarzała: jak jesteś zaproszona, to powinnaś prowadzić konwersację.

TOMASZ ORGANEK O MŁODOŚCI

Mogę sobie tylko zazdrościć, że się wychowałam pośród pól, lasów, rzek, łąk w dolinie Rospudy i zbyt szybko nie przesiąknęłam wielkomiejskim cynizmem.

JAN ENGLERT
O ŻONIE BEACIE ŚCIBAKÓWNIE

Jest ambitna we wszystkim, co robi. Doskonale umie planować, a co jeszcze trudniejsze: realizuje plany.

ORINA KRAJEWSKA O PERFEKcjonizmie

Nie miałam w sobie pozwolenia na błąd. Sama sobie poprzeczkę ustawiłam tak wysoko, że nie sposób było do niej doskoczyć.

KUBA WOJEWÓDZKI O NAPOJACH

Zawsze po przeczytaniu składu napoju energetycznego zastanawiam się, czy to jest skład napoju, czy skład puszki.

JOANNA BOCHNIARZ O MAMIE HENRYCE

Jest genialną babcią, choć nie lubi tego słowa. Znajduje czas dla dzieci moich i brata. Jest ich dziewięcioro. Nie gotowała im obiadów, ale zabierała do opery, na koncerty, poznawała z ludźmi ze świata.



Sztuka ulicy w hołdzie ikonie mody. Artysta o pseudonimie Endless maluje Karla Lagerfelda na murach Florencji.

FOT. AFP/EAST NEWS

M-?

Doskonałe lokum dla osoby pracującej, która większość czasu spędza poza domem, mile widziani są Ukraińcy – zachwala właściciel pokoju na szczecińskim osiedlu Kaliny. Oferta kusi nie tylko niską ceną – łączny koszt wynajmu wynosi 340 zł miesięcznie – ale także przytulnym charakterem lokalu. Pokój jest bowiem zabudowanym balkonem, na którym zmieści się najwyżej wąski materac. Przylega do wspólnej, 18-metrowej kuchni, w której „można spędzać dzień”. Kolejną atrakcją jest znajdująca się w przedpokoju duża szafa. To jest ten dzień w roku, w którym żałujemy, że nie jesteśmy ze Szczecina!

Tunel dobry na wszystko

Postępująca katastrofa klimatyczna, przeludnienie planety, niedobory żywności na znacznych jej obszarach... Kluczem do rozwiązania wszystkich tych problemów jest wykorzystanie tuneli – ogłosiło na kongresie w Neapolu Międzynarodowe Stowarzyszenie Robót Podziemnych. Na przykład coraz częstsze wyrzucanie samochodów z centrów miast stwarza okazję, by podziemne parkingi zamieniać na miejsca bezglebowej uprawy wysokobiałkowych roślin, takich jak soja czy łubin. Tunele mogłyby także zapewniać ochronę przed gwałtownymi zjawiskami meteorologicznymi, np. coraz częstszymi cyklonami. Pomysły bardzo fajne, ale jak znamy życie, zaraz pod ich autorami ktoś zacznie kopać dołki...



Żołędzi z tego nie będzie

Usechł młody dąb podarowany Donaldowi Trumpowi przez Emmanuela Macrona jako symbol więzi francusko-amerykańskich. Drzewko przywieziono z lasu Belleau nad Marną w północnej Francji, w którym w czerwcu 1918 r. prawie 2 tys. Amerykanów zginęło w jednej z wielkich bitew I wojny światowej. Zostało uroczyście zasadzone przez obu przywódców, a potem, zgodnie z przepisami dotyczącymi organizmów wwożonych do USA, ponownie wykopane i poddane kwarantannie. Niestety, roślina jej nie przeżyła. Przy obecnym stanie relacji Paryż-Waszyngton nie należało chyba się spodziewać niczego innego.

Utalentowana i robotna

Pierwsza robotyczna artystka, Ai-Da, została uhonorowana wystawą w oksfordzkim St. John's College. Można na niej zobaczyć osiem rysunków, 20 obrazów, cztery rzeźby i dwa krótkie filmy tej artystki. Metoda twórcza androidki jest następująca: kamery w jej oczach przesyłają obraz do zautomatyzowanej ręki, która tworzy rysunki. Te z kolei albo są prezentowane już jako gotowe dzieła, albo na ich podstawie artysta człowiek wykonuje rzeźbę lub obraz. Rynkowa wartość sztuki, którą do tej pory stworzyła Ai-Da, szacowana jest na ponad milion dolarów. Dobra robota!

MEMY BEZ ŚCIEMY





Tak jest, jak się
państwu zdaje.
Muzeum Iluzji
w Krakowie.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodryt: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



FOT. ANDRZEJ ŚWIELIK



KORA

FOT. TOMEK SIKORA



NEY Gallery & Prints
Warszawa, ul. Spokojna 5
do 28 lipca

To zdjęcia dotąd niepublikowane, pozornie nieudane, odrzucone przez samą Korę. Bywa na nich niewyraźna, poruszona, skrzywiona. – Postawiliśmy na nieoczywistość, nieznane, wyrwę, błąd, niekiedy brud styków, żeby ukazać ją w przejściu, między stanami rzeczy, niejako „poza nią samą”. Na przekór jej tworzonemu przez media obrazowi. Artyści, którzy przeglądają się w Korze, wiele zapewne się od niej nauczyli. Zapis tej lekcji przedstawiamy na wystawie – mówi jej kurator Andrzej Wajs.

Każdy z artystów: Tadeusz Rolke, Andrzej Świetlik, Tomasz Sikora, Jacek Poremba, Andrzej Tyszkowski i Woody Ochnio, przedstawia Korę w indywidualny, charakterystyczny dla siebie sposób.



FOT. ANDRZEJ TYSZKO



FOT. TADEUSZ ROLKE

ŚWIAT **NIE** URATUJE SIĘ SAM!

**KOBIETA
IDZIE NA
WOJNĘ**

W KINACH 21 CZERWCA

cojestgrane24 polki.pl FILM @ RGP warszawskie sens K MAG KOBIEĆA.PL empik

**KOBIETA
IDZIE NA
WOJNĘ**

W KINACH 21 CZERWCA

empik

GRECKA TRAGEDIA WE WSPÓŁCZESNYCH CZASACH

QUINZAINÉ
TYDZIEŃ KRYTYKI FILMOWEJ
CANNES

NAGRODY GAUDI
NAJLEPSZY AKTOR
DRUGOPLANOWY

EUROPEJSKIE
NAGRODY FILMOWE
NAJLEPSZA AKTORKA
(NOMINACJA)

MFF W BERGEN

MFF W GÖTEBORGU

MFF W HAIFIE



REŻYSERIA JAIME ROSALES

PETRA

INTRYGA, RODZINNE SEKRETY, NIEWYJAŚNIONE HISTORIE...

W KINACH OD 21 CZERWCA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”



AURORA